

WYBOR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE II. GŁÓWNE)

Serya II.

Tom I.

DZIECI WIEKU

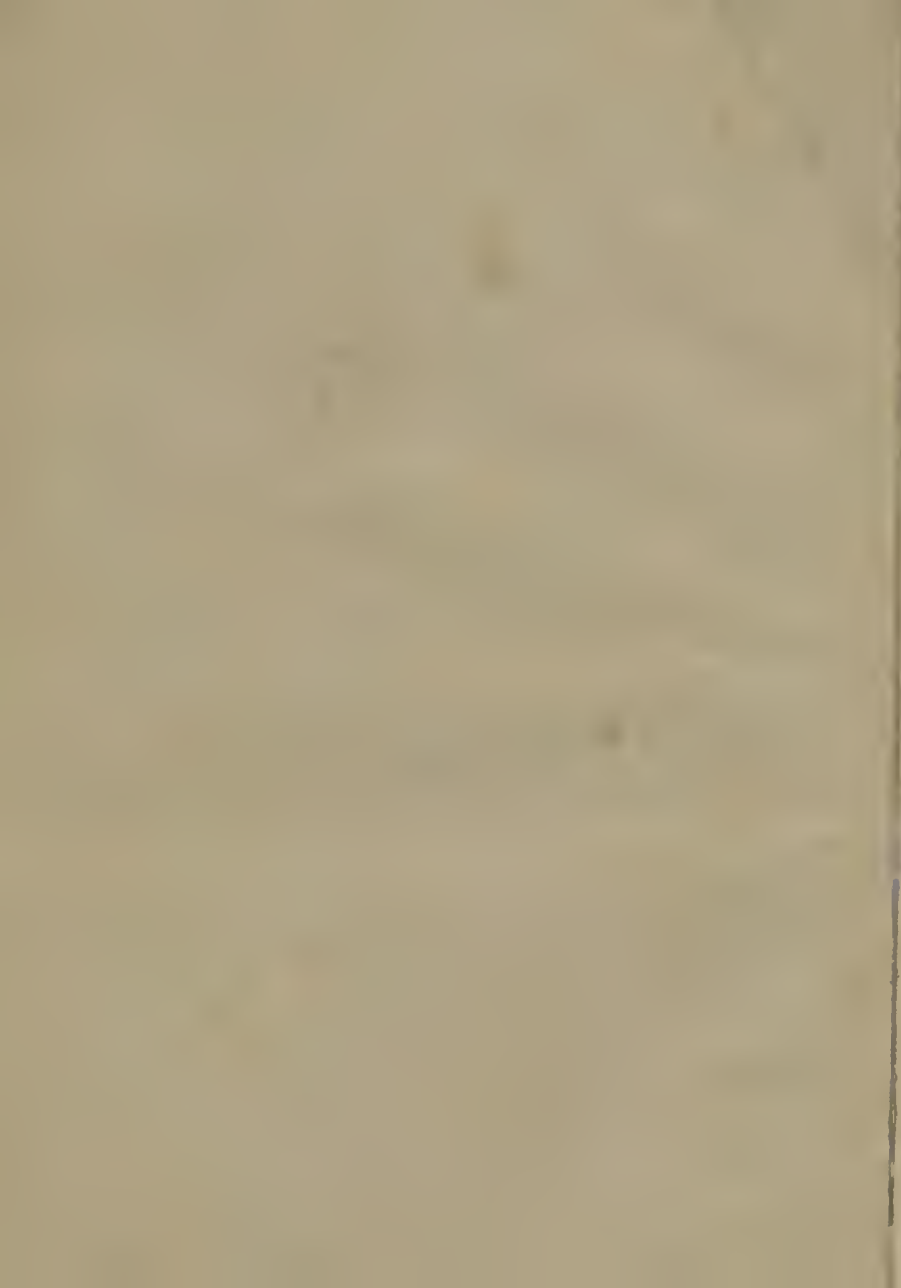
POWIEŚĆ

Tom III.

WARSZAWA

WYDAJENIE MICHAŁA DŁUCKIEGO BERGA.

1883.



WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.
Tom szósty.

DZIECI WIEKU.

POWIEŚĆ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

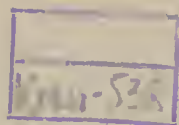
TOM III.



WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1882.



№ 1111111, 540

Доволено Ценаурою.
Варшава. 11 Ноября 1882 года.



ROZDZIAŁ I.

Ksiądz prałat Bobek chodził po swoim ogródku, wachając kwiaty i przywiązując drżącymi rękami te które się pochyliły, gdy zdala ukazał się (było to dnia następnego) doktor Mylius. Prałat bardzo lubił doktora, a ten też mu sowicie przyjaźń jego oddawał. Był to może jeden człowiek w świecie, przed którym Mylius gotów był się wypowiadać do głębi duszy, nie idąc do konfessyonału.

— Patrz-że no doktorze, patrz, nic nie widzisz. zawołał ksiądz Bobek wskazując na grzędę. takich lilij za naszych młodych czasów nie było! Zналиśmy tę przeczystą białą, którąśmy kładli w dłonie białym jak ona aniołom. Co za śliczność ta nowa, ale jak wszystko co wiek przynosi z charakterem jego zgodne. Lilia to, na pozór też sama, ale na jej kielichu jakby krople krwi różowe. Jest-to ziemská lilia, łzami krwawemi skropiona.

— I piękna rzekł doktor. bardzo piękna

— Bo wszystko co Bóg stworzył piękne, zawołał starzec, podnosząc ręce do góry. Jest-li twór Boży coby nie miał wdzięku? Czasem my go nie widzimy, lub strach nam dojrzeć nie daje, ale cudami otoczeni jesteśmy.

— Tak. prawda, ojcie kochany. cuda są na licu kwiatów i cuda w ich budowie aż do ostatniej niedostrzeżonej komórki, w której pływa szmaragdowa życia kropelka. co za niezliczone piękności! Nóż anatomicy, we wstrętliwych cielesnej budowy splotach jeszcze Boże cnda odkrywa.

— I są ludzie, którym świat wydaje się brzydki i nudny! zawołał ksiądz.

— Ojcie! ci ludzie są nieszczęśliwi.

— Bo sami winni! winni! winni! mówił siwowłósy starzec. bo pragną niebios na ziemi. a to tylko plac próby i przedśpiew do chórów anielskich.

— Ale czasem ten przedśpiew. zawołał Mylius — brzmi dziko.

Westchnął.

Starnszek njął go za rękę i popatrzał mu w oczy.

— Co tobie Mylius? tyś zwykle roznymy. a dziś mi wydajesz się jakbyś równowagę stracił i chwiał się i narzekać chciał. Co ci jest?

— A! mój ojcie dobry, jest mi. z czego się wyśpowiadać trudno. Życie mi cięży.

— O! toś chory na duchu.

— Tak. chory jestem na duchu. odparł Mylius. Posłuchajcie-no mnie proszę. Byłem w zgodzie z sobą i szczęśliwy dosyć. dopóki miałem jakiś cel w życiu; tym. dla mnie. był ten niedobry chłopiec.

— Któregoś ty popsuł.

— Być może—ale się z nim rozstać przyszło. świat stał się pustką, życie mnie dusi. dusi.

— Odpędź-że krzyżem szatana.

Mylius westchnął.

— Prawdziwie. dodał — sprawa to chyba czarnego ducha, dostałem nieugaszonego pragnienia życia. czegoś nieokreślonego. rodziny. serca. kochania. sam nie wiem. Ojcie! poradź mi, bo zrobię na starość głupstwo.

Ksiądz Bobek podniósł oczy na przyjaciela. popatrzał nań i przeżegnał go.

— Stary ty mój, co tobie, coś ty zapomniał i jak wyglądasz i wiele masz lat, czyby ci się po niewczasie żonki zachciało?

— Może — odparł Mylius — ale czym tak stary?

— No — nie młody, rzekł ksiądz prałat, trafiają się szczęśliwe małżeństwa i w wieku spóźnionym, ale to jesień na kwiatki — lada mróz je zważy. Nie trzeba cudu wyzywać, bo rzadko kto nań zasłużył.

— A czyż myślicie mój dobry ojcie, że ja sobie sam tego po tysiąckroć nie mówiłem, ale darmo.

— To przejdzie, rzekł ksiądz Bobek, weź się jegomość ostro do pracy, nie myśl o bałamctwie.

— No i wy, księżę prałacie, nie radzilibyście mi?

— Ale ja nikomu nie radzę, zawołał siwowłósy, brać się do rozwiązywania najtrudniejszej na ziemi zagadki, pogodzenia dwóch sprzecznych żywiołów i przedjednania dwojga istot, których miłość nawet jest walką. W młodości, małżeństwo ma wiele jeszcze prawdopodobieństw, że stwardnieje w pocziwy nałóg, ale na starość, a jeszcze ci może młode stworzenie w głowie?

Mylius spuścił oczy.

— No, już dokończ spowiedzi otwarcie, pokuty ci nie naznaczę, śmiechnął się prałat.

— Niewiedzieć bo z kąd mi to przyszło, od czasu jakem się pozbył wychowawca, nudno mi było w domu. Ja sądzę, że jegomość dobrodziej znasz pannę Apolonię? tę, co lekcye daje w mieście.

— No — no.

— Bardzo nczciwa i zacna panna, ani zbyt młoda, ani nadto stara — uboga.

— Grunt mój doktorze, czy ku tobie ma serce?

— Ale ojcie, ja bo tego sentymentu młodzieńczego jakiegoś, idealnego, nie żądam, byłbym śmieszny, gdybym sobie pochlebiał, że go zdobęde. Byłe nie miała wstrętu.

— A asindziejowi się podobala?

— Bardzo — bardzo — ale jest sęk. Zdaje mi się, że ona ma passyjkę.

— A no! to jakże możesz myśleć o niej? — do kogo?

— Do tego Spartanina, inżyniera Szurmy. Ale to człek uczciwy. żenić się nie może. czy nie chce. więc jej nie bałanuci. ona go zapomni. no i będzie z niej żona dobra. bo uczciwa i ma uczucie godności wielkie.

— Wszystko to jakoś kuleje. mój doktorze, odezwał się ksiądz Bobek. ruszając głowę — nedorzecznie osuuty projekt. nader. uader wątpliwej wartości. Rozważ sam. Czyś już z nią co mówił o tem?

— Niech Bóg uchowa! zawołał doktor. — chciałem się was poradzić.

— Szczerze. ja wam nie radzę, rzekł ksiądz. Stau małżeński święty, ale brać kobietę mającą w sercu miłość dla innego. czyż to się godzi?

— On się z nią nie ożeni! rzekł Mylius.

— Mój dobry kochany kousyliarzu, kto na świecie może powiedzieć, że to a to stauie się. lub nie stanie? Dziś może się nie ożenić, ale jutro. ale potem... nużby dla nich dziś niemożliwy związek stał się możebnym. mógłżebyś patrzeć na żonę nieszczęśliwą. wyrzucając sobie jej cierpienie?

— Wy to kochany pralacie, jesteście tak chłodno rozsądni. a tu... a to...

— A wy, stary, siwy pocziwce, zakochaliście się w dziewczynie. przerwał ksiądz Bobek — jak wam nie wstyd?

— Nie! nie! pocziwego uczucia się nie zawstydzę. Cóż radzicie?

— Hm! hm! co ja radzę, rzekł prałat. bądźcie po-błażający pomuąc na swój wiek i charakter, wyprawiłbym was w długą podróż i koniec, zapomnielibyście o jesienych kwiatach. Jedźcie do Anglii.

— Nie. nie. nie pojedę nigdzie. ale zrobię co mi sumienie dyktuje.

Doktor zamilkł, prałat także, starzec dobrze wiedział, że uczucie przedysputować niepodobna i że rozum tak go nie bierze, jak szkło dyamentu. Zaczął pokazywać kwiaty nowe. Mylius o niczem więcej nie

wspomniał, pożegnał się gdy nadszedł ksiądz wikary i poszedł do miasteczka.

Na twarzy w oczach znać było walkę wewnętrzną. człowiek ten. niegdyś tak spokojny. choć zachował powierzchowność dawną. krył pod nią na nieszczęście nowo nabytą słabość. Jest to jedna z tych. które na chwilę nieopuszczają. raz pochwyciwszy człowieka. febra daje odpocząć. miłość nigdy. W starszym wieku. jak inne choroby. staje się ona niebezpieczniejszą jeszcze.

Mylius powlókł się przez miasteczko. Jak zwykle pochód jego przerywany był konsultacjami w pośród ulicy. Filinterni mieszkańcy znając dobroć konsyliarza. wybiegali naprzeciw niego. aby za wizytę nie płacić. doktor stawiał i w rzadkich tylko razach zachodził opatrzyć słabego lub zapisać receptę. — najczęściej na wydartej kartce zapisał coś ołówkiem. dał radę ustną i szedł dalej.

Dnia tego. dlatego może właśnie. iż się doktor śpieszył. więcej klientów go zatrzymywało niż zwykle. Najprzód. na balkoniku drewnianym. stojąca z podwiązaną twarzą pani Pauze. zażądała. by do niej zaszedł.

Doktor wiedział. że tam stał Walek, ale chorej niepodobna było odmówić.

— Cóż to mojej pięknej pani? zapytał, wchodząc, co? buzia napuchła? he?

Pani Pauze uśmiechnęła się. ale starając się utrzymać godność przyzwoitą gospodyni restauracji pod Różą.

— Zawsze mój doktorze ta fluksya — ale proszę usiąść.

— Nie mam czasu siedzieć? Fluksya! niech się pani nie irytuje.

— Mój doktorze. jak tu się nie gniewać i nie niecierpliwic. z temi sługami, gośćmi. z tysiącem różnych powodów.

— Pij. moja dobrodziejko. wodę sodową, limoniadę. ot i cała rada.

Chciał odchodzić, ale pani Pauze posunęła się ku niemu z cichym szeptem:

— Doktor wie, że u mnie on stoi?

— Kto?

— A pan Luziński.

— Muje co do tego?

— Zlitowałam się nad biednym chłopcem, ale to jest bałamut.

— Tak sędzę, rzekł obojętnie Mylius. Niech pani pije wodę sodową.

Wdowa napróżno chciała go na rozmowę wyciągnąć, poszedł.

O trzy kroki, na progu, oczekiwał pan Jan Baptysta Gorconi, właściciel cukierni, w białym fartuchu, z żółdkiem, który wszelką ideę choroby zdawał się odpychać. Różowe policzki, oko wesołe, znamionowały najwspanialszą wegetację mięsa ludzkiego, jaką wymarzyć było można, przecież i to był pacjent. Za zbliżeniem się lekarza, odkrył z pod fartucha zawiązaną rękę, fatalnie przeciętą ostrem narzędziem. Doktor rozwinął i pokiwał głową.

— Zalepic dyachilum i spać spokojnie, rana na pół zgojona, krew błogosławiona.

Cukiernik westchnął.

— Gdyby pan konsyliarz przyjął szklanekę limoniady.

— A no, dobrze, jeżeli ci to zrobi przyjemność.

W istocie grzeczny Gorconi nie dla limoniady prosił Myliusą, chciał się rozgadać z nim. Podał ją na tacy sam z gracyą i ruchem, w którym Włochy czuć było.

— Cóż u nas w miasteczku zanosi się na wielkie zmiany! rzekł.

— Na jakie?

— A no — apteka sprzedana temu Krezusowi, nieznanemu. Skalscy się wynoszą na wieś. Jakieś barony kręcą się tu i około Turowa, widocznie się coś knuje.

— Mój Gorconi, rzekł doktor — to najpewniej, że

ci się knnje jaka cukrowa kolacya i piramida. Bywaj zdrów.

Zawiedziony cukiernik, mimo to, odprowadził doktora w ganek, salutując białą szlafmycą.

Ale zaledwie pośpieszniej idący Mylius postąpił nieco dalej, nysłyszał przed sobą znany głos knpca. Mordka Szpetnego.

— Przepraszam pana konsyliarza. ale u mojej żony jest febra od dziesięć dni, jemu zamawiali. a nie można odpędzić, gdyby pan konsyliarz raczył...

Skłonił się.

— Dziesięć dni! zawołał Mylins i dajecie febrę babom zamawiać. nie radząc się lekarza?

— Proszę pana konsyliarza. febra to jest taka choroba. czasem bez lekarstwa idzie precz. a czasem...

Chorego prowadzi na cmentarz.

Doktór wszedł do pani Mordkowej. Szpetny już rozpoczynał także rozmowę osnutą w ten sposób, żeby z doktora coś dobyć. gdy oko lekarza padło wypadkiem na ulicę. zapisał spiesźnie chininę, urwał rozpoczęte badanie i wybiegł.

Przodem szła właśnie, ze swoją teczką pod pachą, panna Apolonia, na lekcye. z cygaretką w ustach. Mylius obejrzał się i tak obrachował z krokami. że ją bardzo wprędce napędził. Ale gdy już miał dać dzień dobry, porwał go jakiś strach. niepewność i zwolnił kroku. Panićka obejrzała się szczęściem i uśmiechnęła. stanęła nieco aby się zrównać z Mylinsem. co on za najwyższe szczęście uważał i sama go zaczepiła.

— Jak się pan ma?

— Czy możesz pani doktora pytać jak się ma! ba! musi się mieć dobrze. ażeby drugich trzymać. A pani?

— Ja nie mam czasu chorować. odpowiedziała panna. Gdybym na dwa tygodnie tylko zapadła. lekcye bym straciła i chyba by mnie wzięły siostry miłosierdzia.

Doktór zbliżył się.

— Jakto? spytał. czyż przy takiej pracy ciężkiej, wytrwalej, życiu oszczędnem. skromności ubrania, nie

pani, nawet na wypadek nieszczęścia — na ową czarną godzinę nie zebrałaś?

— Jakże było zebrać! kiedy to co się zarabia. ledwie na najbiedniejsze starczy życie. W ogólności zarobkowanie kobiece zawsze jest mniej korzystne; płacą nam co łaska. a życie kobiety tańsze nie jest od waszego.

Westchnęła.

— O! na dziś, panie, nie narzekam. ale pomyślawszy czasem. że przyjdzie słabość. niemoc. na umysł ciężkość wieku. w palcach jaka choroba. porywa strach. Nieznam nic okropniejszego od szpitala.

— Pani go łatwo mkniesz. pospiesznie z rozjaśnioną twarzą. zawołał doktor. Znajdziesz z łatwością zanego człowieka, dom, rodzinę.

— A! panie! uboga, mogłabym znaleźć tylko tak ubogiego jak ja sama, temu nie chciałabym być ciężarem, bogaty mnie nie zechce. Nie godzi się skazanym jak ja na celibat i samotność. pokazywać tych przyśmaków. przeznaczonych dla szczęśliwych.

— Pani mylisz się — odparł doktor, zbliżając się ku niej i biorąc ją za rękę; a wpatrując się z pod zwisłych brwi. pocziwemi swemi. choć nie ładnemi oczyma, w piękne dziewczę: — mylisz się! iluż to ludzi mających. bardzo... bardzo byłoby szczęśliwych. gdybyś do nich tę rączkę wyciągnąć raczyła.

Prę Apolonią uderzył dźwięk niezwyczajny tego głosu, podniosła wejrzenie i mocno się zarumieniła.

— No! no! doktorze, nie żartuj ze swych pacjentów.

— Nie żartuję — odparł Mylius.

Ale tego, ktoby pani pragnął jak najwyższego szczęścia dla siebie, pani byś niechciała!

— Jakże to pan wiesz? zapytała, bardzo dziwnym. drżącym głosem, nauczycielka.

— Wnoszę z tego, że gdy pani przechodzisz około dworku inżyniera, uśmiechają się oczy, widać przez nie bijące serce i nóżki same stają naprzeciw okienka.

Panna Apolonia stanęła. zmniejszała się. ale położyła rękę na szerokiej dłoni doktora i wprędce odzyskując panowanie nad sobą — odezwała się:

— Na co pan to mówisz? nie wypnę się. miły mi ten człowiek. ale on właśnie należy do ludzi. którychbym rękę odepchnęła. bo by była ofiarą. On ubogi, ja uboga, on zamyka serce, ja memu bić nie pozwalam. bo oboje nie mamy przyszłości. Dodaj pan. że ja... ja mam rodzinę ubogą. którą wspierać muszę pracą. on także. a więc, choć stoję przed dworkiem. nie wnijdzie tam nawet westchnienie moje.

Przed tobą. doktorze, dodała — jestem szczerą. znam twą szlachetną duszę. o zło mnie nie posądzisz boś sam dobry.

Na cóż bym się zapierać miała przyjaźni. współczucia dla takiego człowieka jak Szurma. Ale ja już nie dziecię, by marzyć.

Doktorowi łza zakręciła się w oku.

— Posłuchaj mnie pani. rzekł, powiem ci to. czego-bym nie powinien mówić, ale sumienie każe.

Uderza mnie w bardzo rozsądnem i bardzo szlachetnem oświadczeniu pani, jedno. cecha wieku! Dawniej miłość wierzyła w Opatrzność. kochano się tak, że choć by głowy jutro nie było gdzie złożyć. łączyło się ludzi dwoje. wierząc w to, że uczucie dokazuje cudów i że Bóg łaskaw na pocziwe dzieci. Dziś nawet miłość pocziwa. zaczyna jak wasza — zaczyna od rachuby i rzeka się szczęścia z obawy o chleb.

Pani tego wyrzutu nie robię. ale on...

— Jesteśmy rozzumniejsi, rzekła. to pewna, ostrożniejsi, chłodniejsi. ale posłuchaj mnie jeszcze i nie obwiniaj szlachetnego człowieka. On. jak ja, ma rodzinę, ma stare siwe głowy. którym nie chce dać spocząć na szpitalnej poduszce. rachuje, ale nie dla siebie. rachuje dla nich, a przed taką rachubą należy skłonić głowę.

Doktor schylił w milczeniu głowę w istocie.

— Biedne istoty! rzekł — biedne istoty. nie wiesz

pani. jak mnie wasz los obchodzi. Właśnie idę do Szurmy.

Był tak wzruszony, że mówić nie mógł, schwycił jej rękę, nalcował i odszedł żywo, jakby nciekał.

Obawiał się samego siebie, wleciał do dworku inżyniera, nderzywszy się silnie o uszak głową.

Szurma siedział nad robotą z twarzą wypogodzoną, z czołem jasnym, wstał na widok niespodziewanego gościa i podał mu obie ręce.

W tej chwili jak cień pod oknem przesunęła się Apolonia. wejrzenia ich się spotkały. Szurma drgnął niepostrzeżenie.

— Siadaj, kochany doktorze.

— Nie — nie, lękan się zabierać ci czasu — dwa słowa.

Począł się namyslać, w istocie dopiero plan jakiś osnuwał i z okiem wyjaśnionem rzekł po chwili:

— Przyszedłem was prosić o robotę.

— O robotę? jaką? zapytał Szurma.

— Oto potrzeba mi do moich sprawozdań medycznych, doskonalej (zająknął się) mapy topograficznej powiatu, ze wszelkimi możliwymi szczegółami. czy to rzecz trudna?

— I trudna i kosztowna, jeśli to ma być rzeczywiście dobra karta topograficzna. Nie mamy podobnej gotowej, są częściowe pomiary, na różną skalę, te należałoby zjednoczyć, dopełnić, robota ogromna, jak mówiłem kosztowna.

— Kosztowna? ale cóżby to mogło kosztować?

— Tu trudno nawet przybliżenie oznaczyć — zawołał Szurma, zawsze rzecz i długa i nie łatwa i oszczędnie robiąc, może wymagać tysięcy.

— Tysięcy? ile?

— No, pięć, może do dziesięcin tysięcy.

— Liczmy piętnaście, rzekł doktor, nawet dwadzieścia.

— Ale — przerwał Szurma, któż by na to chciał łożyć?

Doktor trochę się zakłopotał. — To rzecz po czę-

sci towarzystwa lekarskiego. no i ja bym się coś przyłożył. Ale—dodał, potrzeba mi tego prędko.

— Jak prędko? spytał Szurma.

— No—jak można najprędzej. bo...

— Bo co? zapytał Szurma trochę zdziwiony.

— Bo, miałbym potem inną dla pana nie mniej ważną robotę, kartę hydrograficzną całego obwodu tego. poprzerzynanego strumieniami. błotami.

Inżynier niedowierzająco poglądał na doktora.

— Prawdziwie, rzekł, spadłeś mi pan jak z nieba, uszom mi się niechce wierzyć. Tyle roboty na raz, gdy właśnie zdawało mi się, że jej zabraknie. A jakież cię to anioł stróż przyniósł do mnie?

Mylius zrobił minę rubaszną.

— A gdzież, do kogo miałem pójść?!

No—podejmiesz się?

— Ale z największą chęcią. z wdzięcznością.

— Z jaką? za co? że ty mi łaskę robisz? toćbym musiał nieznanomego sprowadzać z Warszawy i powierzyć to w ręce może mniej sumienne. gdy właśnie idzie o dokładność.

Szurma nderzył się w czoło.

— Pokaznje się, że nigdy wątpić nie trzeba. i nigdy rozpaczać...

Są cuda!

— Jakie cuda! jest to. że praca niezciwa prędzej lub później. znajduje uznanie—jest-to i nic więcej.

Szurma słuchał i ruszał ramionami.

— Mój konsyliarz. powtórz że mi to coś mówił!

— Z waćpana sceptyk widzę. niepoprawiony, powtórzę więc. że we dwa lata dam panu zarobić dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści tysięcy.

Szurma się porwał z siedzenia.

— To bardzo ładne, rzekł, ale jeśli żartujecie, gotuje mi się przebudzenie bardzo gorzkie.

— Ja robię nmowę zaraz na piśmie.

Inżynier zamilkł, zadumał się, lice mu się rozjaśniło powoli i natychmiast ochmurzać znowu zaczęło.

— Pozwól spytać — jeśli to nie będzie nieprzyzwoitością, masz pan rodzinę?

— Zostało z niej niewiele, odparł Szurma — rodzina moja była ubogą, jestem syn rzemieślnika, wybiłem się o własnych siłach.

— Pomagasz więc rodzinie?

Zapytanie to zdawało się dziwić inżyniera.

— Nie, bo ona niepotrzebuje pomocy mojej — ubodzy są, ale nawykli do swego stanu, a jeśli pragną czego, to żebym ja potrafił wyjść na człowieka.

— Zdaje mi się, że z zupełnem prawem nazwać się nim możesz — odezwał się doktor.

— Nie, zawołał z wyrazem energicznym młody człowiek — nie! Im z niższego wyszedłem stanowiska, tem wyżej mi się dźwignąć potrzeba. Czuję w sobie siły do tego, ale mi środków brakło. Ta praca własnie może mi ich dostarczyć. Pojadę do Paryża, do Londynu, będę się uczył, pracował i wsławię jakim świetnym wynalazkiem.

Mylius patrzył nań zdziwiony.

— Tego ci tylko potrzeba?

— Tylko tego, odparł Szurma z zapalem, nic więcej — poświęcę wszystko, ale pokażę światu, że syn ubogiego rzemieślnika, potrafi tam dojść, gdzie zgrzybiała ta arystokracja po złotych wspinając się drabinach, nie dolezie. Gdybym geniuszu nie miał, stworzę go w sobie pracą.

Mylius westchnął.

— Jest to piękny plan — rzekł, bardzo piękny plan, ale — kochany panie, są rzeczy może piękniejsze na świecie, to uczciwy, cichy żywot pracy w gniazdku przez nią usłanem.

Szurma z wyrazem zdziwienia spojrział na doktora.

— Sielanka jakaś? spytał.

To nie jest wiek sielanek, doktorze, ani wiek elegii — ale epopei i dramatu. Tylko epos kuje się z żelaza, dramat bucha parą, a w wojnie tej padają ofiar tysiące z głodu, przy przekopie Suez, wysadzo-

nych w powietrze kotłem pary. zgniecionych wozami na szynach. Ale wielkie rzeczy gotują się światu nowemu. na który my (uderzył się w piersi), my wojujem i pracujem.

— A!— zawołał Mylins. rozumiem, tylko nie widzę gdzie jest szczęście?

— W urzeczywistnieniu idei wielkiej.

— A życie? rodzina? serce?

— Życie. serce, rodzina! — rzekł Szurma z okiem wlepionem w ziemię, idą na ofiarę.

— Nie umiem jeszcze rozwiązać. czy to bohaterstwo. któremu trzeba przyklasnąć, czy w nowej postaci egoizm. Ale. ponieważ mówimy o tem, dodał. pozwól mi pobawić się w przypuszczenie. Więc tak na przykład, ktoś jak wy. kocha się, jest kochany.

Inżynier brwi zmarszczył.

— Kochany doktorze. rzekł, wpadasz w fizyologią.

— Sprawa serca.

— Nie. temperamentu!—zawołał Szurma.

— Jakto? w serce nie wierzysz...

Szurma zadrżał i cicho dodał:

— Zaprzec się go muszę. wszystko dla idei.

— Serce jedno i dwoje i cudze serce i szczęście cudze...

— Szczęście. przerwał ironicznie inżynier. cóż to? chwila!... idea jest nieśmiertelną.

— Tak, dopóki drga ją nie obali.

— Gruzy będą nieśmiertelne. bo tamtej za podstawę posłużą.

Na tem skończyła się rozmowa, doktor posmutniał.

— Bawny się w przypuszczenia, rzekł. a gdyby znalazła się kobieta majątna, niezależna?

— Ale mój doktorze. cóż bo ci dziś z temi kobieta-mi?! kobieta milionowa jest nieszczęściem i chorobą dla człowieka czynu i idei. bo ona go odrywa, ona go osłabia. ona go przywiązuje do siebie. gdy żyć powinien tylko dla... idei.

— Ty znów dziś z ideą wojnujesz...

— Kobiety, miłoscie, szczęścia są dla ptaszków, co gniazda ścielą z puchu, orły gniazd nie mają, a orlice samotne na skałach hodują niemowlęta. Wolno tym co mają imiona, którzy mają przeszłość, delectować się szczęściem, nam siewaczom przyszłości, nie.

- Któż wy jesteście?

- Jeśli imienia nie wiecie, spytajcie się echa wieku, ono wam powie nasze imię Demos...

Mylius wstał z kanapy, zapal Szurmy nietylko że mu się nie udzielił, ale zdawał się na nim przykre czynić wrażenie, jakby omylonej rachuby.

— No, ale wracając do rzeczy, zapytał inżynier, mowa nasza?

Nasza mowa, rzekł zakłopotany doktor, tak! mowa! Widzicie zależną jest jeszcze od tych, z którymi wspólnie kosztą poniosę, więc napiszę i wkrótce dam wam znać o tem.

Ton i sposób traktowania sprawy tak były zmienione, iż Szurma nie mógł tego nie uczuć, a pojąć nie miał, co tę metamorfozę spowodowało. Nie mógł jej przypisać przekonaniom doktora, gdyż znał je dobrze, niewiedzial co go tak nagle ostndziło.

— Ale przynajmniej dajecie mi słowo, że robota, jeżeli przyjdzie do skutku, mnie nie minie i komu innemu dana nie będzie?

- O! na to! śmiechając się odpowiedział lekarz, na to słowo daję i ręczę wam, że wszelkich starań dołożę, aby usłużyć tak zacnemu człowiekowi.

To mówiąc, pożegnał go Mylius i z głową ciężką wyszedł z dworku na ulicę.

ROZDZIAŁ II.

Po kilku dniach spędzonych w miasteczku, na leżeniu i rozmyślaniu, przechadzkach, rozmowach, a nawet próbach, czy poetyczna wena nie popłynie. Walek szpiegowany napróżno przez zawsze cierpiącą na fluksyę panią Pauze, jednego białego dnia zniknął.

Dziewczynka z chaty owej nad groblą około mły-
na, która go znała z widzenia, spostrzegła, że się wy-
smął za miasto. W istocie wyszedł dla niepoznaki
pieszo, w karczmie na trakcie najął wcale niepocieszną
furkę i zbliżywszy się do Bożej Wólki, furmana od-
prawił, gdyż miłość własna przyszłego wielkiego czło-
wieka, niedozwalała mu na sianem wystanym wozie
zajechać przed dwór zawsze pełen gości, wołał z poe-
tyczną fantazyą przyjść niby pieszo.

Najosobliwszym trałem, na ten raz u pana Bogu-
sława nie znalazł prawie gości i mało co rezydentów,
gdyż główny korpus tej armii na kilkodniowe wyru-
szył polowanie. Bogunio został sam i pracował. (jak
mu się zdawało), nad poematem swym *Nero*.

Nieszczęśliwe to było dzieło, które zawsze
w chwilach natchnienia, ktoś przerywał, natchnienie
potem nie wracało i zostawał papier biały, pełen naj-
piękniejszych nadziei, którym profani fajki zapalali.
Tym razem Bogunio napisał był dwadzieścia pięć wier-
szy, obiecując sobie rymy niektóre później do nich do-
szukować. Zmęczony był pracą, znudzony już samot-
nością i powitał towarzysza po Mnie z wielką uprzej-
mością.

— Wiesz, rzekl, jest tu baron, ale incognito, jak
najściślejsze incognito, podobno nawet miał po ciebie

posyłać. W nocy przybędzie tu ktoś dla narady. Bardzo się dobrze stało, że przecuciem wiedziony przybyłeś. Baron jest na górze, nie wychodzi nigdzie. rozmów się tam z nim.

Walek pośpieszył. Baron go przyjął zdziwiony. ale dosyć rad przybyciu.

— Miałem właśnie posyłać po pana.

— Czy jest co nowego? — spytał Luziński.

— Nie wiem. Mamert przyjdzie tu pieszo, gdy noc zapadnie, zdaje się, że coś ważnego być musi.

— Nic dobrego? — spytał Walek.

— Być może. iż co niepomyślnego, chociaż szczegółów nie wiem. To pewna, że ktoś, jakiś wpływ tajemny. niezrozumiały. szyki nam mięsza. Coś musiano donieść do Turowa. obudzić uwagę. bo Klaudzyński jest przestraszony.

— Ale któż? co?

— Nie wiem.

— Czy pan masz zupełną wiarę w panu Mamercie? Baron ruszył głową.

— Powinienbym ją mieć.

— Czy nie lepiejby było zobaczyć się pannami i od nich samych coś się dowiedzieć?

— A! zapewne, zawołał baron. ale jak! uchowaj Boże podpatrzenia, zrodziłyby się ztąd nowe trudności.

— Ja idę. pomówię z gospodarzem.

Walek zbiegł szybko, gorączka i niecierpliwość osiągnięcia celu. dodawały mu odwagi, którą się zwykle nie odznaczał.

— Słuchaj Bogunin, szepnął gospodarzowi. wszak bywasz u krewnych w Turowie?

— O! bardzo rzadko!

— Nie masz nczciwego pretekstu dostać się tam na chwilę?

— No. poszukałbym. o co idzie?

— Idzie o to. abym ja w jakikolwiek sposób mógł pięć minut pomówić z hrabianką Izą.

Bogunio wąsa potargał.

— Przypuściwszy. rzekł. że tam dojadę. kwestya czy do Izy mnie dopuszczą i czy znajdę zrzeczność jej co powiedzieć. No! ale gdzieżbys się widział?

— O! stara sztuka! — zawołał Walek. przebiore się za chłopca i mogę podejść pod altanę. uikt tam pannom nie zabrania siedzieć.

— Ale jak Luis, albo du Val złapią! — zawołał Bogunio. będzie źle.

Walek trochę ostygł.

— Co tu począć?

— Czekaj. pojadę konno do Luisa. może mi się uda.

Bogunio był serdecznie pocziwy chłopiec. jał się zaraz wykonania. klasnął aby mu podano konia, a że w stajniach był daleko większy porządek niż we dworze. silny Tamar wyszedł w kwadrans okulbaczony. Bogunio był jeździec jakich mało, spał go, puścił i znikł.

Do Turowa nawet na około jadąc. było niespełna pół godziny drogi. zwłaszcza na Tamarze, który biegał jak prawdziwy arab.

Luis siedział z cygarem w ganku smutny i poziwający. gdy mu się ukazał tuman kurzu, potem siwek i Bogunio.

Zmarszczyło się hrabiątko.

Kuzyn stanął przed gankiem na zasapanym koniu.

— Chciałem ci pokazać, rzekł, jak to biega. niezsiadam i wracam do Wólki.

Luis był grzeczny czasem.

— No. ale niechże się koni wysapie.

Bogunio poklepał go po pod grzywą.

— Są u ciebie goście? — spytał Luis.

— Nie. nie ma nikogo i ja za parę godzin wyjeżdżam na polowanie. ale będąc na grobli. dobiegłem tu powiedzieć ci dzień dobry.

Z okien pałacowego skrzydła. wypadkiem ukazała się twarz Izy. Bogunio się uklonił grzecznie. Byłby podjechał. nie obudzając żadnego podejrzenia, ale

kląby kwiatów i baryerki niedozwalały przystępu do okien.

— Pokażę ci, zawołał po chwili namysłu, jak mój Tamar skacze!

To mówiąc, wypuścił konia ku skrzydłu. spał. przesadził kląb jeden, trochę kwiatów ułamał, skoczył przez baryerę i znalazł się pod oknami kuchni, które obie już wyglądały.

Luis trochę niespokojny i podejrzliwy, miał podbież tu pod pozorem pochwalenia konia i bliższego przypatrzenia mu się, gdy głos matki dał się słyszeć z górnego piętra pałacu. Luis musiał być posłusznym. Bogunio w chwili objął oknem cały dziedziniec, nie było nikogo, szepnął do Izy:

— Jutro rano, pod altaną, chłop chce pomówić z tobą.

I natychmiast głośno zaczął Tamara chwalić, śmiać się. Iza się zarumieniła, dopomogła mu nieco przymuszonym śmiechem; nareszcie on zoczywszy Luisę, poskoczył pożegnawszy ją, ku niemu.

— Jakto? nawet nie zsiadasz z konia? — zapytał Luis przypatrując się siwemu, co ci tak pilno, przyjechałeś jak po ogień?

— Muszę natychmiast ruszyć z domu, odpowiedział Bogunio, chciałem ci tylko pokazać Tamara i powiedzieć dzień dobry.

— I trochę kwiatków wyłamać! — rozśmiało się hrabiatko.

— Panny mi to przebaczą, ręczę.

— Pewnie, rzekł śmiejąc się Luis, jeżeli im jaką dobrą przywiozłeś wiadomość.

Na te słowa wymówione szydersko, Bogunio się serdecznie rozśmiał.

— Pannom? wiadomość! o czym? zapytał nie okazując po sobie.

— A no, ja naturalnie o tem wiedzieć nie mogę, mówił Luis, może o jakich pretendencjach, o których marzą, jak zwyczajnie stare panny.

— Byłbym złym do takiej sprawy pośrednikiem, od-

parł zimno Bogusław, bo nie ma niezręczniejszego nad mnie człowieka, do tego rodzaju interesów. Własnych nigdy poprowadzić nie umiałem.

— To nic nie dowodzi. cudze potrafisz uajdoskonelej. za to ręczę. mówił Luis.

— No. do widzenia.

— Do widzenia!

Sklonili się grzecznie, a gdy wejrzenia się ich spotkały. żaden nie wyczytał w przeciwniku badanej tajemnicy. Poczciwy Bogunio zdawał się zupełnie spokojny. a don Luis miał minę, że żartował tylko i słówko na domysł rzucił:

Być to mogło i mogło też być przeciwnie!

Tamar puścił się w galop z jeźdźcem zamyślonym.

Ani baron. ani Luzziński nie chcieli oczom wierzyć gdy powrócił.

— Jakto? nie byłeś w Turowie? — spytał Helmold.

— Owszem, jadę ztamtąd, odparł Bogunio, ale nie będę wam cedził przez zęby. że niedobłą przywożę wiadomość.

— No cóż takiego? co takiego?—zapytali oba.

— Pannie Izie miałem wprowadzić zręczność szepnąć. że jutro pod altaną będzie chłop. dla pomówienia z nią, ale ten niezdarny Luis, który się był na chwilęczkę oddalił. rzucił mi bez ceremonii w ucho domysłem. iż musiałem przybyć w poselstwie do pańien od ich konkurentów. Z tego wnoszę. że się już czegoś domyślają.

Dwaj panowie spojrzeli po sobie.

— Gdyby się domyślali. rzekł Walek, toby woleli nie mówić, a złapać.

— Ba! ba! woła odstraszyć, niż robić awanturę. odpowiedział Bogunio. Ja ich znam. coś niedobrego być musi.

— Ale zkądże? jak? panuy się zdradzić nie mogły! Któżby doniósł? kto był? kto na tę myśl uaprowadził?

Trudno było odgadnąć, a nawet zgadywać, Bogunio mało co wiedział z tego co się w Turowie dzia-

ło. Całą nadzieję pokładano w panu Mamercie, który nocą miał przybyć dla widzenia się z temi panami.

Pan Mamert Klandzyński mimo iż zdawał się pożytkującym sprawie hrabianek i ich improwizowanych konkurentów, lękał się cienia podejrzenia, któreby go na zemstę hrabiny i du Vala wystawiło. Z baronem komunikował się z nadzwyczajną ostrożnością i rzadko. Kartki, któremi z sobą korespondowali patryarchalnym sposobem, ze starych romansów zapożyczonym, kładły się w dziuplę dębu, który stał nad grobelką między zwierzyńcem a ogrodem. Jedną z takich, zmienionym charakterem pisanych, oznajmywała właśnie, iż w nocy pan Mamert stawi się dla rozmowy pilnej u furtki ogrodu w Bożej Wólce.

Reszta dnia przeszła bardzo cicho, gospodarz polecił, aby ludzie zwracali baczną uwagę na to, czy kto z Turowa pod pozorem jakiego interesu się nie wśliznie i aby mu zaraz o tem doniesiono. Do wieczora wszakże nie pokazał się nikt, a dawno przed umówioną godziną znajdowali się już u furty i baron Helmold i Laziński. Oba milczący musieli obrać sobie stanowisko w kątku zacienionym, gdyż jak na złość, księżyc w pełni świecił jasno i jak we dnie było widno.

Niecierpliwość już brała nie tyle galicyjskiego barona, co podrażnionego Walka, gdy wśród krzaków pokazał się przesuwający ostrożnie człowieczek, który tak dostał się do nich zręcznie, iż go promień księżycy nie musnął.

Pan Mamert miał na sobie ubiór niezwykły, a postać tak potrafił zmienić i wykoszlawić, iżby go z niej najlepszy przyjaciel nie był poznał.

Wszyscy trzej wsunęli się w gąszcz niewielką, a oczekujący opadli Klandzyńskiego z niecierpliwością wielką, dopytując się, co słychać.

— Otóż źle słychać, zawołał stłumionym głosem Mamert, jest rzeczą pewną, że ktoś zwietrzył i wydał nas. Gdy mówię nas, nie tyczy się to mnie, ale panów, bo zdaje się, że o mnie jeszcze nikt nie wie.

Wczoraj rano zawołano mnie do pokoju hrabiny,

zastałem tam du Vala. oboje widocznie bardzo niespokojnych. Niepotrzebuję dodawać, że we mnie dotąd mają ufność nieograniczoną. Wszedłszy, postrzegłem zaraz, iż zakłopotani są i nie pewni co poczną. Hrabina poczęła od tego, że wierzy w moje stałe przywiązanie do rodziny, której od tak dawna służę i że potrafi mi być wdzięczną, jeżeli zechcę dać dowody mego dla niej poświęcenia. Naturalnie, oświadczyłem, że na posługi gotów jestem. Naówczas du Val i hrabina, nie wymieniając źródeł, oświadczyli mi, iż wiedzą z pewnością, że panny umyśliły uczynić zuchwały krok dla uwolnienia się i ucieczki z Turowa. Zapytałem z kim? wymieniono mi pana barona.

— A! mnie wymienili!

— Tak, jest, mówił dalej Mamert — znać więcej nie są pewni. Dodali, iż posądzają pana Bogusława, że do intrygi czynnie dopomagać zechce i polecili mi skrytą straż do koła dworu urządzić, tak, żeby ani z miasteczka, ani z poczty, żaden człowiek, żaden list nie przeszedł do panien, nie rozpatrzony wprzód i nie wybadany przez nich.

— Ale kto? kto mógł zdradzić? przerwał baron, powiedz.

— Nie podobna się ani domyśleć.

— Czy pannom czyniono wymówki, czy były sceny? spytał Luziński.

— Bynajmniej, nie dano im nic do zrozumienia, we dworze wszystko jak było, tylko niby strażę stoją.

— Kto był o te czasy we dworze? dorzucił baron.

— Doktor Mylius tylko, zdaje się, że nikt więcej, ale z poczty przyszedł podejrzany mi list jakiś z miasteczka, nieznaną pisany ręką.

— Cóż pan radzisz? spytał baron.

— Radzę na kilka dni przynajmniej, dla zmylenia ich, zupełnie się zachować cicho. Baron niech odjedzie do krewnych, a pan się pokazuj często w miasteczku.

Żądano podobno od doktora Myliusza, aby starego hrabiego kazał dla lepszego dozoru przewieść do

miasta. a zdaje mi się, że doktor albo tego nie dora-
dził. lub przynajmniej na to nie nalegał.

Mamert westchnął.

— Zlitujcie się panowie. ostrożności! nie można
jej mieć nadto! Jeżeli się przed czasem wyda rzecz ru-
nie wszystko.

Chwilę milczeli spiskowi.

— Jednakże mnie się zdaje. przerwał baron. iż pe-
wne przygotowania poczynić by nie zawadziło?

— Chyba takie, z których by się nie domyslać nie
można.

— Ja jutro rano przebrany mam być pod altaną.
szepnął Lniński. potrzebuję pomówić z hrabianką Izą,
ona wie o tem.

— Wie?! podchwycił przerażony Mamert; wie?
już? jakim sposobem?

Gdy mu powiedziano o bytności Bogunia, stary
lis zadumał się chmurno.

— Wszystko to nie dobre. rzekł. a jutrzejsza ran-
na rozmowa...

— Czy pan ją znajdujesz niebezpieczną? zapytał
Walek.

— Wszystko teraz niebezpieczne. westchnął rząd-
ca. Za hrabianką z rana wyjdzie pewnie szpiegować
służąca. Będą wiedzieli. że gadała z chłopem i...

Mamert pochwycił się za włosy.

— Jeżeli mi pan nie radzisz iść?..

— Ja ani radzę, ani odradzam, ani wiem co począć,
szepnął Klandzyński, jedno tylko mówię — najwię-
kszej potrzeba ostrożności. bo i ja przepadnę i wszyst-
kie projekta...

W ten sposób mniej więcej przeciągnęły się na-
rady. nie mogąc do niczego doprowadzić, było rzeczą
oczywistą. iż ktoś denuncyował konkurentów. szcze-
gólniej zaś barona.

Rządca po rozmowie tej. z której niepodobna
było poznać jego usposobień. gdyż zdawał się dziwnie
wahającym. a nadewszystko tchórzliwym. wymknął

się nazad. a Walek wrócił do swojego pokoju namyślać się co począć. Iść czy nie jutro? jak postąpić?

Chodził po gościnnem swem mieszkaniu. gdy gospodarz. któremu te nieco awanturnicze knowania niezmiernie grzypadały do smaku. sam osobiście przyniósł cały ubiór wiesniaczy. jak najstarszemu dobrotliwy do wzrostu. nie w nim nie brakło począwszy od butów. do koszuli i kapelusza.

Luzińskiemu uśmiechała się też maskarada poetyczna. ale gdy sobie przypominał dn Walę. Luisa. gdy począł przypuszczać. że może być zasadzka. że ci panowie mogą się dopuścić na nim jakiego gwałtu. truchlał. Odwagi nie miał wcale. chyba tam. gdzie się bez niej obejść było można. Popatrzał na przyniesioną odzież. ścisnął gospodarza.

— Mój dobry Bogusławie. rzekł — dopiero teraz widzę całe zuchwalstwo mojego kroku. Kłaudyński zaręcza. że szpiegują nadzwyczajnie. a mąż... Czy nie pożyczylbyś mi rewolwera?

— No! najchętniej — zawołał Bogunio — najchętniej: chociaż mam nadzieję. że do niego nie przyjdzie. Luziński się zamyslił.

— I jeszcze mi jedna myśl przychodzi. dodał — najlepiej by było może pod altanę podjechać na koniu. bo mąż zaczął gonić.

Bogunio okrutnie śmiać się zaczął. co Luzińskiego obraziło. mimo to. pocałował go gwałtem w czoło i począł śmiejąc się:

— Kochany Walu. ciebie Pan Bóg do tych rzeczy nie stworzył. ty możesz być bardzo odważnym za stolikiem. ale się wzięłeś do roboty. do której nie masz. lękam się — ani serca. ani głowy. Do tego potrzeba głupszego może. ale innego kalibru człowieka. Tu poetycki geniusz na nic. Przepraszam cię. nie gniewaj się. żal mi cię bardzo. będziesz się musiał dobrze wymęczyć! Ślepo idź za baronem. ten pewnie lepiej sobie rady dać potrafi.

Luzińskiego miłość własna zawsze drażliwa. nie

dopuszczała mu przyznać Boguniowi. że miał słuszość, chociaż czuł to sam może.

— No, — no, ofuknął się — nie troszcz się tak bardzo o mnie.

— I myślisz iść jutro na ranną schadzkę?

— Pójdę.

— Przyznam ci się, że nie bez obawy widzę cię na nią się puszczającego.

Luziński także nie był bez obawy. choć się do niej nie przyznawał. ale cofnąć się było niepodobna i okazać tchórzem w oczach kobiety.

Bogunio dostarczył mu rewolwera, gotów był nawet dać konia, ale gdy się okazało. że dla kolorytu należało go dosiąść oklep. a na wypadek pogoni galopować bez siodła, Luziński wolał się już własnym nogom powierzyć. będąc pewny, że koń zrzuci przy pierwszym silniejszym wybryku.

Nazajutrz, o trzeciej rano, bohater nasz już był przebudzony. a w godzinę potem począł wdziawać wieszniaczą odzież, która mimo wdzięku poetycznego na obrazkach. nie wydała mu się wcale ani wygodną. ani piękną. Koszuła była niesłychanie gruba i robiła mu wrażenie szczotki na skórze. buty okazały się niepomiernie szerokie i strasznie ciężkie, na wypadek ucieczki zwłaszcza. kapelusz zapadał na oczy. W dodatku, gdy się przejrzał w zwierciadle. znalazł się wcale niepięknym i westchnął. myśląc. że hrabianka w tak niekorzystnem świetle go zobaczy.

Bądź co bądź iść było jednak potrzeba i wieszniak wysunął się znaną już sobie drogą. Ranek był mglisty i pochmurny, powietrze parne. strój ciężki. wędrówka trudna. a najmniej szezest urwożył biednego.

Przebycie płotu w zwierzyńcu. w nowym stroju, także trudniejszem się teraz okazało niż pierwszym razem. Naostatek spocony znalazł się na grobelce wiodącej ku parkowi i altanie. Zdaleka widac w niej było tylko okna zamknięte. ale do koła żywej duszy. Zbliżywszy się z bijącym sercem ku oknom dotąd jeszcze pozasuwanym żaluzjami. Walek wybrał sobie miejsce

zakryte w krzakach. z którego altanę widać było i siadł, czekając. aż się niewieścia ukaże postać.

W takim położeniu chwile stają się godzinami, wiekami godziny. Patrzał i patrzał na zielone żaluzye. które stały zamknięte. Tym czasem mgły zwolna podnosić się zaczęły. niebo osłaniać chmurami. a słońce kiedy niekiedy okazujące się z za obłoków. piekło jak w południe. Podniosło się już było dobrze nad horyzont: a od strony ogrodu nie było znaku życia. Walek sam nie wiedział już czy oczekiwać dłużej. czy powracać? Nie był pewnym. czy hrabianka przyjsć ze chce i będzie mogła bezpiecznie...

Wtem gdy tak rozmyślał nad istotnie przykrem położeniem swem. usłyszał szelest. spojrział na okno, żaluzya zwolna odsunęła się, ale zamiast twarzyczki którą by był Luzziński w niej rad zobaczyć, ujrzał ze zgrozą i trwogą wąsatą twarz du Vała, który stał w koszuli w otworzonym oknie. wyciągał się i przeraźliwie ziewał.

Zdawało się z ubrania tego. iż Francuz noc przepędził dla chłodu w altanie. Rozglądał się do koła oknem. Chociaż Luzziński pewnym był prawie. że go zobaczyć nie może. przeląkł się wszakże i widząc. że już nie ma na co czekać. zabierał się do odwrotu. Nie był on jednak do wykonania łatwym. gdyż pomiędzy krzakami obrastającemi groblę były przerwy, a rowem iść i mokro było i trudno drzeć się przez gąszcze.

Du Val. jakby na złość. stanąwszy twarzą do grobli. nie ruszał się. rękami wziął się w boki i myślał zapewne o niebieskich migdałach. gdyż głowę zwiesił i stał jak słup. Potem począł świstać jakąś piosnkę, potem siadł sobie w krzesle pod oknem i zdawało się. że tak pozostanie może przez pół dnia. gdyż widocznie nic pilnego do roboty nie miał.

Luzziński kłął własne zuchwalstwo, ale co było począć? siedział obawiając się nawet ruszyć. gdyż był tak blisko altany, że najmniejszy szelest mógł go zdradzić.

Miał tylko zrećność wystudyowania rysów fizyognomii Francuza, który był jeszcze bardzo przystojny i wyglądał marsowo, barczysto. silnie.

Gdy go tak oczyma śledził. du Val wysnął się z okna. zdało się, że ktos go odwołał. niedosłyszanej rozmowy szmer doszedł do uszów Walka, Francuz zaczął się śmiać. potem nie zupełnie otworzone okno, szeroko rozwarł i wprowadził w nie hrabiankę Izę.

Miał już na sobie ramy jakiś przyodziewek. narzucony na przedce.

Iza stanęła w oknie. popatrzała na groblę uśmiechając się, zagadła coś do Francuza i z prawdziwie niewiesciem zuchwalstwem. mówiąc do niego, schyliła. wydobyla chusteczkę i strząsnęła ją za oknem. biały bilecik wypadł widocznie na gościniec. Luzińskiemu zrobiło się zimno — a może go ten diabeł Francuz zobaczy? Było się nieco wychylił. musiał go dojrzeć. bo kartka padła na szarą ziemię. dość daleko od muru i bardzo widoczną była; niestety! — Luziński już nie mógł odejść, póki by jej nie zabrał, ale jak się tu było zbliżyć? Hrabianka Iza zagadywała du Vala nadzwyczaj zrećnie. potem przyuknęła na pół żaluzje i mówiąc z nim, od okna odeszła.

Była to jedyna chwila do podniesienia kartki i Walek choć drżał jak w febrze. wysnąć się musiał na gościniec. dopadł do papierka, schował go. a potem żywym krokiem ku Bożej Wólce nchodzić zaczął. Obejrawszy się. postrzegł. że go hrabianka zobaczyła i nieznacznie się uśmiechnęła, ale w tej samej chwili ujrzał go też du Val i domyśliwszy się znać czegoś. pożegnał głową Izę. a sam pnął się natychmiast z altany przez furkę na drogę. Nim pogoń usłyszał za sobą Luziński. poczuł ją i żywo zaczął uciekać. Hrabianka z okna chustką dawała mu znaki. by co najżywiej nchodził. Już też i z ogrodowej furty ukazał się Francuz. krzycząc na chłopca, aby się zatrzymał. Ale chłop mimo ciężkich butów. zmykał co siły. Du Val pnął się za nim.

Szczęściem dla Luzińskiego droga się skręcała.

tak. że Francuz go z oczów stracił. a strwożony Walek natychmiast rzucił się w bok i znikł w olszowych gąszczach. Miał tam po kostki błota, ale był stosunkowo bezpiecznym.

Hrabianka Iza poczęła oknem, śmiejąc się do rozpuku. wołać na du Vala:

— Co pan robisz? co się pann stało? *quelle mouche vous pique?*

Francuz stanął. bo nie miał już nadziei dopędzenia, Iza udawała obojętną i zdziwioną. aż do śmiechu.

— Panie du Val! czy pan myślisz. że to był złodziej co kradł z sadu owoce? kto to był? czy pan go widziałeś? dla czego pan popędziłeś za nim?

Ale Francuz stał nie odpowiadając nic. głową potrząsał tylko i ramionami ruszał; bolało go. że nie zrobiwszy nic. naraził się na śmieszność. Śmiech panny lzy niezmierwie go gniewał. Domyślał się. że coś zaszło, że był na tropie jakiejs intrygi. która mu się z rąk wyslizgnęła. powrócił podrażniony, hrabianka szydziła nienіłosiernie.

— A! prawdziwie. wołała przez okno. nie mogę się wstrzymać od śmiechu! Co pan myślałeś? Biedny chłopak. widząc że gonią. instynktowo poczał uciekać. A! *que vous étiez donc drôle.* Monsieur du Val! na co go było gonić. wszak to przecie droga publiczna. którą wszystkim jeździć wolno.

Du Val zamilkł. ale dał sobie słowo. że na drugi raz ostrożniejszym będzie.

Luziński. gdy się nciszyło. przesiedziawszy w błocie chwilę. poczał się przedzierać nazad ku zwierzyńcowi. Szczęściem tu. na strwożonego rozbitka. oczekiwał litościwy Bogunio. przewidując. iż może być mu potrzebnym i w istocie dodał sobą otuchy. a znając lepiej miejscowość. przeprowadził go niepostrzeżonym do dworn. gdzie natychmiast suknie chłopskie pod klucz zostały schowane.

Luziński nie miał czasu jeszcze przeczytać kartki. o której nawet przyjacielowi nie chciał wspominać; wyznał mu tylko. jak zamiast hrabianki spotkał

w oknie du Vala, że Iza później nadeszła, że się mężnie zbliżył i ścigany przez Francuza uchodzić musiał.

Bogunio z tej całej przygody był nadzwyczaj szczęśliwy, ręce zacierał, śmiał się, krzyczał, śpiewał i dziękował nawet Luzińskiemu, że go w tak zabawną sprawę wciągnął.

Jeszcze się byli nie nagadali, o tem, gdy już w dziedzińcu zaturkotało. Bogunio wyjrzał, zobaczył na bryczce du Vala z Luisem, szybko otworzył drzwi i szepnął słudze zantfanemu, aby im powiedział, że we dworze nie ma nikogo, oprócz pana, który śpi.

Niezmiernie sprytny i doskonały komedyant, prawiła ręka gospodarza. Tomek, wyszedł na ganek, wdiewając surdut, który naumyślnie zrzucił, i ziewając przeraźliwie.

Luis stał na schodkach.

— Kto u was jest? spytał.

— Jakto, proszę hrabiego?

— Są goście?

— Nie, wszyscy na polowaniu, proszę hrabiego... pan także jeździł wczoraj, ale powrócił i śpi. Nie kazał się budzić, bo bardzo zmęczony.

Przybyli spojrzeli po sobie.

— Baron dawno odjechał? spytał Luis.

— Jaki baron, proszę hrabiego? począł Tomek, udając przedziwnie, że nie rozumie.

— Baron! baron Galicyanin!

— Dalibóg, niepomietam już kiedy!

— A wczoraj był tu kto?

— Wczoraj, jasnie panie? powtórzył Tomek namyślając się. — a tak! był Szłoma Mazurek, był Jonasz Atlas i pan Bondarzewski.

— Więcej nikogo?

— Ale o kogoż jasnie pan chce się dowiedzieć? spytał Tomek.

— Dziwna rzecz, żeby u was były takie pustki!

— A no, to prawda, proszę jasnie pana, ale pan temi dniami pisze

Luis ruszył ramionami.

— Więc pan śpi! o której wstaje?

— Pan wstaje różnie, czasem o trzeciej w nocy, a niekiedy o południu, nasz pan. proszę hrabiego. już taką ma nieregularną naturę.

Du Val odezwał się po francuzku:

— Albo z nas żartują. albo nie ma nic; możeby za pieniądze gadał.

Luis pomyślał. dobył rubla i dał Tomkowi. który z ukłonem schował go co najprędzej do kieszeni.

— Mów prawdę, rzekł cicho. kto tu był i czy nie nocował u was... z miasteczka kto. albo z okolicy?

Tomek zrobił minę chytry głupekowatą, serdeczną. zbliżył się do ucha hrabiemu i szepnął:

— Jak to jasnie hrabia wszystko wie, istotnie nocował.

— Kto?

— Jonasz Atlas na folwarku, choć pan go wypędził. to prawda. dopiero dziś rano wyjechał.

Spojrzał tryumfująco na Luisa. który wąsa pokręcając siadł w ganku i rzekł:

— Poczekam aż pan wstanie.

— Proszę jasnie hrabiego. odezwał się Tomek. ja mogę tak zrobić, że go nie będę budził. a zostanie zbudzony; pójdę wywrócę krzesielek ze dwa w przedpokoju.

Luis zaczął się śmiać. Tomek pobiegł i zdał we drzwiach raport Boguniowi. Natychmiast gospodarz kazał sobie podać szlafrok i pantofle, włosy rozrzucił, minę zaspianą przed zwierciadłem sobie ułożył (bawiło go to niezmiernie) i kłując Tomka, wyszedł powoli na ganek. Tu zobaczywszy du Vala i Luisa. zdziwiony krzyknął i począł ich witać z najprzesadzeńszą, ironiczną prawie serdecznością. ale Luis był zły i milczący.

Kilka razy chciał seryo począć rozmowę, a Bogunio mu nie dał. wszystko obracając w żarty.

Podano kawę.

— Mój kochany kuzynie, odezwał się Luis, który już dłużej wytrzymać nie mógł, mówmy seryo!

— A no, ty zaczynaj i daj ton! albo ty, kochany panie du Val.

— Bez żartów. — powiedz mi, czy jesteście przyjaciółmi, czy mamy być wrogami?

— Wrogami! ja z tobą?

— A tak! krzyknął Luis, trzeba raz jasno się wytłómaczyć!

— Tłómaczmy się, o co idzie?

— Nie domyślasz się?

— Nic a nic.

— Znasz położenie nasze. Starsze siostry moje, które z woli ojca i mej matki powinny były pójść do klasztoru...

— A! tego nie wiedziałem. przerwał Bogunio.

— Tysiącznemi intrygami usilują wyjść za mąż. za nie wiem tam kogo. Turów obłączony jest przez awanturników. Chcecie im pomagać?

— Awanturnikom? — spytał Bogunio, nie! — nie! Ale gdyby kto uczciwy starał się o nie, dla czegożbym z serca nie dopomógł? Trzymacie je w niewoli, a ja niewoli nie cierpię. chcecie zmuszać do klasztoru, gdy powołania doń nie mają. Każdy uczciwy człowiek stanie po ich stronie.

— A! tak! domyślałem się właśnie, że przeciwko nam, za niemi będziecie. Wczoraj przyjeżdżaliście z czymś do hrabianek, z jakimś poselstwem tajnem. a dziś starsza. panna Iza, poszła do dnia wyczekiwać na kogoś do altany. Szczęściem, że tam zastała dn Vala, a mimo to przebrany ktoś za chłopca...

Bogunio śmiać się zaczął.

— To prawda, że strach ma wielkie oczy! Kochany Luis, śnią ci się rzeczy niebywale, całego twego galimatjasu nie rozumiem.

— Tak! ale ja go zrozumiałem i jestem przekonany. że pan nam tu pod bokiem snujesz intrygę.

— Jeszcze nie, odezwał się Bogunio chłodno. ale jeżeli się trafi zręczność dopomożenia tym nieszczęśliwym pannom, daję ci słowo. nieomieszkam.

Luis rzucił nań okiem pełnym gniewu. a du Val podniósł się, spał na stole i odezwał:

— Czy pan nas wyzywa?

— Nie wyzywam nikogo, zimno rzekł Bogunio, ale wyzwany nigdy nie odmawiam ani kieliszka. ani żadnej innej broni.

— Pan więc chce mieć ze mną do czynienia? — spytał Francuz.

— Ale najprzód chcę wiedzieć o co? za co? po co?

— Rzecz jasna. przerwał Luis. u pana się tu ukrywają jacyś awanturnicy, tu ich główna kwatera. ztąd się czynią na Turów wycieczki. My tego ścierpieć nie możemy, albo nas pan przekonaj. że w istocie nie ma nikogo!

— Co? co? chciałbyś mi rewizję robić w domu? a! to przedoskonałe!

I poczał się śmiać. dzwoniąc na Tomka. Tomek z miną niewinną ukazał się w progu.

— Zamknij drzwi na klucz. rzekł wstając gospodarz i raz na zawsze pamiętaj. że ci panowie do mego domu wstępni nie mają! rozumiesz.

— Za pozwoleniem! — zawołał du Val. To się tak nie skończy!

— A jak? — rzekł zimno Bogunio.

— Ja pana wyzywam.

— Z prawdziwą satysfakcją służyć będę panu, don Luisowi. a choćby jeszcze ze trzem. Nic zdrowszego i bardziej orzeźwiającego nad dobry pojedynek. O warunki umówią się przyjaciele.

To mówiąc, Bogunio wstał. skłonił się gościom. odwrócił do nich tyłem i poczał dawać rozkazy Tomkowi jak gdyby nic nie zaszło.

Don Luis zły siadał na bryczkę. Francuz nie lepszym był, ale się zmiarkował. bo wiedział, że w Bożej Wólce. na gruncie Bogunia, żartować z nim nie było bezpiecznie. Odjechali. Gospodarz szepnął Tomkowi:

— O tem wszystkiem ani słowa nikomu! rozumiesz?

— E! już to ja wiem, proszę jasnie pana. to nie pierwszyczna.

Dla Bogunia, który skłonnym był do undzenia się, nic w świecie przyjemniejszego być nie mogło nad tę rozrywkę, zacierał ręce i trzepotał się z radości. Przed baronem jednak i Walkiem, spotkanie swe opowiedział w taki sposób, żeby się prawdy domysleć nie mogli.

Luziński skorzystał z wolnej chwili, by kartkę nareszcie rozwijać i nasycić się pierwszym w życiu ortograficznie pisanym listem kobiecym. Właściwie nie był to list może, ale śliczna angielskiego papieru małeńka karteczka, na której pochyłym niewieścim, do trzciny wiatrem zgiętej podobnym charakterem, nakreślone były następujące wyrazy:

„Odwagi, cierpliwości, wytrwania, mężstwa i ostrożności! Niewiadoma osoba obudziła podejrzenia trzeba je uspić, na czas jakiś się przeczaić, milczeć, czekać. Ale żadne w świecie przeszkody niezdolają złamać danego dobrowolnie słowa, świętego jak przysięga. Bądź spokojnym, czekaj, dam znać.”

Niżej dodano później i pośpieszuje:

„Choć M. K. zdaje się życzliwym, choć wie o wszystkim, choć od niego zależy wiele, trzeba się mieć na baczności. Niestety! komuż wierzyć na świecie?!”

Luziński kartkę ukrył, zasepił się, a po wyjeździe gości z Turowa, ruszył pieszo do miasteczka. Baron wynknął się także i pojechał do krewnych.

Natomiast chwilowo rozpierzchli rezydenci, darmozjady, przyjaciele Boguniowych półmisków, naza jutrz już ściągać się tłumnie poczęli.

Rad im był niezmiernie tym razem, bo go pojedynek korcił.

Najwłaściwiej za pośrednika doń, kwalifikował się stary, jeszcze Napolcoński żołnierz, ale krzepki i cndownie zachowany, niejaki major Darmocha. Służył on oprócz tego w Grecyi, w wojsku saskiem, był jakiś czas w Ameryce, a z tych swych mnogich przy-

gód i podróży. wyniósł temperament zahartowany. żelazny. zdrowie idealne, zimną krew niezmierną i oryginalność charakteru, odznaczającą go wśród tysięcy.

Spojrzawszy na jego marsowe oblicze, wąż najezony do góry. brwi rozrosłe. czoło pofałdowane. minę posępną. można było sądzić. że to najstraszniejszy zrzęda i złośnik. mimo to Darmocha był szyderca jakich mało, żartował ze wszystkiego bez wyjątku. nawet z siebie. ale zawsze z miną seryo i powagą niewzruszoną. Gdy inni za boki się trzymali. on się srożył.

Major chodził. jakby nogi miał drewniane. rękami ruszał twardo. głową obracał jak na sprężynie. a trzymał się. jakby kij połknął.

— Majorze dobrodzieju! — zawołał zobaczywszy go Bogunio. mamy gratkę. bierz z sobą Szabelskiego i jedź się umów z du Valem, Francuz mnie wyzwał.

— O! o! — zawołał kręcąc węża Darmocha, chce być naszpikowanym, dalipan to smaczna rzecz. Jak chcesz go przyprowadzić. czy na zimno, czy na gorąco?

Miało to oznaczać szable. lub pistolety.

— Ale jak ci się podoba majorku. byle farsy tej nie zwlekać.

— Czy Francuz się bije. czy się godzi? — spytał Darmocha.

— Sądzę. że się i bić potrafi. odparł Bogunio. ma minę odstawnego porucznika z kawaleryi.

— Dawaj koni, a najprzód kieliszek wódki. abym był energiczniejszy. rzekł major i przygotuj się na siekanie. bo ja z pojedynku żartów nie robię.

— Ani ja. I proszę majorka. aby nie odkładać. Jeżeli Luis. kuzynek mój bardzo natarczywie zechce się bić także, no. nie odmawiam. ale wolałbym jedynaka i ułonnego nie zabijać.

Major wsiadł na bryczkę. zapalił fajkę, Szabelskiego. który nigdy nie gadał. wziął do boku i pojechał do Turowa.

Przybycie ich przed pałac. zapewne nieco prze widziane, widocznie zrobiło tu niemałe wrażenie. Zrazu nikt ze sług powiedzieć nie umiał, kto jest, a kogo

nie ma w domu. zostawiono sekundantów długą chwilę na dole, w saloniku Luisa. a każdy z lokajów, który się zjawił, coś niezrozumiale wybąknąwszy. nie dając nic dobyć z siebie, odchodził.

Po dosyć długiem oczekiwaniu. uaostatek drzwi się otwarły i wszedł wyelegantowany. nadęty Luis.

Major z miłą jeża rozgniewanego, przedstawił mu się:

— Major Herman Darmocha, kapitan Siegfried Szabelski. przysłałi jesteśmy przez pana Bogusława Turowskiego. dla pomówienia z panem du Val.

— Ja służę mu za przyjaciela, rzekł krótko Luis. o co chodzi?

— O wybór broni, miejsca i czasu, odpowiedział major.

— Czy pan Bogusław czuje się obrażonym?

— I wyzwany. dodał major.

— Czy pojedynek jest nieuchronnym?

— O tem nie ma mowy. odparł major.

— Ale du Val z powodu bardzo pilnego interesu odjechał i nie wróci, aż za... nie wiem w istocie kiedy. Darmocha odskoczył.

— Cóż to? stchórzył? — zawołał, wszak sam wyzwiał. wiedział dobrze, iż się to tak skończyć nie może.

— Uniósł się niepotrzebnie. szepnął wskazując krzesło Luis. Pan major jesteś przyjacielem Bogusława. znasz stosunki nasze. łączy nas z sobą pokrewieństwo. Pojedynek du Vala miałby znaczenie. łatwo fałszywie dające się tłómaczyć, trzeba mu zapobiedz.

Major palcami na stole zaczął grać marsza, zmarszczył się. pomilczał chwilę.

— Mości hrabio, rzekł. to sprawa tak dla mnie niezrozumiała. że ja już dalszego traktowania o nią podjąć się nie mogę, kłaniam uniżenie. ale jeśli przypadkiem na gościńcu pan Bogusław strzeli w łeb francuzowi. ja nie będę wiuien i poświadczę. że był w prawie.

— Ale panie majorze! na miłość Boga! pomówmy o tem inaczej.

— Inaczej ja nie umiem. zawołał major. Panie Szabelski. co pan na to?

— Ja na to? umhu! — rzekł Szabelski. umhu.

Na więcej Szabelski zdobyć się nie mógł.

— Widzisz hrabio. mój towarzysz ma toż samo co i ja przekonanie, nie ma ratunku. chyba by pan du Val na piśmie przeprosił.

— No, to przeprosi na piśmie! — zawołał gniewnie hrabia.

Major się począł śmiać i pokazał resztki zębów poczerniałych od fajki. których u niego od wielu lat nikt nie widział.

— A jak honor kocham. że to zabawna historia. panie Szabelski? co?

Szabelski dodał:

— Umhu!

Luis potniał i bladł. ale czy miał rozkazy mamy. czy sprawę tę rozważył inaczej. czy niewiadomo z jakich wreszcie pobudek zniósł urąganie się, zaciął usta. zniłczał.

— Wiesz panie hrabio, rzekł biorąc za czapkę major. co ja bym robił. będąc na miejscu pana Bogusława? he? w łeb bym mu nie strzelił. bo to zawsze brzydtko wygląda człowiek z rozbitą czaszką. ale bym mu dał dwadzieścia pięć takich odlewanych...

Hrabia udał. że nie słyszy. zagadywał. chrząkał.

— Zatem nie ma tu co robić. rzekł major. odsunął się. aby nie podawać ręki. pluwał na podłogę. włożył czapkę. puścił Szabelskiego przodem i wyszedł.

W istocie hrabina nie dopuściła, aby du Val i syn się pojedykowali. A co śmiechu było w Wólcie i sąsiedztwie!!

ROZDZIAŁ III.

Nie ma nic w świecie niebezpieczniejszego dla człowieka, któremu zbywa na wielkiej energii, nad nagłą zmianę formy życia, nawyknień obyczajów, nawet miejsca, do którego wrósł długim nałogiem.

Od czasu sprzedania Walterowi apteki, Skalski, który dzieci usłuchał i pozbył się kamienicy, a był zmuszony wynosić się do nowo nabytego Paprotyna, chodził milczący, roztargniony, przybity i widać było po nim, że w sobie kryje zwątpienie, z którym walczy napróżno. Wszyscy co go znali, znajdowali go nadzwyczaj zmienionym, ale nie mówił nic, nie skarżył się, owszem, opowiadał w myśl syna o nabytej majątności, niby się nią cieszył; zostawiony przecież sam sobie, czasem lży z oczów ocierał. W domu nie było co robić, każdy kąt mu przypominał przeszłość, wychodził na miasteczko, smuł się, włóczył, patrzył po murach i ciągle mu się na lży zbierało.

Widać było z mowy jego, że się do niej przymuszał, że mu nie płynęła z duszy, uśmiechał się ale ustami tylko, milczał całemi godzinami, a do domu wróciwszy, zakopywał się w kątek i nieruchomy siedział z oczyma wlepionemi w ścianę.

Rozweselić go było niepodobna, śmiał się, ale smutnie, jak poczciwa machina, która robi to, co jej każą, ale nie czuje, co robi.

Stał się może łagodniejszym i lepszym niż był kiedykolwiek — obudzał jednak politowanie, jakby istota, z której część życia wypłynęła.

Mylius. który miał trafny nader instynkt lekarski. pierwszy postrzegł. że Skalski nie wiedząc sam o tem. jest zagrożony, nie chcąc go przestraszać, powiedział tylko synowi, iż znajduje ojca wcale nie do brze.

Roger rozśmiał się pogardliwie.

— Sni ci się doktorze. zdrow jak ryba. je. pije. spi. wesół jest. milczący. może mu trochę żal miasteczka i apteki. ale się z tem obędzie.

— A ja ci mówię. powtórzył doktor. że ojcu twemu jest źle i bardzo źle. Będzie tak jeszcze czas jakiś chodził. uśmiechał się. nieposkarży się nawet i... jak się poloży — nie wstanie.

— Ach! to doktorskie strachy na lachy! rzekł Roger — ja ojca lepiej znam.

Mylius odszedł milczący. Roger ani myślał o tem. Stary Skalski chodził tymczasem z nśmieszką swym. siadywał po kątach. drzemał coraz częściej, zwłaszcza po obiedzie. i — dostał jakby łagodnej nieprzytomności umysłu.

Nie było to. właściwie rzekłszy. obłąkanie — było to wyżycie się smutkiem. Trzeba mu było powtórzyć czasem kilka razy jedno pytanie. aby je zrozumiał. przypominał sobie trudno. nic go zresztą nie obchodziło. uśmiechał się ze wszystkiego.

Dawał na siebie gderać ile chciano, nie odpowiadając. potem wśród towarzystwa. porywała go drzemka i najspokojniej nsypiał. Matka i córka postrzegły pierwsze. że istotnie nie był to stan normalny.

Roger jeszcze tego nie chciał widzieć. Wezwano Mylius. który przyszedł. zapisał lekarstwo i odszedł nie prawie nie mówiąc. Nazajtrz. Skalski lekarstwo oknem wyrzucił. powiedział. że je brał i... siedział w kącie pokoiku spokojnie. prosząc. aby mu dano odpoczywać.

W takim stanie znalazł go Walter po obiedzie. raz przyszedłszy. Szczęściem. panny Idalii nie było w domu. bo by im razem z sobą długo pobyc nie dała. Trwała ona tak uporczywie w swym planie. iż się już

była parę razy niemal oświadczyła Walterowi. ale on udał. że nie rozumie. Mimo to, jakoś teraz przychodził częściej i jak ciekawy człowiek w studnię. zaglądał w głąb duszy tej niewieściej. na której dnie było czarno.

Znalazł Skalskiego w jego pokoiku. w kącie, na sofce, z oczyma wlepionemi w podłogę, siedzącego nieruchomie. Machinalnie gospodarz powitał gościa. posadził. a że obcy zawsze go więcej rozbudzał, zdawał się nieco ożywionym.

— Czy pan niezdrowszy jesteś, kochany panie Skalski? spytał go łagodnie przybyły, ujmując za rękę.

— Niezdrowszy! któż to panu mówił? owszem! owszem, jestem najzupełniej zdrow. nic mi nie jest. nic na świecie.

— Nie czujesz pan zmęczenia?

— Nie — nie — nie. owszem, zdrow jestem. rzekł krótko Skalski. odwracając rozmowę. potem ziewnął. zapatrzył się w sufit i umilkł nagle.

— Nie poszlibyśmy się przejść? spytał Walter.

— O! nie! nie! po co przechadzać się? siedzieć, proszę siedzieć.

I znowu milczenie. a Skalski powoli się zdręmywał.

Waltera twarz wyrażała politowanie. ujął go za rękę.

— Panie Marcinie! rzekł, zmieniłonym nieco głosem. łagodnie.

Słyszając swe imię z ust jego, aptekarz otworzył oczy i począł się uśmiechać, patrzył nań, ale szukał oczyma. ktoby to takim głosem jego imię wymówił.

— Panie Marcinie, powtórzył Walter. mów co chcesz waćpan. nie jesteś zdrow.

Aptekarz na pół znów oczy rozwarł i tylko się uśmiechnął. Zdało się. jakby to łagodnie wymówione imię jego. przeniosło go w inne czasy.

— Widzisz, rzekł cicho — nie trzeba mówić o panu Marcinie. który wówczas. kiedy to było. jeszcze

się nie zwał de Skalski i nie miał szlachectwa. Wszystko to. pogrzebione. zapomniane.

— A to podobno lepsze były czasy, szepnął Walter. Skalski się obudził — popatrzył przestraszony.

— Zkądże wy o tem wiecie? Wszak doktor Walter obcy. nieznamy?

Walter się uśmiechnął.

— Dziś. obcy i nieznamy. rzekł cicho, ale może i nie był zawsze obcym i był kiedyś znajomym.

Skalski począł mu się przypatrywać. podniósł się. przyglądał długo i znów opadł na sofę.

— Nie. nie — balamnetwo.

— Smutnie jakoś kończysz swój zawód. mówił Walter zwolna. jak gdyby słowy temi miał zamiar nspionego i zastygłego wskrzesić, a przecież. cieszyć byś się powinien. Doszedłeś do tego czegoś pragnął. fortunę masz. pochodzenie zatarłeś.

Skalski się porwał i z energią zawołał: — O tem ani słowa.

— Nikomu. ani słowa, ale między nami...

— Nami! ale któż ty jesteś? doktor Walter?

— Doktor Walter.

— Czy diabeł? spytał Skalski.

— I diabeł.

Z oczów i czoła aptekarza jakby ciężące chmury się obsmęły. drżący wziął go za rękę.

— Kto ci mówił o tych różnych rzeczach? zapytał. przyznaj mi się.

— Pewien człowiek. umarły. którego kiedyś dawniej znałem.

— On kłamał! dodał Skalski żywo. Skalsecy są z Sandomirskiego, szlachta podupadła; co dziwnego. szlachta strasznie teraz podupada. ale i się podnosi. to wszystkim wiadomo; mego syna słusznie nazywano w Berlinie: herr baron von Skalski.

Walter się uśmiechnął i zbliżywszy do ucha. szepnął coś aptekarzowi. który się zerwał równemi nogami z siedzenia, oczy straszliwie otworzył. krzyknął i padł na kanapę. dysząc jakby ze strachu.

— Uspokój się — rzekł Walter, nikt nic nie wie, wszyscy pominerali. dzieci szlachta, ty masz majątek ziemski. a że w mogiłach śpią, ci co z głodu pomarli, o! im tam lepiej. niż tu tobie!

Skalski nie mówił nic. był jednak niezwykajnie rozbudzony. a oczy jego szukały w twarzy Waltera jakiegos śladu podobieństwa, przypomnienia. którego znaleźć nie mogły.

— Ten umarły przyjaciel pański. rzekł w końcu — plótl bajki niedorzeczne.

— Być może! smutnie dodał Walter, ja nic nie wiem.

— I nikt nic nie wie, a mnie... mnie się spać chce, wdychając dokończył aptekarz.

— Otrząśnij się z tego snu, zaśniesz tak nim na wieki — odezwał się doktor.

— No — to dobrze i bądź spokojny, szepnął aptekarz — wszystko skończone. wioska kupiona. apteka zlikwidowana. syn baron. a córka wyjdzie za męża za doktora Waltera. który ma milion.

— Jakto, za mnie? spytał doktor.

— A! otwierając oczy. zawołał Skalski. to waćpan jesteś doktor Walter?

Znowu przytomność i pamięć znać tracił.

— Niech się z nią ożeni, przymykając oczy zwolna. jak przez sen mówił dalej aptekarz. to ładna dziewczyna, on stary. nie pożyje długo i zapisze jej wszystko.

Aptekarz po gwałtownem wzruszeniu już drzemał znowu.

Wtem szelest sukni jedwabnej i szybki krok w sąsiednim pokoju. oznajmiły przybycie panny Idalii. która zaledwie wróciwszy do domu. dowiedziała się o doktorze i śpieszyła na bojowe swe stanowisko.

Z podziwieniem zastała ojca na wpół uspięnego, a Waltera, siedzącego nad nim, ze smutną twarzą pełną litości.

— Ojciec się zdrzemnął.

— Nie — pani — chory jest.

Idalia uznała właściwem okazać czułość swego serca przed tym, któremu je przeznaczała. zrobiła minkę melancholijną i obrachowawszy przykłonienie z wielką gracyą. powoli zsunęła się na kolana między ojcem a Walterem.

Zgorszyli by się czytelnicy nasi. gdybyśmy myśli, jakie się snuły po głowie tego czułego dziecięcia. objawili im w całej ich naiwności. Idalka klękając, myślała o tem, jak szyjkę białą i śliczne ramiona w najkorzystniejszej pozie doktorowi pokazać. jak się niby wypadkiem doń zbliżyć. by poczuł jej oddech wonny. by mimowoli dotknął może rączki. w której drgało życie. doskonale naśladowane z francuzkiego. Ale Walter który się nieusnał wcale, zimny pozostał przy niej z początku.

Zimny! — ale któż z nas. uawet po doświadczeniach wielu. po ostygnięciu w boleściach. przy rozumie największym. nie ulegnie pokusie. gdy ta przybierze postać uroczego. młodego. ślicznego. całym przepychem i blaskiem wiosennym odzianego dziewczęcia?

Napróżno się walczy. rozum zwichnięty opada, jak ptak postrzelony w skrzydła. ostatek życia gra w popiołach. oko się iskrzy. namiętność zapomniana zmartwychpowstaje i zimny mędrzec zwyciężony. wstydzi się sam siebie.

To się stało z nieszczęśliwym Walterem, który uśmiechał się, gdy Idalia klękała, który nfuł w siłę swą. nie ruszył się z miejsca. a w kilka minut siedział oślepiały i z przerażeniem widział. że szalał.

Taka to była śliczna ta wyfabrykowana piękność mimo fabrykacyi. mimo fałszu swego i uienaturalności, tak zdawała się pełną uczucia. gdy patrzała. patrzała umyślnie, paląc swą ofiarę. aby ją pożreć.

Po cichu coś mówiła do ojca. który się uśmiechał. z wpół otwartemi oczyma. a poglądała na Waltera. I oczy jej mówiły mu tak. że każde ich słowo wyraźnie rozumiał:

Kochaj bo mnie! Całe życie cierpiełeś. męczyłeś się. pracowałeś. czemu byś sobie choć na starość nie

miał kupić tak ładnego jak ja cacka? Choćbym ja cię nie kochała, zawsze jestem śliczną zabawką, wartą twojego miliona. Mieniamy się, ja ci dam siebie, ty mi dasz królowanie, pieniądze, świat, zabawę.

Oczy te nielitościwe a bezwstydne, wyzywały go na odpowiedź, a jeśli kiedy fascynacyą nazwać się godziło wzrok kobiety, wyteżony na dobiecie ofiary, to w tej chwili.

Idalia dochodziła tą mową niemą do bezwstydu, do niesłychanego zachwalstwa, ojciec drżemiąc się uśmiechał, ona nie patrząc nań, jak w tęczę wpatrywała się w Waltera.

Kilka razy w początkach odwrócił oczy, chciał się porwać z kanapy, odejść, nieciec—nie mógł.

Grzechotnik nie spuszczał zeń tego wejrzenia, które zawsze więcej mówi i przyrzeka, niż cały świat i życie całe dać może. Nareszcie, gdy stary zbliadł i głowę na piersi pochylił, jak związany niewolnik. Idalia nłitowała się nad nim i obróciła się ku ojcu.

Walter korzystając z tej chwili, powstał z kanapy, chciał wyjść.

— Zostan pan — odezwała się Idalia, pewna siebie — pójdziemy razem z ojcem na herbatę—a tam się pan oświadczysz moim rodzicom.

— Jakto, pani?

— Tak jest, tam się pan moim rodzicom o mnie oświadczysz!

Podłała mu rękę. — Zobaczysz pan, że tego żałować nie będziesz, ja chcę i muszę pójść za pana.

Walter stał zmieniony, drżący — widocznie złamany.

— Nie wyjdiesz pan ztąd, aż zamienim obrączki. Ja tak chcę!

Ostatnie słowa wymówiła śmiało, stanowczo, rozkazująco. Walter, jak wrosły w ziemię, nie ruszał się już. Skalski spał, córka powoli go rozbudziła.

— Ojciez idziemy na herbatę, kochany ojciez! doktor Walter przyszedł do nas i ma coś do pomówienia z tobą.

Aptekarz. jak całe życie nawykł był słuchać dzieci. tak i tym razem natychmiast się rozbudził, wstał i milczący. za Idalią, która podała rękę doktorowi. wsunął się do salonu. szukając miejsca. gdzieby mógł wygodnie usiąść i zdrzemnąć się. Roger był także w salonie. Mama stała przy samowarze.

— Niechże pan mówi!... Mamo (ozwała się Idalia). doktor Walter ma rodzicom coś do powiedzenia.

Zwróciła się ku zbladłemu towarzyszowi. ale Walter ust nie mógł otworzyć.

— Doktor Walter prosi rodziców o moją rękę.

Spojrzała na niego.

— Tak jest. odezwał się dziwnym. stłumiouym głosem doktor. proszę o rękę panny Idalii.

Aptekarz zdziwiony nderzył w dłonie, Roger prawie z podziwu mowę stracił. matce imbryczek z rąk wypadł.

— Niechże nas rodzice pobłogosławią. dodała uśmiechając się.

A pocichuteńku sama do siebie dodała: La farce est jouée.

Dla dopełnienia tego obrazu to tylko jeszcze dodać należy, iż gdy po odejściu Waltera i długiej rozmowie z bratem i mamą. płaczącą ze szczęścia. (wśród której to rozmowy usnął aptekarz) piękna Idalia znalazła się sam na sam ze swą garderobianą. ulubioną panną Naramską, padła na fotel, śmiejąc się do rozpuku. Trzymała cygaretkę w ustach i śpiewając poczęła mówić do służącej:

— No. wiesz Naramska?... wiesz mi... idę za męż... wiesz za kogo? za tego starego. co aptekę kupił. Okropnie bogaty! Ale. żebyś wiedziała. com się nad nim napracowała! a, com się napracowała!... był z począku jak z kamienia... Dopiero go dziś wzięłam przebojem. A! żebyś była mnie zobaczyła! Ojciec był trochę niezdrów. zastałam go siedzącego przy uim. Myślałam sobie: kłękę. uiby u kolan ojca. ale tak do starego się obróciłam. żeby widział szyję i plecy... Ty

sama mówisz. że mam tak śliczne plecy. jakich w życiu nie widziałas.

— O! to prawda. panienko!

— Otóż. najprzód wychyliłam się bardzo zręcznie. niby przypadkiem przysunęłam się ku niemu. Spojrzę... siedzi jak kamień. Aż ja poczynam oczyma strzelać. Ojciec spał... Wlepiłam w niego oczy... a ty wiesz, jak ja patrzeć umiem!

— O! panienkaby umarłego wskrzesiła!

— Tak się też i stało, kończyła Idalia. to był człowiek umarły. Ale jakim poczęła... poczęła patrzeć. mówię ci, topniał jak воск, miękł. słabł. a ja. bez liłości, dobijałam, dobijałam! Dopiero...

— A ojciec?

— Ale ojciec teraz ciągle śpi.

— Dopiero jakim postrzegła. że go mam... Otóż to była sztuka! Wystaw sobie moją odwagę!... powiadam mu: Chodź pan i oświadczyć się o mnie moim rodzicom.

— A. mój Boże! panienko kochana! zawołała Naramska. czyż to może być?! a gdyby był — odmówił?

— Ale ja już byłam pewną. że mi nie odmówi nic. Wzięłam go za rękę. zaprowadziłam do matki i — przy bracie. przy ojcu. oświadczył się, dałam mu pierścienek najuroczystej w świecie. I powiem ci. pod sekretem. bo tego nikt nie wie. odprowadzając go. pocałowałam, ale tak. że tego pocałunku nie zapomni do śmierci.

— O. spodziewam się! taki stary dziad. śmiejąc się rzekła Naramska. a panienka jak różyczka!

— I jeszcze ci powiem. moja Naramska (tu westchnęła). żebyś ty wiedziała. jak jego piżmem słyszeć, jak trupa. ale ja mu każe używać paczuli.

Służąca spojrzała na pannę. Idalia już zapomniała o piżmie.

— Sprzedamy aptekę, musi kupić dom w Warszawie. zobaczysz. moja Naramska, jaki dom będę prowadzić! Madame la baronne de Walter, albo Walter de

Walterstein. tak nawet ładniej a musi mi barono-
stwo kupić, gdzie zechcę, od tego nie ustąpię!

Liberya karmazynowa ze złotem. kamerdynerzy.
strzelec! O. muszę mieć strzelca! Slicznie wygląda
przy powozie, a trzeba. żeby był ładny chłopiec!

Wiesz. że Roger się na mnie wścieka, zazdrości
mi. bo mu się z hrabiankami nie udało! Roger nie ma
energii!

ROZDZIAŁ IV.

Nazajutrz o godzinie dziesiątej z rana całuteńkie
miasteczko wiedziało nowinę wielką, iż doktor Walter
żeńi się na pewno z panną Idalią Skalską. Wiele
osób wieści tej nie dawało wiary. Zadziwiającem też
było. że pogłoska o tem. jak gdyby naumyślnie i syste-
matycznie rozniesioną została. by żadna ze stron umo-
wą związanych cofnąć się już nie mogła. Wrażenie
w miasteczku było wielkie. Mylius właśnie miał
wyjść, gdy mu to cyrulik jego przyniósł z największe-
mi szczegółami. upewniając go. iż słyszał z własnych
ust panny Naramskiej, a panna Naramska miała to od
panny Idalii.

— A toćby stary chyba oszalał! zawołał Mylius. to
nie może być! Żartował z nich chyba! Niechby się
żeńił zresztą z kim chciał, ale z Idalią... to sobie lepiej
kamień nwiązać do szyi!

I porwawszy za kapelusz. doktor pobiegł wprost
do dworku Manugiewiczów. ale drzwi zastał zamknię-
te. Stara kucharka, Kazimira, zaręczyła doktorowi,

iż pan wyszedł bardzo rano i nie powiedział nawet, kiedy powróci.

Doktor cofnął się zamyślony. Tymczasem kogo spotkał, każdy mu wiadomość tę potwierdzał, że ją słyszał. to z ust Rogera, to od pani Skalskiej.

Znudzony tem Mylius. poszedł sam do apteki. Skalski stary siedział w fotelu nad papierami jakimś, ale drzemał.

Przywitał doktora nśmiechem mdłym. spokojnym, radości na jego twarzy wielkiej widać nie było.

— Kochany Skalski, odezwał się Mylius. klepiąc go po ramieniu. cóż to po mieście gadają. że panuę Idalię wydajecie za starego?

— A. podobno... wychodzi. tak, wychodzi za niego. bo ma milion, rzekł Skalski.

— Jakże. sama chciała?

— Zdaje się, że ona chciała... i on zechciał i potem... nie pamiętam... jakoś się oświadczyli... i tego... to ci tam moja żona powie.

Doktor nie pytał więcej. poszedł do pani Skalskiej. która z wielkiej radości płacząc. cały ranek jeszcze miała oczy czerwone.

— Czy to prawda, pani dobrodziejko?

— Ale prawda, prawda, odezwała się, głaszcząc Finetkę, która na doktora czekała. a, powiadam ci, to jest geniusz ta Idalka! Ona stworzona na królowę! Jak sobie co powie. to musi dopełnić. Przyznaję się mój doktorze, że kiedy mi mówiła o tym projekcie z początku. no, nie chciałam się sprzeciwiać. ale jej nie wierzyłam. Tymczasem. wczoraj przyprowadziła starego. kazała mi się oświadczyć. Powiadam ci. jak baranek.

• Jejmość złożyła ręce.

— Powiadam ci. doktorze. to było zawsze dziecko cudowne, ja nie wiem z kogo ona to wzięła, bo nie ze mnie i nie z ojca, proszę cię. Już Roger bardzo miły i dystygnowany chłopiec. wszyscy mi to przyznają. ale Idalia? Mówię ci. że on sam tego nie pojmuje.

jak ona do tego doszła. ani ojciec. ani ja bo to wyrażnie cud! A to człowiek niezmiernie bogaty!

Mylius głową potrząsał.

— To tylko źle. że go nikt nie zna. a choć się zdaje i uczony i rozumny. od czasu, jak się na takie... (chciał powiedzieć szaleństwo. ale się wstrzymał) małżeństwo odważył. zaczynam powątpiewać o nim.

— Ale mój doktorze. przerwała aptekarzowa.

— Ale moja dobrodziejko, to starzec. a to wcielony szatanik ta wasza córka!

Aptekarzowa zaczęła się śmiać, a Finetka szczeekać i tak skończyła się rozmowa.

Gdy nudzący się śmiertelnie Walek Luzziński przyszedł na kawę do pani Pauze. która niewiele już rachowała na niego. ale jednak wypuścić go jeszcze nie chciała, poczęstowano go obiegającą po mieście wiadomością. Walek kochał się był niegdyś w pięknej Idzi. szydersko też. ironicznie. okrutnie począł sobie drwinkować z tego małżeństwa. Ubodło go i to, że Walter mu dawniej okazywał wiele przyjaźni, a lękał się, by wpływ nieprzyjaciółki (za taką uważał Idalię) nie odjął mu jej. słowem. nie rad był i zdziwiony, a pocieszał się szyderstwem. którego staremu nie skąpił.

Po wypiciu rannej kawy u pani Pauze, która w różnych formach podawała mu naukę moralną. przyjmowaną przezeń bardzo obojętnie. Luzziński nie mając co robić, nie lubiąc pracować. głowę mając zajętą świetną swą przyszłością, przez której pryzmat patrzył już na życie, włóczył się najczęściej po miasteczku bez celu, tłómacząc się przed sobą. że zbiera obrazki i szuka myśli.

W jednej z tych przechadzek. (właśnie tego dnia, gdy gruchnęła wiadomość o oświadczeniu się doktora Waltera). Luzziński zabłądził na ciasną nliczkę, niedaleko klasztoru księży Reformatów.

Była ona jedną z najcichszych w miasteczku. część jej zajmował długi. wysoki. stary mur opasujący ogród klasztorny. po za który zwieszały się pokrzy-

wione lip i kasztanów galezie. dalej stały dworki i domki rzemieślnicze w ogródkach zielonych, jak w kwiatów koszykach posadzone. Niewiele z nich przypierały do ulicy, część większa usunięta głębiej. dawnym obyczajem miała przed oknami ogródki malw. wybijających irysów i tych przyswojonych nam roślin. co raz wsadzone w ziemię. już żadnego niepotrzebują starania.

Choć w rynku miasteczka było dosyć gwarно. a w innych jego częściach ludzie się sunli. tu oprócz kilku gromadek dzieci, hawiących się w piasku i szczebioczących na wyprzodki z wróblami reformackiego ogrodu. nie było nikogo. Drzwi dworków stały otworem, uad niektórymi skromna deszczulka ozuajmywała o nhogim rzemieślniku.

Luziński puścił się tą ciszą, chcąc wyjść za miasteczko. kusila go chata stara, w której miał rodzinę. co go przyjąc nie chciała i do której on sam przyznać się nie miał ochoty. Z daleka myślał spojrzeć na rozwalone domostwo, które było jego ojca kolebką. Słowa Waltera, który miał znać ojca Walka. teraz mu go jakoś więcej jeszcze przypominały.

Z wzrokiem roztargnionym sunął się pod murem młody chłopak, gdy obrazek dość oryginalny. a dla artysty pożądany. zatrzymał jego oko, oko wstrzymało kroki. stanął. W istocie rzadko podobny. stworzony wypadkiem jakimś. obrazek tak artystycznie pełny i tak niezwyčajny. przechodniom się nastroczy.

Naprzeciwko muru ogrodu klasztorного, stał dosyć porządny dworek. nowszy od swych sąsiadów, zbliżony więcej do ulicy i ledwie od niej oddzielony wązkim pasem. zajętym gestemi bzami. Z za ich gałęzi tu i owdzie wysuwały się wybijale malwy. postrojone w wiązanki kwiatów różowych. Galezie i kwiaty obejmowały tak szcześnie szerokie drzwi dworku. jakby je niemi umyślnie umajono. Nad temi drzwiami deska biała. bez napisu, miała niezgrabnie namalowaną trumnę. I przez otwarte drzwi widać było wielki skład gotowych trumien, różnej

barwy i rozmiarów, które się napraszały, wysuwając zalotnie ku ulicy...

Były przeróżne. począwszy od małych, niebiesko malowanych, z białemi krzyżykami. dla dzieci. (tyle ich umiera!). aż do politurowanych z antabami świecącemi. dla ludzi. co zasłużyli sobie na wygodne i trwałe pomieszczenie po — najdłuższem życiu, (forma prawna).

Ale cóżby tak dziwnego było w trumnach, gdyby przy nich nie grało właśnie życie wiosenne. nie tylko gałęzi zielonych, ale zieleniejszej i świeższej nad nie młodości?!

Na jednej z tych trumien, wysoko dosyć postawionej. siedziała z nóżkami zwieszonemi w powietrzu. dziewczeczka śliczna i śpiewała piosenkę półgłosem. Na głowie miała tylko co znać uwity wianuszek z bławatków. na piersiach pstro-żółtą chustynkę. pokrywającą koszulę i spódniczkę siną w paseczki. jaką nosi lud ubogi. Wianek sinych bławatków. ślicznie się odbijał na złocistych jej, staramie uczesanych włoskach, spadających dwiema długimi kosami na plecy. W rękach trzymała pończoszkę i przerabiała paluszkami prędko, myśląc widocznie o czem innem, aby ciszę nudną rozerwać. Twarzyczkę miała ładną. o rysach drobnych. o usteczkach małych. o niebieskich oczkach, wesoluchną, uśmiechniętą, podobną do aniołków na obrazach, które nucąc chwałę Bogu, ani się troszczyć o nic. ani myśleć też o niczem nie potrzebują.

U nóg śpiewającej dziewczynki. wiorami i trzaskami od trumien. bawiło się kilkoletnie dziecko. siostrzyczka, koło której siedział młody psiak uaiwny, niekiedy nogą zaczepiając towarzysza do wspólnej zabawy.

Światło przez gałęzie krzewów i otwór drzwi. przekradało się pasami i padało dziwnie ozłacając miejscami śliczny obrazek. Dziewczę złotowłose było w cieniu. a pies i dzieciak w świetle i blasku.

Luźński jako poeta. uderzony został kontrastem tych trumien i młodości, życia i śmierci, światła i cie-

ni. a instynkt artystyczny. choć niewiele rozwinięty. wskazywał mu piękność tej kompozycji Bożej. pełnej myśli głębokiej, choć tak na pozór prostej i zwyczajnej. Z myślą tą spotyka się sto razy na dzień. ale ona rzadko tak się wdzięcznie i wyrazisto maluje. Tu forma podnosiła ją i czyniła potężniejszą.

Walek stanął, dziewczę, którego nóżki zwieszane chodziły w takt śpiewu. nuciło piosenkę z głową spuszczoną. zadłumane. Nagle poczuło. (bo się to czuje). że na nie ktoś patrzeć musi. podniosło oczy i rozśmiało się naiwnie, serdecznie patrząc na Walka, który stał jak przykuty, a patrzył jak oczarowany.

Nikogo więcej ani przy dworcu. ani w oknach tego widać nie było. dziewczę to spuściło oczy na półczochę. to znów je podniosło na przechodnia i śmiało mu się z wdziękiem niewinności anielskiej.

Nie umiał mu się oprzeć Łużyński i powoli skradając się przystąpił do płotu. wstąpił na kamienie wiodące ku drzwiom. wreszcie posunął się aż do progu.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór paniczowi! Czy jegomość może co potrzebuje? My mamy co tylko najlepszego jest w mieście. Wskazała ręką na trumny. widocznie chciało się jej rozgadać. — Proszę panicza, są politrowane. są dębowe naturalne. a wszystkie z suchego drzewa. doskonale, mocne i tatko tak robi, że się do każdego miary nadają. Jest, proszę panicza trzy miary. Nie uwierzy panicz, jaki człowiek się robi długi po śmierci.

— Wam że tu nie smutno siedzieć w tych trumnach?

— A nie, proszę panicza! A czego ma być smutno? Wiele ja razy spałam w wielkiej trumnie, bardzo wygodnie. jak w czółenku! My tu wszyscy do tego przywykliśmy, bo czegoż się to bać. wszak śmierć zawsze musi przyjść. czy się jej człowiek lęka czy nie?...

— Ale tak na nią ciągle patrzeć. smutno.

— Nie. proszę panicza. odpowiedziała dziewczynka. bo się człowiek oswoi i potem na to patrzy. jak na drzewo. Mnie tylko czasem żal tatka roboty, bo co

on się napracuje. żeby to porządnie, ładnie wyglądało, a postawią na kilka godzin na katafalku i jeszcze jeżeli postawią, no. to choć nie tak prędko zniszczeje, a jak do wilgotnej ziemi, zaraz zacznie gnić. Czy panicz tntejszy? — spytała dziewczyna.

— A jakże! urodziłem się tu i najczęściej mieszkam.

— A ja panicza nigdy nawet w kościele nie widziałam!

— Ani ja was, odparł Luziński. jakoś ujęty prostotą dziewczynki i wdziękiem świeżej twarzyczki. Czy macie więcej rodziny?

— Jest tylko tatko i dwóch czy trzech czeladzi. co przychodzą. matka nam umarła. o! już pięć lat będzie temu. bardzo nam bez niej źle! Tatko cały dzień pracuje, a ja siedzę w sklepie, bo nie można wiedzieć kiedy kto czego zapotrzebuje. a zawsze pilno. pilno... Tych biednych umarłych toby się radzi z domu pozbyć jednej godziny. Nas tylko dwoje. siostrzyczka Teklusia i ja.

— A wam na imię? — spytał Walek.

— Mnie proszę panicza? Karolina na chrzcie świętym. ale jak byłam mała. nieboszczka matka mnie przezwała Linką i teraz się odńczyć tego nie mogą. choć wyrosłam. Napróżno ja im mówię, że to do niczego niepodobne. jużbym wołała Karolkę. czy co! Ja chodziłam do szkółki. do sióstr miłosierdzia. to mnie dobre siostry pieszcząc nazywały też Karolką. nie tą Linką. z pozwoleniem. jak pieska.

— Ale to ładne imię?

— E! nie! odparła potrzasając główką dziewczynka. kto gdzie widział Linke?! Ludzie się śmieją. a mnie się przypomina lin, tłusta. brzydka ryba. ja rybą być nie chcę.

Walek się uśmiechnął.

— Pan siedł tak sobie na przechadzkę? A! jaki pan szczęśliwy, że tak sobie chodzić może. a ja muszę siedzieć do nocy na jednym miejscu.

Westchnęła biedna.

— Przecież cię czasem uwolnią, moja panienko?

— Nie, nigdy! — rzekła smutnie, wpatrując się w pończochę, chyba rzadko w święto, lub niedzielę i to nie do Fary, ale tu do Reformatów. gdzie zapewne pan Bóg ten sam. ale same stare dziady.

Walek się począł śmiać, ona także.

— Co panicz tak stoi? gdyby się nie obawiał się na trumnie, tobym prosiła. W rogu stoi mocna dębowa. To cała historia, proszę panicza, ta dębowa trumna ogromna. już ona tu ze cztery lata odpoczywa. a nikomu się nie przygodzi. Zamówił ją był sobie rzeźnik. nieboszczyk Rafał Smirka, nawet za nią tat-kowi dał zadatek, a domagał się, żeby drzewo było doskonałe. Tymczasem gdy umarł biedny człowiek. familia takiej drogiej trumny brać nie chciała i pocho-wali go w sosnowej. prostej. a ta się została. I nie wiem jak długo stać będzie, bo bardzo duża, a teraz ludzie maleńcy.

I śmiała się, mówiąc to, jakby prawila o kwiat-kach; — Walek stał, słuchał i ujęty był niezmiernie poetyczną stroną tego szczebiotania wśród trumien. — Linka popatrzała na niego i westchnęła. z natury wi-dać była szczebiotką. a długie milczenie jeszcze jej rozmowę tę czyniło miłszą.

— Czy pan wiesz dla czego ja się pami uśmie-chnęłam?

— Boście może znużeni byli milcząc długo, a nie widząc nikogo.

— Ale nie, przerwało dziewczę. o! nie! tylko że mi twarz wasza, pańska chciałam powiedzieć — tak strasznie matnię przepomniła, jakbyście byli jej bratem.

Walek pobladł. ale się nśmiechał niby.

— A któż była wasza matka? spytał głosem stłu-mionym.

— O! proszę panicza! zaczęło dziewczę, zwraca-jąc główkę ku niemu — moja matka była bardzo pocz-ciwego i dobrego rodu. tylko że — nieszczęśliwego. Z domu była Łuzińska.

Walek drgnął. ale nie chciał nic dać poznać po sobie — milczał.

— Z tych Luzińskich co jeszcze ich uboga chata nad groblą stoi i co to — tak mówią. ja nie wiem — jeden z nich zabił kogoś w Turowie.

Młody chłopak spuścił głowę. zimno mu się zrobiło.

— Ale jak pan moją matkę przypomina!

Nie było wątpliwości. że córka stolarza. który robił trumny. była mu krewną. ta wiadomość i ostudziła go i przeraziła. ale ładne oczki dziewczęcia wabiły; a całe to położenie dziwaczne chorobliwej fantazyi dogadzało. Ta sama złotowłosa dziewczeczka z całą swą wdzięczną prostotą i naiwnością. wcale by go nie zajęła. gdyby ją był spotkał w ulicy ze dzbanuszkciem wody. Tu wszystko składało się na balladę. Walekowi zdawało się. że samo przeznaczenie snuje mu do arcydzieł wątek. ale do nich wszędzie są wątki. tylko mistrzów nie ma.

Patrzył więc sparty o uszak na Linkę. która robiła pończoszkę. rada była gościowi i bawiła razem jego i siebie z wielką ochotą rozbawienia obojga.

— Ot. mówiliśmy o trumnach. dodała. skracając główką. powiem panu jeszcze bardzo ciekawą historię szewca. Pan go pewnie zna. nazywa się Siedlecki. a ma domek na Miedzyrzeckiej ulicy. Otóż ten Siedlecki ma. mówią. bardzo złą żonę. która się strasznie boi śmierci i każdej rzeczy co ją przypomina. Temu będzie lat kilka. pokłócili się z sobą okropnie. mało do bitwy nie przyszło. Siedlecki nie wiedząc czem żonie dokuczyć. powiedział jej: — Ty mnie do grobu wprowadzisz! żebyś o tem nie zapomniała. każę trumnę sobie zrobić zawczasu i będę w niej tu spał w izbie. A nie były to żarty. przybiegł zdyszany do tatka: — Rób mi trumnę. mówi. Tatko mu perswadował na co śmierć kusić — ale nie i nie. rób mi trumnę. Musieli mu zrobić i zanieśli. nasłał sobie w niej pościel. żona z domu uciekła zrazu. potem przyszła. płakała. kłócili się. ale Siedlecki trumnę zostawił. Tak

się to zapomniało. aż w rok czy półtora, przychodzi do ojca znowu. — A! żeby cię! powiada. ot toś mi dobrą zrobił trumnę. kiedy do dwóch lat niewytrzymała, toż to się spękało w niwecz i rozpadło. Tatko mu na to. że się trumny nie do spania robią. ale koniec końcem. kazał zrobić nową i ta od dwóch lat poszła na nic. teraz już spi w trzeciej. a ojciec powiada. że mu pewnie chyba czwartą robić będzie.

Linka się śmiała. aż wianuszek z blawatków osunął się na czoło, zdjęła go, poprawiła. przejrzała się w złotku zwierciadła, które wisiało w kątku nad trumną dębową i zaczęła śpiewać a oczkami śmiać się.

Walek choćby był chciał patrzeć na nią dłużej. czuł. że odejść potrzeba. uklonił się jej ładnie i poszedł. Poszedł ulicą zwolna, a oglądał się coraz i ona na niego i nim drzewa zakryły drzwi dworku, uśmiechali się sobie. jak starzy dobrzy przyjaciele.

Walek powłókł się dalej. niemal zawstydzony. przypomniawszy hrabiankę. swą wielkość przyszłą i tę kuzynkę bosą. sam dziwił się sobie, że takie stworzonko Boże, mogło na nim uczynić wrażenie.

Rozum się sprzeciwiał. serce czuło. że obraz Linki w nim zostanie.

Luziński nawet przypomniawszy sobie z tego powodu. że wszyscy wielcy geniusze. poczynawszy od lorda Byrona. sławili się bałamuctwem. że należało do atrybucy poety kochać się w istotach najsprzeczniejszych. a nawet najmniej miłości godnych. Linka była słiczna. młodzieńcza. trochę kuzynka. szczebiotka naiwna i siedziała na trumnach.

— Wielkiego grzechu w tem nie ma. że się trochę z nią pobałamnę, ona z tego będzie bardzo szczęśliwa, a ja się nbawię!

Sumienie bardzo posłuszne, skłoniło się nakazać mu to w jak najniewinniejszym świetle, choć fantazja rozbijała, doprowadzała zawczasem całą historję tę do najostateczniejszego kresu.

W balladzie, którą osnął na tym tekście, jasnowłosa dziewczynka topiła się w stawie, białe jej ciało

wypływało wśród rozkwitłych grzybieni białych (nymphæa) i ojciec siwowłosy składał je w wyciosanej. a łzami polanej trumnie.

Nie okrutniejszego. wierście mi. nad poetę, byle mógł poemat odkopać. gotów otworzyć grób...

ROZDZIAŁ V.

Ze wszystkich licznych bohaterów powieści naszej, najnieszczęśliwszym pono był o te czasy. baron (in partibus) Roger von Skalski... Ojciec nie czuł już. matka rozpływała się we łzach nad córką. panna Idalia marzyła, jak w przededniu miodowych miesięcy się marzy. Roger choć wkrótce miał być dziedzicem Paprotyna. gdyż wymógł na ojcu. aby majątek kupiony był na jego imię — chodził kwasny i podrażniony.

W istocie oddawna zamierzał pochwycić jedną z hrabianek. było to jego marzeniem. wykonanie zdawało mu się łatwe. tymczasem sprawa ta nie szła. a miał poszlaki. że baron i ktoś drugi. już go tam uprzedzili. Brakło mu nawet sposobu przyczepienia się do Turowa. Inne partye w sąsiedztwie nie zdawały mu się wcale stosowne.

Szczególniejszą niechęć czuł do tego przybysza. barona Helmolda. jako do kogoś. co mu wydarł z przed nosa jego najprawowitszą własność. Ale gdyby był nawet szukał i wymyśleć chciał zemstę okrutną. nie

byłby znalazł lepszej nad tę, która mu się nastreczyła przypadkiem.

Widzieliśmy już, z jaką wdzięcznością przyjęte były pierwsze Rogera odwiedziny w cukierni J. B. Gorconiego. Od tej chwili, właściciel tego instytutu kłaniał się nisko Rogerowi, a syn aptekarza, odbierając oznaki poszanowania, nie pozostał nieczułym na nie. Wiedzieć należy, iż Gorconi, jakkolwiek cudzoziemiec, wrósł był już w stosunki miejscowe i słyszał z tego, że wiedział o wszystkim co się działo o dziesięć mil na około.

Niepotrzebował też utrzymywać dzienników w cukierni, bo gości zabawiał kroniką prowincjonalną, tak faktów pełną, iż żaden kronikarz by mu nie sprostął. Zwykle stawał przed konsumatorem, opierał się o swe biuro, zakładał nogę na nogę, ręce na żołądku z wielką gracyą łączył w całość udatną i gdy usta różowe otworzył, płynęła z nich struga złota plotek, jak z rogu obfitości. Tego dnia właśnie miał szczęście przyjmować Rogera i uczył go gazetą z największem staraniem zredagowaną.

Roger słuchał. Potrąciło się coś o barona Helmolda.

— Ja znam tego barona z Galicyi i słyszałem od sekretarza pocztmistrza, że pojechał do Drycza i Wilczego-brodu, a pan dobrodziej wie kto mieszka w Dryczu? i w Wilczym-brodzie?

— Nie, tak dalece nie wiem.

— W Dryczu, panie dobrodziej, mówił J. B. Gorconi, zamieszkuje starościna Horska, stryjeczna jakaś babka pana Barona, to nie, bo z tej babki panie dobrodziej, święconego dla barona nie będzie.

Gorconi uśmiechając się poprawił beret, koncept mu się zdał.

— Ale rodzona siostra starościnej, a zatem również przypadająca babką jakąś baronowi, młodsza od pierwszej o lat piętnaście, panna Cześnikiewiczówna Zabrzeska, jest dziedziczką Wilczego-brodu z przyległościami. Jest-to najmajętniejsza osoba na całą okolicę.

panna milionowa. ale do pięćdziesiątówki zbliżona, dziwacz' a.

Otoż całe podobno rachuby i zabiegi rodziny, obracają się około Wilczego-brodu.

Skalski słuchał uważnie.

— Pan dobrodziej i nie widział i nie słyszał o pan-nie Cześnikiewiczównie? zapytał cukiernik.

— Nie przypominam sobie.

— Ale to panie dobrodzieju. jest osoba do drukowanej książki, tak osobliwa. Najprzód ja miałem honor ją widzieć, choć bliska pięćdziesiątówki, niech pan sobie nie wyobraża. ażeby była albo stara albo brzydka.

Była to swojego czasu nadzwyczajna piękność, a dziś jest osoba jeszcze bardzo, bardzo przystojna, wyglądająca młodo. nieco trochę może za otyła. rumiana. ale zęby śliczne. postawa pańska majestatyczna. królowa panie.

Imię jej. panie dobrodzieju. także nie pospolite, może być, że od Św. Floryana. ale ją zawsze nazywali Cześnikiewiczówną Florą. Co pan chce! bożini kwiatów.

Szczęśliwym składem okoliczności, gdy niemal cała familia traciła. panna Flora. brała tyle sukcesyj. że majątek jej urósł do nadzwyczajnych rozmiarów. Jam go tam nie liczył, ale ludzie mówią. że ma kilka milionów.

Roger się mocno zajmować zaczynał opowiadaniem.

— Ale dla czegoż za mąż nie poszła?

— Otoż to jest tajemnicą niepojętą. bo się o nią nawet książęta starali. ale panna dumna. grymasiła. posadzała. że chciano ją brać dla pieniędzy. zrażała, była ostrą umyślnie i ot tak z roku na rok powoli dojechała do pięćdziesiątówki i teraz cygaro pali, sama rządzi. a despotycznie! o! i ani myśli już o męża.

Mówiono tam, dodał po cichu Gorconi. różnie, różnie, jakoby tam i kilka romansików było nawet z grawaminami, ale to mogą być bajki. To pewna, że

już chyba nie pójdzie za męż. a familia koło niej tańcuje panie. jak Dawid przed arką.

Tyle było słów pana J. B. Gorconiego. ale one nie padły na rolę nieplodną — wziął je do serca pan Roger Skalski.

— A toby była doskonała historia, żebym ja mógł ją poznać i... Co mi tam lat pięćdziesiąt. Idalia chce iść za tego starca. bez familii. bez dystynkcyi. a tn wszystkim jest. Tylko jak?

Jak? W istocie zahaczyło się całe to zuchwałe przedsięwzięcie na tem okropnem: jak?

Roger nie miał fantazyi żywej i środków wyszukać było mu trudno. ale wieczorem. zwierzył się po cichu Idalii. Nie uznawał jej wyższości nad sobą, wszakże kobiecym tym rozumkiem nie gardził.

Idalia paląc cygarete. słuchała go z nwagą.

— Ha! rzekła po namyśle. myśl jest dobra. ale do wykonania trudna. Wszystkie środki dawniej używane. złamane koło. wywrócony powóz. zbłąkany podróżny, zużyły się do szczętu. Romanse wydały sekret, nikt teraz nie uwierzy w żaden przypadek podobny.

Pojechać tak wprost do starej panny. debnt en blanc, niepodobna.

Ale czy nie będzie to graniczyć czasem z Paprotynem? bo to w jednej stronie.

Roger nie wiedział o tem. gorączkowo wszakże zbiegł po inwentarz i mapkę. Są fatalizmy! Las Paprotyński stykał się z puszczą. należącą do Wilczobrodzkiego kłmca!

Idalia i Roger piasnęli w ręce. brat ją ucałował.

— Cicho! na miłość Bożą! cicho! nikomu słowa. Jutro jadę do Paprotyna, zabieram lokaja. tualetę. powóz i jako sąsiad. mam zupełne prawo zaprezentować się w Wilczym-brodzie.

Zatarł ręce i podniósł oczy do góry.

— O fortuno! sprzyjaj mi! zawołał. Toby dopiero

był dobry figiel temu gołemu baronowi zmieść sukcesyę taką.

— Ale cóż mówią o pannie?

Roger powtórzył co słyszał od Gorconiego.

— Tu idzie o to. aby się ożenić — przerwała Idalia. a potem od czegoż rozum? zręczność? młodość? gdybys sobie rady nie dał. gardziłabym tobą.

— Ale nikomu nie.

— Ani słowa...

Przyszłemu dziedzicowi Paprotyna nie było nic łatwiejszego. jak nazajutrz wybrać się. wyjechać i dobre wzięwszy konie pocztowe. w nocy stanąć na miejscu. Ponieważ dawny dzierżawca dwór jeszcze do marca miał zajmować. dziedzic miał mieszkanie w oficyynie i tu się zainstalować; ale nowy nabywca już tu znalazł dwór, nstłżnych ludzi i przyjęcie wielce uprzejme. Stawił się choć nocą leśniczy, który równie dobrze znał ostępy i knieje. jak sąsiedztwo. Nie chcąc się wydać ze swą niecierpliwością. pan Roger zamówił go na jutro do objazdu granic. Przytem rozmowa sama przez się musiała wpasć na cześnikiewiczównę Florę.

Dzień następny był piękny. ale już nieco jesienny. stary leśniczy postarał się o konia. wyjechali po śniadaniu. Roger bardzo troskliwie badał granice, choć mu o nie wcale nie chodziło.

Stanęli u starego dębu. oznaczonego krzyżem.

— Tu jasnie panie. odezwał się officialista. styka się ziemia jasnie pańska z ziemią jasnie panny Cześnikiewiczówny i granica idzie wyschlęm łożyskiem wodocięczy, aż do trzech kopców na Kudaszowej dolinie. ztamtąd...

— A! panny Cześnikiewiczówny z Wilczego-brodu? spytał Roger.

— Tak. jasnie panie. z Wilczego-brodu.

— Daleko to ztąd?

— Niby ztąd. jasnie panie. będzie miła, a niby ze dworn będzie w kolo z półtorej.

— Czy nie ma kwestyi o granicę?

— A gdzieby kwestyi nie było! jest i nawet twar-

da do zgryzienia, z powodu, że są dwie wodocięcze równoległe, obie wyschłe, niby jedna, która jasnie panu służy i niby druga, którąby chciała panna rewindykować.

— Ja nie cierpię spornych gruntów i myślę to załatwić, pojedę do Wilczego-brodu.

Leśniczy się śmiechnął.

— Co się tyczy niby pojednania, rzekł, to dla czegoż nie, ale żeby to się na co zdało, proszę jasnie pana, to darmo sobie pochlebiać.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jasnie panna Cześnikiewiczówna... z przeproszeniem, bez mrazy, ale to jest Herod baba.

— Oho! rozśmiał się Roger.

— Ona sama konno granice objeżdża, albo się kałamazką powozi, pilnuje, procesuje się i nie ustąpi panie nikomu.

— Cóż to, stara już?

— Żeby stara, nie powiem, odparł leśniczy, a żeby młoda, także trudno przyznać. Jakem ja tu nastał, była taka sama jak jest, a temu lat piętnaście, troszeczeczkę niby wąsów dostała, ale ją to nie szpeci. Osoba wielce poważna, tylko niby, jasnie panie, nie kobieta!

Roger się śmiechnął.

— Zrobi się co, czy nie, zawsze mi wypadła tam być i spróbować.

— A zapewne, proszę jasnie pana, korona z głowy nie spadnie i dla samej ciekawości warto, żeby widzieć dwór w Wilczym-brodzie, bo taki drugi bodaj czy się znaleźć uda.

— A cóż tam tak osobliwego?

— Wszystko, jasnie panie, rzekł leśniczy, niby pochwyciwszy od dziedziczki, aż do księdza kapelana.

— Cóż to za kapelan?

— Kapelan, panie... kto jego wie?! podobno z Egiptu, czy z jakiejś ziemi zakazanej, ale jak mszę mówi, to takim językiem, że nie wiem, czy go sam Pan Bóg zrozumieć może.

Ponieważ nie wypadło zbyt często wypytywać, Roger zamilkł, obiecywał sobie zresztą naocznie zobaczyć dwór panny Cześnikiewiczówny. Jakoż nazajutrz tam pojechał.

Z powierzchowności Wilczy-bród nie zwiastował się bardzo wspaniale, odznaczał się tylko niezmierną rozciągłością budowli, nie bardzo systematycznie poustawianych. Wśród starych drzew, ulic, klombów, budowli różnych więcej było dwa razy, niż się zdawało potrzeba. Sam dwór niski, drewniany w części, murowany kawkami, widocznie stawiany i przedstawiany różnemi czasy, różnego smaku próbki pomieszczone przedstawiał: gotyk, kolumny greckie, fantazyjne arkady i kształty wreszcie, przez żadną architekturę nie uznane, będące niedojrzałym płodem miejscowych, ciesielskich i mularskich geniuszów.

Wśród tego labiryntu przybudówek, galeryek, ganków, kręcił się liczny dwór różnobarwny.

Naprzeciw gościu wyszedł mężczyzna stary, w taratatie, niby marszałek dworu. P. Roger oddał mu swój bilet i oświadczył, że jako sąsiad i nabywca Paprotnia chce pannie Cześnikiewiczównie złożyć razem uszanowanie i pomówić z nią o granicy.

Marszałek przyjął to z ukłonem i wprowadziwszy go do salonu na dole, sam poszedł do pani.

Roger miał czas się obejrzeć w ogromnym, a wcale osobliwym pokoju, a raczej sali, w której go posadzono. Widocznie zrobioną była ze dwóch dużych salonów, gdyż w pośrodku zostawiono dwa słupy, zamaskowawszy je bluszczami.

W obu pełno było sprzętów, obrazów, starych i pięknych pamiątek, kosztowności, etażerek, fraszek wyszukanych, małych kanapek, sofek, podnóżków i poduszek.

Trudno było miejscami przecisnąć się wśród tego natłoku wygódek, czyniących salon niewygodnym.

Długa chwila minęła, nim drzwi jedne boczne otwały się i weszła niemi, w czarnej sukni pod szyję, osoba niemłoda, słusznego wzrostu, barczysta, z posta-

wą dumną i energiczną. z głową odkrytą. chociaż nie było na niej zbyt ku włosów, ani sztuką się starano ich brak nagrodzić. W wyrazie twarzy, którą przyozdabiał małeńki podbródek. nieco sfatygowany, znać było osobę nawykłą do rozkazywania. panowania i posłusznych tylko ludzi. Nie była ona wcale brzydką. rysy miała nader regularne, oko piękne, usta drobne. wdzięk pewien niezwykajny może. ale artystyczny. mało wszakże obudzała sympatyj i wcale się o nią nie zdawała starać.

Jednym rzutem oka Roger zrozumiał kobietę i trudność szalonego zadania swego. którego w pierwszej chwili nawet już gotów się był wyrzec. Spojrzawszy na nią przekonał się, że opanować ją było niepodobieństwem. Panna Flora patrzyła na świat jakby już dla niej żadnych nie miał zagadek i żadnych złudzeń. stąpała po ziemi nogą pewną. nie myśląc wcale próbować chodzić po obłokach.

Gdy pan Skalski się przedstawiał. grzecznie. ale zimno kiwnęła mu głową. wskazała siedzenie i przemówiła głosem tak stanowczym. tak realistycznym (jeżeli się wyrazić godzi w ten sposób). iż na panu Rogerze uczyniła niemal wrażenie przebranego mężczyzny.

Mimo niewieściego wdzięku twarzy. miała w istocie więcej może męskiej natury. niż kobiecej. a życie i obyczaj jeszcze ją wydatniej rozwinęły.

— Pan to więc jesteś nowym dziedzicem Paproty-na? odezwiała się, bębniąc tłustemi paluszkami po stoliku. był czas. że ja sama miałam myśleć go nabyć. potem się to jakoś inaczej złożyło. Majątek zdaje się dobry. ale potrzebuje pracy wiele. dozoru i nakładu. Dla mnie by z tem było za ciężko. mam i tak dosyć kłopotu z memi dobrami. a kobiecie temu wydolać trudno.

— Czy pan gospodarz? — spytała po chwili.

Roger i nie miał wcale miny gospodarza i za niewłaściwe jakoś uważał chwalić się hreczkosiejstwem. rzekł więc z uśmiechem:

— O nie! pani dobrodziejko. część życia większą spędziłem po miastach. długi czas byłem na studiach w uniwersytetach niemieckich.

— No! to panu nie zazdroszczę nabycia. rzekła panna Flora. pan tu niewymieszkas, a gospodarstwo bez gospodarza na nic.

— Dlaczegożbym nie mógł tu wymieszkać? — odparł Roger, znajduję sąsiedztwo, będę miał polowanie. książki.

— Tak polowanie, książki. ale nie sąsiedztwo. przerwała gospodyni, bo my tu żyjemy każdy sobie. Ja nikogo nie przyjmuję. inni nie wiele osób i rzadko.

To mówiąc, wzięła ze stołu ogromną. pełną cygar cygarnicę i podała ją Rogerowi, który zdziwiony zawahał się. czy ma przyjąć ofiarę.

— Pal pan, ja także palic będę. bardzo proszę. Jestem stara panna i nie potrzebuję się żenować. ni faire la petite bouche...

Roger przyjął cygaro. było doskonałe hawańskie.

Spojrzał na stolik. tu leżeli Montalembert. O. Gratry. Dupanloup. a nawet J. de Maistre...

Oświeciło go to nieco, ale onieśmieliło jeszcze bardziej.

Wejrzenie na stół nie uszło oka gospodyni.

— Książki. to pewnie panu znane? — spytała. ale zapewne też i nie tak miłe jak mnie. Panowie wszyscy jesteście filozofowie. wychodząc z tych uniwersytetów. protestanckich. hegliści, szellingiści.

Roger nie wiedział co odpowiedzieć, w istocie choć chodził w Berlinie na uniwersytet. choć o mało nie został doktorem. tak te kwestye nie wiele go obchodziły. iż gotów się był pisać na cokolwiek bądź. byle nie dysputować.

— Przyznam się pani. rzekł, iż ja nie zostałem. heglistą. bom do filozofii nie czułem powołania.

— To wielkie szczęście. zawsze pan coś ze spuścizny domowej ocalił. dodała gospodyni puszczając kłęb dymu. c'est autant de gagné. Ale indyferentyzm gorszy może od filozofizmu.

Roger zakłopotany obrotem rozmowy, zabierał się kaszlnąć i rzucić nieznaczające słowo. gdy marszałek dworu wszedł, a za nim służby z przyrządami do herbaty.

— Czy jaśnie pani nie kazałaby się wstrzymać z herbatą dla gości z Drycza, bo widać landarę na grobli?

Roger chciał wstać i pożegnać już. nie myśląc się nudzić nadaremnie. ale gospodyni nakazująco prosiła go. żeby pozostał.

— Goście z Drycza. to moi krewni. rzekła, wątpię żeby siostra, bo ta chora i nie wyjeżdża, ale wnuczka jej może i kto z rodziny. Nie zaszkodzi panu poznać sąsiedztwo.

Skalski pozostał. a w kwadrans potem we drzwiach ukazała się mała. puciołowata, tłusta, krągła jejność, panna biała i piegowata straszliwie. a naostatku baron Helmold.

Od progu baron ujrzał Rogera i stanął zdziwiony, śmiejąc się. Gospodyni prezentowała Skalskiego siostrzenicy i wnuczce, chciała Helmolda zapoznać, gdy dostrzegła, że panowie ci nader serdecznie podali sobie ręce.

Uścisk nawet był tak czuły, iż pod nim można się było domyślać nienawiści.

— A! to panowie się znają? — zawołała gospodyni.

— Od bardzo dawna. odpowiedział Helmold. Co pan tu robisz u mojej kuzynki? — dodał ciszej.

— Najsmutniejszą w świecie gram rolę sąsiada. z dyferencyą graniczną pod pachą.

— Jak to sąsiada?

— Jestem nabywcą Paprotyna, który graniczy z Wilczym - Brodem, mamy kwestyę o spory kawał ziemi.

Helmold ramionami ruszył.

— A to! — rzekł, osobliwsze na honor spotkanie, czy pan znał dawniej kuzynkę?

— Nie. dziś pierwszy ją raz widzę...

Ponieważ panie rozmawiały, baron odprowadził

Skalskiego na ganek, pełen kwiatów, ostawiony olbrzymiemi drzewy pomarańczowemi.

— Prawda, szepnął, że diable oryginalna panna! Zaczął się śmiać. Tylko na wsi spotykają się takie egzemplarze, rzekł ciszej. Uważałeś pan dwór. otoczenie. a nareszcie samą ową Semiramidę naszą. Wiesz pan, że to kobieta, która ma kilka milionów majątku, a kłóci się o półtora złotego do upadłego!

— Wszystko to są tajemnice dla mnie, odezwał się Roger z fałszywym uśmiechem, co mnie do tego, byłem skończył o dyferencyę graniczną.

— Właśnie mogę panu przepowiedzieć, że jeżeli chodzi o stratę piędzi ziemi, Flora za nic w świecie na ustępstwo się nie zgodzi, raczej proces wybierze!

Skalski westchnął.

— No. to będziemy się procesowali.

W chwili gdy te wyrazy kończył, stała się rzecz niezwykajna w Wilczym-Brodzie, panna Cześnikiewiczówna porzuciła siostrzenicę, jej córkę, wyminięła barona i przyszła sama do Rogera spytać go, jak mu się podoba okolica.

Ujął ją widać miną smutną, zrezygnowaną, niemal pokorną... Trzeba też przyznać, że Skalski, który wiele na powierzchowność liczył zawsze i starał się ją uszlachetnić, wyglądał na ładnego chłopca, może, że zbyt wielkimi pretensjami, ale nie bez szyku.

Na ten raz zawiedzione nadzieje, odjęły mu właśnie to, co szkodzić mogło, pretensjonalność zbytnią. Wydawał się skromnym, było mu z tem do twarzy.

Nie było tajem nikomu, że ta, którą nielitościwy Helmold nazwał Semiramidą, lubiła pięknych mężczyzn. Z tego zapewne powodu najniesprawiedliwiej w świecie, potwarz, która nikomu nie przebacza, przypisywała jej nawet kilka nieprawdopodobnych intryg. Mówiono, (czemu wierzyć nie należy), iż wszystkie matrymonialne nadzieje konkurentów porozbijały się o to, iż nie dosyć byli posłuszni, chcieli mieć własne przekonania i zdanie, a tego Semiramida nie znosiła.

Tłusta. okrągłuchna siostrzenica, zobaczywszy odchodzącą, szepnęła Helmoldowi na ucho:

— Mówię ci, ja ją znam. podobał się jej, ale nie lękam się tego, przyjdzie to prędko i przejdzie. Byli tacy, co po roku jeździli. o których mówiono, że po zaręczynach, a jednego dnia jak dała odprawę. ani się pokazali. Wiesz, za co ten... ten... Gniewosz o którym słyszałeś. został wypędzony? Cygaro niedopalone rzucił do piaseczniczki, zamiast do popielnicy.

Zaczęli się śmiać.

— Ona tak zawsze, dodała siostrzenica. z początku dumna, potem się łąda kogo zaawansuje. skoni-promituje i jednego razu ni ztąd ni zowąd — ruszaj, zkład przybyłeś. Znać potem nie chce.

Przez otwarte okno na ganek widać było. jak gospodyni z cygarem w nstach oprowadzała Rogera do koła gazonn, rozprawiając z nim wesoło.

— Ale trzeba, żebyś wiedziała kuzynko. szepnął Helmold, że to intrygant niepospolity! Ja go znam! ho! ho! Nie dałbym trzech groszy. że się umyślnie tu wkręcił.

— Oho! choćby sto razy był zręczniejszy, niż myślisz, z ciocią Florą nie da rady! Jnż o to ja jestem spokojna.

Gdy z przechadzki na około gazonu powróciła panna Flora, wiodąc za sobą Rogera, miała wyraz bardzo wesoły, a Skalski także nieco swobodniejszym wyglądał.

Stało się, czego nigdy w świecie spodziewać się nawet nie mógł. iż Cześnikiewiczówna w sprawie granicznej zaprosiła go na obiad po zajutro i ofiarowała się z nim jechać konno, na obejrzenie dyferencji. Była tak grzeczną dla młodego człowieka, że gdyby mniej został uprzedzony zawczasu o niej, mógłby sobie po-chlebiać zanadto.

To pewna, że w kilka tygodni potem, następują-cy list napisała Cześnikiewiczówna do przyjaciółki swej, pani hrabiny S..., w Poznaniu.

Chodziły niegdyś razem na jedną pensję w War-

szawie, a panna Flora, której zarzucano wielką uczną niestałość, przyjaźni dla Emilii pozostała wierna.

List był następujący:

„Droga moja Milusiu! Czuję, widzę, — a nawet wybaczam to, że rzuciwszy okiem na mój list, usmiechniesz się i ruszysz ramionami i powiesz: — O! stara, niepoprawna szalenica, znowu swoje robi!

„Mów już sobie co chcesz, ale tym razem, któż wie? kto wie? może nareszcie wyjdę z fałszywego położenia i zadziwię niewdzięcznością moją rodzinę, czyhającą na majątek i włożę czepeczek, aby ci się w nim zaprezentować. Czepeczek pożądany, bo mi strasznie włosy pełzną.

„Znasz życie moje, miało ono pozory niezależności, swobody, nawet pewnego stosunkowego szczęścia. Przez lat dwadzieścia zdawało się wszystkim, żem robiła co chciałam — niestety! czyniłam co mogłam tylko, a padałam na tej ciernistej drodze żywota co krok!

„Wewnętrzne upokorzenie musiałam zasłonić przed światem pozorem dumy i wiary w siebie. Ty jedna wiesz Milusiu, ilem łez wyplakała po cichu, które tylko Bóg miłosierny policzył, ty jedna nie rzuciłaś na mnie kamieniem, gdy inni ciskali na mnie pogardą.

„A! byłam słabą, ale byłam nieszczęśliwą i jestem nią.

„Ale dosyć o łzawej przeszłości. Nie mogłam umrzeć starą panną choćby dla Tereni, bo kocham Terenię, a przyznać jej nie mogę inaczej za córkę, chyba gdy pójdę za mąż.

„Dreszcz mię przebiega gdy to piszę, powiedz mi, czy można mieć szacunek dla człowieka, który dla pieniędzy — o! bo już ciż nie dla przymiotów moich, których nie zna, ofiaruje się żenić z kobietą starszą od siebie, przyznać jej dziecię za swoje i wystawić się na wzgardę i pośmiewisko?

„Tak postawioną kwestyę ja rozstrzygam sama westchnieniem i przeczeniem — ale posłuchaj!

„Ten człowiek robi podłość tę, nie czując jej, jak rzecz w świecie najprostszą, najnaturalniejszą.

„Wymagałam od tego kogoś, który był przeznaczony na dźwiganie brzemienia grzechów moich, wielu warunków. Podlego tak sobie po prostu byłabym znalazła łatwo — ale musiał mieć powierzchowność ludzką, ogładę, pozór przyzwoity, musiał wyglądać na uczciwego człowieka i być dla mnie znośnym ze wszech względów.

„Wiesz żeś dawno odczarowana — ideały kwitną na wiosnę, a dla mnie ona przeszła dawno. Dla niego, choć młodego, może jej nigdy nie było. Oboje rozumiemy życie jak książkę rachunkową, którą uporządkować potrzeba.

„Nie jest ubogi. zdaje się szlachcic, chociaż mniejsza o to! wychowanie staranne. a przystanie na wszystko! na wszystko!!

„W dodatku kupił obok majątek, da to pozór jeszcze przyzwoitszy naszemu małżeństwu.

„Za trzecim spotkaniem się z nim. jeździliśmy razem oglądać granicę sporną między majątkami, w drodze swobodnie się rozgadałam. Był niesmiały, musiałam mu dodać odwagi, ale gdy raz pierwsze lody były złamane, zrozumieliśmy się snadno. Ma wiele ambicji, jest próżny, to mniejsza.

„Wiedziałam, że chodził na uniwersytet w Berlinie, niezegom się tak nie obawiała, jak głowy filozofii obalamniczej: — szczęściem, znalazłam go obojętnym tylko w rzeczach wiary, ale z zasady uznającym i szanującym religię, chociaż tylko dla tego podobno, aby się arystokratyczniej wydawał, mniejsza o powody, wejdzie na dobrą drogę, skandalu nie zrobi, — il est des nôtres. Wiara przyjdzie później.

„Obawiając się żeby rodzina nie domysliła się czegoś, czwarte stanowcze posiedzenie odłożyłam trochę na później; ale wszystko już między nami umówione. Terenię przyzna za swoją.

„Nie smiej że się, gdy ona przyszła na świat, on jeszcze pewnie do szkół chodził. — ale cóż robić?! Wyjedziemy z nim i z Terenią na lat kilka do Włoch. ludzie się wygadają i zapomną.

„Ko ztowała mnie spowiedź przed nim, ale mu oddać muszę sprawiedliwość, że się zachował z takim taktem jak rzadko. Zapisuję mu (a! musiałam Milusiń droga) Wilcze-brody całe. Tereni kapitał daje. Wystaw sobie zdumienie. oburzenie. rozpacz. przekleństwa mojej siostry. siostrzenic i całej rodziny, gdy się dowiedzą o wypadku.

„Nie rychło się dowiedzą — bo rzecz odłożona. umyślnie. aby jej nadać pozór przyzwoitszy. Postąpiłam sobie jak waryatka, ale mi się tym razem udało. Krewni. którzy mnie widzieli nie raz już w położeniu podobnem. czekają tylko. rychło mu dam odprawę. A! nie! nie odpędzę go. przyzna Terenię moją. da jej nazwisko i będę mogła kochane dziecię przytulić do serca i usłyszę z jej ustek po raz pierwszy. ten słodki wyraz: Matko! którego byłam spragnioną.

„Nie, nikomu. proszę cię. Zdumieją się. zdumieją, gdy im go po ślubie przedstawię. Ksiądz Bobek obiecał mi pobłogosławić nas tak. aby nikt nie wiedział o ślubie. Za świadków wezmę kilku officyantów. W tydzień potem jedziemy do Rzymu i Neapolu. Do widzenia Milusiu. pobłogosław pięćdziesięcioletniej pannie młodej i nie śmieję się. wszystko to tragiczne. Jest-li to życia początek czy koniec, C'hi lo sa?

„Zawsze twoja wierna stara. Flora przekwitła.”

ROZDZIAŁ VI.

Wszystko to co nam ten list zdradza, było jak najściślejszą osłonięciem tajemnicą, nawet baron Hel-mold nie domyślał się nic. a w Dryczu szydzono sobie z nieszczęśliwego Rogera. tak, że na niego bez śmiechu spojrzeć nie mogli. Skalski grał doskonale humor kwaśny i znudzenie — nawet przed rodzoną siostrą nie wydał się z nadspodziewaniem. drogo wprowadzić okupionem powodzeniem. w które chwilał sam jeszcze nie wierzył. Baczny tylko bardzo znawca byłby dostrzegł. w poważnem, zamyslonem. uspokojonem obliczu Rogera. że i dlań życie zaczynało nabierać stanowczej barwy. że losy jego albo się już rozstrzygnęły. lub wprędce rozstrzygnąć miały.

Wszyscy zresztą bohaterowie tej powieści. dążący do kobierca, okazywali jedną prawie fizyognomię. zakłopotaną raczej niż szczęśliwą, usiłując sobie wmówić. że stanęli u kresu życzeń. a czując sercami próżnemi, iż ten cel pożądanym nie wypełnił zadania życia. Były to zwycięstwa miłości własnej raczej, niż zaspokojenie pragnień ducha i serca. Po błysku tryumfu następowały zadumy i zwątpienie nawet. ale człowiek sobie samemu często kłamie. aby się nie przyznać. że pobił.

Wśród tych ludzi. u progu mniemanego szczęścia stojących. jeden doktor Mylins był smutny i ponury. walczył z sobą. wahał się i pod siwym włosom. po młodzieńczemu wzdychał.

Odwiedziny ostatnie u Szurmy dały mu wiele do myślenia. w pierwszej chwili chciał zaraz wyszukać

pannę Apolonię i z nią się rozmówić. potem wziął to do namysłu i dzień cały przetrwał w sobie jakieś plany. naostatek trzeciego już wieczora. gdy w oknach pokoiku na górze. gdzie mieszkała nauczycielka. zaświeciło i dźwięk fortepianu jej oznajmił. że była w domu. Mylius obejrzawszy się czy go kto nie widzi. wsunął się do kamieniczki w rynku. Stare serce w piersi rozbitej, jak wiekowy dzwon. dziecięcą ręką poruszony, bić zaczęło. Wstydził się nieborak sam siebie. ale zastukał do drzwi. Gra nie ustało.

— Kto tam?

— Doktor Mylius.

Sama pani zarumieniona przysła otworzyć.

— A! to pan! cóż to za gość niespodziany! zawołała.

Jak złodziej wsunął się, małym czyniąc i pokornym doktor Mylius.

— Przepraszam panią. bardzo przepraszam. pozwoli pani na chwileczkę rozmowy.

— Ale bardzo proszę doktora.

Mylius wstrzymał się, jak gdyby mu tchu zabrakło.

— Niech mi panna Apolonia daruje. przebaczy. nie gniewa się. przyszedłem ją nudzić.

— A! zmiłuj się doktorze, bez wstępów i ceremonij. siadaj.

— Nie. pan! siadź. a mnie pozwól stać jak obżałowanemu przed sądem. który ma wydać wyrok o nim.

— Zaczynasz. kochany konsyliarzu. jakbyś miał lat dwadzieścia i jakbyś żartować chciał z biednej dziewczyny.

— A! czemuż nie mam już tych lat dwudziestu! wdychając. zawołał doktor. Niestety. mam ich więcej niż dwa razy tyle i na seryo bardzo mówić z panią przagnę. Ale się pani nie pogniewasz?

— Nigdy w świecie! na dobrego jak wy przyjaciela. odparła. patrząc mu w oczy i usiłując odgadnąć go Apolonia.

— A więc, alea jacta. zaczęę.

Prawda, że pani bardzo jesteś przyjaźnie usposobioną dla tego zacnego Szurny?

— Nie przeczę, mocno się rumieniąc. szepnęła gospodyni. W tej chwili znać przypomniała sobie, że mogła usiąść i zwołała zsunęła się na kanapkę.

— Oddawna to postrzegałem, mówił Mylius, że pani mu przyjasz, że on panią kocha.

— O! doktorze...

— Ale kocha, tylko tak po dzisiejszemu, jak teraz ludzie kochają, u których miłość uchodzi za dodatek do życia. Zdawało mi się, mówił Mylius, że obojgu wam braknie tylko pewniejszej podstawy dla przyszłości, ażebyście się pobrali i byli szczęśliwi.

Panna Apolonia spuściła oczy.

— Szacując panią, unikając cenić jego, starałem się usunąć jedyną przeszkodę, jaka mi się zdawała stać na drodze waszej. Znalazłem znaczną i bardzo korzystną pracę dla Szurny, ofiarowałem mu ją.

Apolonia nieśmiało podniosła oczy na niego łez pełne, ale się nic wyrzec nie odważyła, wargi jej drżały.

— Otóż, otóż, rzekł doktor, zniżając głos. pani moja, przekonałem się ze stanowczej z nim rozmowy — nie radbym cię ranić! — że człowiek ten, ma ambicję niezmierną, że jej gotów jest wszystko poświęcić i że gdyby nawet był bogatym, nigdyby na niego rachować nie można. A jednak on kocha cię, a ty jego.

Apolonia drżąc podniosła się z kanapy.

— Mój doktorze, odpowiedziała smutnie — czyż myślisz że mi z tą wiadomością przynosisz rozczarowanie? czy sądzisz, że ja — kobieta, nie wiedziałam o tem dawno? Tak jest, kochałam go, kocham może jeszcze jak brata, mam szacunek dla niego i podziwiam go, ale się nie ludzę! ale się nie lubiłam nigdy.

Dowiodłeś mi ojrowskiego serca doktorze, ale gdybyś był się mnie spytał wprzód — ja bym ci była powiedziała, że go próbować nie trzeba, bo ja dawno zbadała to serce.

I smutno spuściła głowę.

— Ale dla czegoż, spytała. zająłeś się tak moim losem. przyszłością i chciałeś nawet ofiarę dlań uczynić? powiedz mi?

— Bo i ja panią kocham! rzekł poważnym, spokojnym głosem Mylius.

Apolonia spojrzała na niego oczyma niemal przestraszonymi.

— Pan? mnie?

— A! cóż dziwnego. mówił smutnym głosem doktor. jestem stary, prawda. jestem niemily. jestem odrażający. ale co to pomoże? mam serce.

Otóż—pozwól mi pani dokończyć i po staremu. po opiekuńsku wyrozumować resztę. Szurna będzie wdychał i nie ożeni się. pani potrzebujesz opieki, towarzysza domu. jesteś sama. Nim cię los zmusi zrobić gorszy wybór jeszcze. czy nie wybrałabyś starego nudziarza Mylius. który ci się ofiaruje i u nóg składa siebie i serce swoje?

Apolonia podbiegła i podała mu rękę z uczuciem wdzięczności i uśmiechem rezygnacji.

— Kochany doktorze. jestem pewna. że z tobą mogłabym być o tyle szczęśliwą. o ile na tej ziemi z takim jak ty mężem być może kobieta. ale nie, nie! Z sercem pełnem jeszcze marzeń, pragnień. nieukołyszaniem. zburzonym. niegodzi się wchodzić pod dach twój, zostaw mnie tak sierotą. swobodną, biedną. ale...

— Dość! dość! na Boga—przerwał Mylius—ale się nie gniewaj!

— A! mój Boże—jam ci wdzięczna — dałeś mi do wód szacunku i wiary. ja lzy mam na oczach. czyżbym za to szlachetne pragnienie uczynienia mnie szczęśliwą mogła mieć żal do was?

— Wszystko to piękne. westchnął Mylius — jednak pani musisz mieć jakąś jeszcze isierkę nadziei. nieprawdaż? marzysz biedna istoto, że nawrócisz obłąkanego.

— Nie—odparła Apolonia—ale chcę dać sercu wypocząć i...

Tu lży stanęły jej w oczach i padła na kanapę.

— Doktorze kochany. rzekła — kiedyś. później gdy panią siebie będę. gdy zechcesz. gdy się upomnisz. dam ci tę rękę. która przynajmniej czysty. przyjacielski uścisk ci przyniesie. ale teraz! o! nie mogę.

Powiedz! nie byłożby to świętokradztwem. u ołtarza przysięgać tobie. a oczyma i duszą gonić za nim? Należy mi wprzód wyrwać z serca ten cierń krwawy i niechaj blizna się zgoi. Jeżeli ci nie dam miłości. bo ta się dwakroć niepowtarza w życiu. dam ci głębokie nczucie. które jest jej warte. ale nie teraz! Jam chora. jam nie wyleczona.

Mylius zamilkł.

— Odprawiasz mnie z nadzieją i dobrem słowem, za które z duszy ci jestem wdzięcznym. odezwał się — dajże mi pewność. że to co dziś zaszło. zostanie między nami. że nikt. nikt o tem wiedzieć nie będzie. Ludzie by się ze mnie śmiali.

— Jeżeli cię jak ja znają — nigdy. odparła Apolonia.

— Widzisz pani. ja sam oceniłem siebie. nie śmiałem się posunąć. aż gdym się przekonał. że lepszego mieć nie będziesz; chciałem ci go dać.

— Zawstydzasz mnie dobrocią swoją.

Mylius pokrył przymuszoną nieco wesołością boleść jakiej doznał. rozśmiał się do niej.

— A zatem. rzekł. masz mnie pani w odwodzie. na zawołanie!

Pama Apolonia podała mu znowu rękę. ale już mówić nie mogła. a doktor pośpieszył ją pożegnać.

Zaledwie zaszedł w środek rynku. gdy chłopak z apteki pochwycił go za rękę. — A! panie. ja od godziny po całym miasteczku biegam szukając pana. na miłość Boga! niech pan do apteki śpieszy! Jegomość bardzo chory!

— Jaki? kto?

— A! pan Skalski stary! pan Skalski.

Nie tak daleko było od rynku do domu z Eskulapem i Hygią. Mylius pośpieszył żywym krokiem. Z sennego usposobienia wnosząc. obawiał się czegoś

apoplektycznego. uderzył się więc po kieszeni. a poczuwszy narzędzia. biegł co prędzej.

Na dole, w pokojach dawnych aptekarza, świeciło się. na storach spuszczonech migaly cienie, w domu słyhać było otwieranie. zamykanie drzwi. wołania i wykrzyki. wszystko oznajmowało jakąś katastrofę.

Mylius rozpychając tłum ludzi w progu stojących na których nawet nie spojrział.—wcisnął się do pokoiku. Na sofce. w rogu. siedział Skalski. z głową w tył odrzuconą. blady. żółty. bez życia. przy nim doktor Walter z lancetem. napróżno próbował krwi dobyć z ostyglęgo już ciała.

Stary aptekarz po obiedzie, wedle zwyczaju. poszedł do swego pokoiku, siadł. zdrzemnął się i w marzeniach jakichś. śmierć przyszła narzucić zasłonę na świat. którego ujrzyć już nie miał.

Mylius stanął nad nim. njął rękę i puścił ją po chwili. była zimna i zaczynała kostnieć. Spojrzął do kola. u nóg płakała stara Skalska zachodząc się z jęków. stał syn zamyślony z oczyma suchemi i córka z rękami załamanemi dramatycznie. Dalej aptekarska drużyna, ciekawie poglądała na zmarłego przytupała.

Doktor Walter był niemy, blady. przerażony.

— Nie ma już tu ratunku. szepnął Mylius. niech dzieci matkę odprowadzą, aby jej tego oszczędzić widoku. wszystko skończone. Wezwijcie księży. biedny pan Marcin nie żyje.

Sceny tej malować niepotrzebujemy. była to chwila dla domu całego bolesna. ale w człowieku żyjącym. prąd życia nawet wśród tych etapów boleści pędzi go naprzód i zniewala do rachowania się z prozaiczną rzeczywistością. Trzeba myśleć o szczegółach pogrzebu.

Panna Idalia popłakiwała, ale któż może wiedzieć. czy po ojcu, czy nad sobą, rachując, że nieuchronna żałoba ślub upragniony przeciągnie? Roger. jako mężczyzna, jako głowa domu. oczy miał suche, a kłopotów nadto, by miał czas rozpaczać. Jedna

stara aptekarzowa mdlała, zachodziła się od płaczu i prawdziwie godną była politowania.

Nim biednego Skalskiego zdjęto z jego sofki, już całe miasteczko wiedziało o nagłym jego zgonie.

Posłano na podzwonne do Mary, a gdy dzwony ozwały się, oznajmując żywym, iż jeden z ich braci przeszedł do wieczności, wszyscy już powtarzali sobie szczegóły mniej więcej prawdziwe o ostatnich chwilach aptekarza.

Dla domowych śmierć ta prawie była przewidywaną, tak nagle Skalski w oczach ich gasnął — inni przypisywali ją różnym powodom.

Nazajutrz, pod wieczór, miało nastąpić wyprowadzenie zwłok dawnym obyczajem do kościoła, mroczysty potem pogrzeb w dniu następnym i złożenie w familijnym grobowcu.

Ksiądz wikary, który miał zarządzić ceremonię, poszedł umówić się z synem o wszystkie szczegóły. Wiadomo, jak różnie człowiek pogrzebionym być może, ubogiego trumna i schowanie kosztuje kilkanaście złotych, bogatego kilkanaście często tysięcy.

Roger postanowił, nawet nie radząc się matki, ażeby ojciec był pochowany z jak największą pompą i okazałością. Nie szło tu o ojca, ale o honor domu. Ponieważ niegdyś dla jednego z Tirowskich kościół obijano sukniem czarnem, kazano go i teraz obciągnąć żałobą, lampy postawić na wszystkich gżemsach, przy katafalku świec kilkaset. Słowem na co tylko mógł się zdobyć kościół, wszystko zamówił syn. Dncho-wieństwo całe, zakony, proboszczowie sąsiedni byli zaproszeni. Ksiądz Bobek miał celebrować, a dominikan z P... mówić z kazalnicy w kościele, zaś ostatnią egzortę słynny kanonik honorowy ksiądz Rozaryusz.

W mieście taki, z powodu tego niezwykłego pogrzebu, panował zamęt, iż powszedni żywot niemal się zatamował. Sklepy niektóre były pozamykane, w kościele pracowali cieśle, posłańcy latali na wszystkie strony, nie szczędzono kosztu na nic.

Listy zapraszające rozbiegły się po całej okolicy.

Redakcją ich zajmował się sam Roger i wystylizował je wedle wszelkich prawideł. Że jednak ani litografii, ani drukarni nie było w miasteczku, subiekt aptekarski kaligrafował je, coraz nowe dodając do nich omyłki.

Przeprowadzenie zwłok niczem się tak szczególnem nie odznaczyło, ale było bardzo zaradne i całe miasteczko, nie wyjmując Izraelitów, zbiegło się patrzeć na kondukt. Z sąsiedztwa szlachty przybyło nie wielu, stawili się ci tylko, którzy nieboszczykowi od lat kilku za lekarstwa płacić zapomnieli.

W dzień pogrzebu, gdy już trumna na wóz została złożoną i parady pochód powoli wyruszał od Fary na groble ku cmentarzowi, stała się rzecz niezrozumiała, która do wielu gawęd była powodem. Pani Skalska jechała powozem za ciałem, gdyż pieszo iść nie mogła, prowadził więc kondukt syn i córka, idący tuż za trumną. Za nimi postępować mieli *honoratiore*s.

Właśnie się to za bramą cmentarną nstawiało, gdy bezpośrednio za panną Idalią i Rogerem, wcisnął się straszliwy stary chłopisko, trzymający małą dziewczynkę bladą i mizerną za rękę. Tuż za nim słiczna dziewczeczka, nbogo ubrana, stanęła.

Pan Roger, który mimo silnego strapienia widział wszystko, co się koło niego działo, szepnął komuś, aby tych obszarpańców odepchnięto. Subiekt apteczny, któremu polecono urząd mistrza ceremonii, zbliżył się do starca i dosyć grubiańsko rzekł mu:

— Czego się tu ciśniecie? tu nie wasze miejsce.

— He! właśnie że miejsce, bardzo głośno odparł stary, jesteście najbliżsi krewni nieboszczyka po dzieciach. Nie znaleźmy się za życia, ale śmierć ma swe prawa. To moja wnuczka...

Subiekt przewidując, jakie to niemiłe wrażenie uczyni na Skalskim, nastawał, ale stary co raz głośniejsz odpowiadał i spozierał tak ostro, że w końcu potrzeba mu było dać spokój. Musiał pan Roger de Skalski znieść to najokropniejsze upokorzenie, przewi-

dując, że z niego najnieprzyjemniejsze wynikną plotki. ale niepodobna było robić awantury i zamieszać obchodu, gwałtem wypychając tego natręta.

Nikt dobrze nawet nie wiedział nazwiska starca wyglądającego biednie, nędznie prawie, ale tak dumnie i dziko, iż strach było doń się przybliżyć.

Trzymając za rękę dziewczkę schorzałą, mizerną, nie dawszy się wyrugować z raz zajętego miejsca, ów starzec szedł poważnym krokiem tnąc za Rogerem i Idalią aż na cmentarz i pierwszy po exorcie za dziećmi rzucił bryłę ziemi na trumnę, kląkł, pomodlił się potem, otarł oko, ujął rękę dziecka i krokiem poważnym przeszedł tłumy. a za bramą cmentarną zniknął.

Można sobie wyobrazić, jaką to przykrość uczyniło, jakie wywołało oburzenie w Rogerze, który utrzymywał, że mu to umyślnie, na złość ktoś uczynił. że była to zemsta i t. p.

W miasteczku korzystano z nakazania się dziada i tworzono niestworzone baśnie o przeszłości, pochodzeniu, stosunkach aptekarza. który przecież niechodził za szlachcica. Pogrzeb na tydzień przynajmniej dostarczył przedmiotu do rozmów rozlicznych, a wiele miłości własnych żywo zadrasnął. Zaprzeczano panu Skalskiemu praw do takiego przepychu, którym innych, mniej majątnych nieboszczyków zupełnie zaćmił.

Obliczano kosztą wszelkie i podnoszono ogólny wydatek do nieprawdopodobnej summy, znajdując, że lepiej było oddać to na ubogich. niż marnować na arystokratyczne manifestacje.

Urażonych było mnóstwo, niemało szyderców. a po nieszczęsnym obrzędzie tym. zamiast smutku i żalu. pozostały długo wytrawić się nie dające kwasy.

— Pyszałki!—mówili wszyscy, pyszałki, nie mogli inaczej. to się choć na nieboszczyku musieli popisać, że pieniądze mają!

Konceptów niesmacznych z powołania pana Skalskiego, a wyjętych po większej części z Molierowskich komedyj, przytaczać nie warto.

Z sąsiednich dworów, jak naprzykład z Turowa. chociaż nie przybyli panowie. bo im nie wypadło chować prostego aptekarza. poprzyjeżdżali z ciekawości officjaliści.

Doktór Walter. jako narzeczony panny Idalii, był zmuszony towarzyszyć jej nieodstępnie. chciała przy tej okoliczności. zmuszoną będąc do odłożenia ślubu. przynajmniej wszystkich obecnych wziąć za świadków. iż... był jej narzeczonym. Kazała mu się prowadzić za trumną. podawać rękę. dawała mu trzymać szal. padała nieco umyślnie, aby ją podtrzymywał.

Dodajmy, że w żałobie była przesliczną.

Nazajutrz po smutnym obrzędzie. gdy Roger z przynoszonemi jeszcze rachunkami rady sobie dać nie mógł, panna Idalia potrzebując dystrakcyi i pociechy dla matki. posłała po doktora Waltera.

Chciała mniej więcej wiedzieć, ile przyzwoitość, prawo żałoby. zwyczaj, kazały na ślub po śmierci ojca wyczekiwać; obawiała się tak, aby jej stary się nie wymknął, iż gotowa była niektóre zwyczaje staroświeckie przeskoczyć, jako zgnile przesady.

— Ponieważ wesela nie będzie, bo to nie jest w modzie, cóż ma za związek żałoba ze ślubem? Mogłabym ślub wziąć i potem znowu wdziać żałobę, mówiła sobie po cichu.

Półgębkiem nawet powiedziała to matce, która załamując ręce zaprotestowała, błagając by tego nie czynić. gdyż powszechnie ślub taki uważano za najgorszą wróżbę. Idalia zamilkła. w parę godzin po wysłanem wezwaniu, przybył doktor Walter. Był bledszym jeszcze niż zwykle. poważnym, zamysłonym, jakimś strasznym i tajemniczym. Narzeczona pochlebiała sobie, iż nad nim wszechwładne ma panowanie, nie podobała się jej ta fizyognomia zdziaczała i podeszła doń. aby go słonecznem wejrzeniem rozchmurzyć. Ale na ten raz doktor pozostał zamysłony i posepnny.

Wyprowadziła go więc do przyległego salonu panna Idalia. dla swobodniejszej rozmowy.

— Przebyliśmy smutną chwilę, rzekła, ponieśliśmy stratę, ale oprócz niej, wierz pan, boli mnie i to, że naturalnie związek nasz musi być do pewnego czasu odroczoney. Jak wam się zdaje? czy potrzebujemy długo czekać?

Doktór Walter podniósł oczy powoli.

— Ja nie wiem, rzekł

— Mnie się zdaje, że żal po ojcu nie ma żadnego związku ze ślubem, dodała panna, ja całe życie opłakiwać go będę, ale...

— Ale zwykle, przerwał Walter z niesmakiem, czeka się najmniej pół roku.

— Pół roku! pół roku! — powtórzyła Idalia, o! to długo.

Walter milczał, chwilę stał pogrążony w dumaniu.

— Właśnie chciałem z panią mówić o okoliczności, która jest z tem w związku...

— Cóż takiego?—spytała zbliżając się Idalia.

— Będzie to przykre dla mnie ze wszech miar wyznanie, później dowiesz się pani o szczegółach, dziś tyle tylko powiedzieć jej mogę, że dla wyjaśnienia mego położenia, dla tego właśnie, ażeby ślub nasz, był ważnym, muszę jechać do Warszawy i skończyć tam dawną, przykrą, zagrażającą mi sprawę!

— Sprawę, zagrażającą wam? — zawołała Idalia, sprawę, w sądzie może?

— O tem pani dowiesz się później... chmurno rzekł Walter.

— Ale ja bym powinna teraz wiedzieć już, dziś wszystko, co się pana tyczy!—przerwała Idalia.

— A jeżeli to być nie może?—zapytał Walter.

Idalia, która się była posunęła za daleko, ułękła się teraz, aby dylemat postawiony nie zmusił ją do wyboru tego, czego wcale sobie nie życzyła.

— Jeżeli to być nie może, cichszym odpowiedziała głosem, ponieważ ja zupełnie wierzę i ufam panu, więc nie będę natrętą.

Walter spojrzał.

— Tak, rzekł, muszę pojechać do Warszawy i być bardzo może, iż tam zabawię dłużej nieco. To nie zależy ode mnie.

— Długo?—zapytała tęskno Idalia.

— Nie wiem.

Twarz panny pobladła.

— Czy są jakie przeszkody?—spytała.

— Nie sądzę ażeby były, nie mogę przewidzieć zresztą.

Tu zawahał się chwilę Walter.

— A gdybyś pani. dodał po długim namyśle, zamiast starego dziwaka, którego widzisz przed sobą, znalazła we mnie potem człowieka złamanego niedolą i skalanego jakim występkiem?!

Ostatnie słowa wymówił powołnie, z przyciskiem, wpatrując się w twarz narzeczonej.

— Występkiem! z cichym, tłumionym przestraszeniem. łamiąc ręce, zawołała Idalia. to być nie może. Jakiż występki pan mogłeś popełnić?

Walter milczał. W głowie Idalii mieszało się, ale raz uchwyciwszy się tego ożenienia. rzucić go nie chciała. choć się jej z rąk wyslizgać zdawało.

— Jeżeli panu świat, ludzie, Bóg przebaczyli, wszakże... ale to nie może być! to nie może być!

Walter patrzył na nią. Nerwowe drganie przebiegało jej twarz, oczy latały zbłąkane po nim, po sali... rwała na sobie sukienkę.

— Pan mnie chcesz zrazić, odepchnąć, straszysz mnie.

— Nie, rzekł wreszcie chmurno Walter, mówię pani wszystko, bom obowiązany jej powiedzieć. Pani masz czas zawsze zwrócić się...

Idalia, jakby jej myśl jaka nagle przyszła jasna, przystąpiła do niego żywo:

— Co mnie do tego! — zawołała, ja chcę wiedzieć tylko, czy wam ucie nie wyrzuca smutnienie?

Na to pytanie narzeczonemu stanął niemy. potrzebował może chwili. aby się ze swem rozmówić sumieniem.

— Moje sumienie, rzekł powoli, moje sumienie jest jak grób, który pożarł ciało, ale nań spadły głązy, kamienie, postawiły na nim lata gmach i zdusiły co w niem było, ja nie czuję nic w sumieniu.

— Więc nic też w niem mieć nie musisz, cicho szepnęła Idalia.

Zamilkli na chwilę, doktor przeszedł się po salonie i powrócił jakby inny.

— Jeżeli się pani lękasz, bym ja nie zerwał, mylisz się. Komu przy życia schyłku pokazało się coś jaśniejszego w ciemnościach, nie pyta się, czy to błyskawica i piorun, czy niebo czyste... leci. Jam pochwycił nadzieję szaloną skosztowania jeszcze czary przed laty wywróconej i... tej nadziei nie rzucę. Teraz ja bić się o was będę, choć z razu wy mnie wzięliście przebojem... nie pnszczę cię! nie...

Oczy mu się iskrzyły, tak strasznym był, że się Idalia nawet ulękła i cofnęła o krok.

— O nie, pani! zawołał, musisz być moją, wszystkie przeszkody obali złoto, a tego nie będę żałował...

Nagły wybuch dziwnego doktora, prawie zmienił usposobienie panny, zimno jej się zrobiło, po raz pierwszy przeleciało przez myśl straszliwe przypuszczenie, iż zamiast być królową, może zostać niewolnicą.

Zbladła, ale uśmiechem pokryła ten przestрах, który dać poznać dziś, byłoby okazać słabość własną.

Ze spuszczoną głową, ochładzając chustką twarz, w której czuła płomienie, kilka razy przebiegła żywo salon, powróciła do Waltera, podniosła czoło, wlepiła weń oczy, w których potęgę wierzyła i milcząc, patrzyła nań długo, patrzyła, aż Walter błednieć począł znowu.

— Nie! — rzekła w duchu, ja jestem i będę panią, on mnie już porzucić nie może, jak zmora dusiłabym go we śnie, chodziłabym za nim dnie całe, nie dałabym spokoju.

I nie mówiąc słowa. wyciągnęła mu dłoń drżącą. Walter ją pochwycił i ścisnął. widać w nim było walkę.

— Najprzód ślub. potem jedź za tą sprawą. tak ja chcę...

— Ale ślub byłby nieważnym...

— Ślub będzie ważnym, bo... bo ja tak chcę. powtórzyła raz jeszcze.

Na tem skończyła się rozmowa.

Złożyło się tak, iż od czasu oświadczenia się panuie Idalii. doktor Walter nie widział Luzińskiego. Młody chłopak często wybiegał do Wólki. wróciwszy do miasteczka. stukał kilka razy do drzwi doktora i nigdy zastać go nie mógł. W domu albo znajdował starą kucharkę Kazimierę. lub nikogo. Podejrzliwy zawsze i obraźliwy Walek, wziął ten przypadek za umyślnie jakieś, obrachowane odpychanie i powiedział sobie:

— No, to do niego więcej nie pójde.

Siedział więc u siebie na gorze. czasem u pani Pauze. która zawsze nader mile go przyjmowała i pozwalala mu nawet palić cygaro. co nikomu w świecie dotąd dozwolonem nie było, a najczęściej przebywał. (wyrachowawszy godziny. gdy majster pracował). w sklepie trumien u Linki. Nie było to zakochanie się w dziewczęce. która wdziękiem swym i prostotą zając go mogła. ale utrzymać przy sobie szczebiotaniem nie potrafiła. nie było to artystyczne ukochanie formy idealniejszej. ozłoconej młodości promykem, była to bardzo powszednia, bardzo brzydka namiętność. gwałtowna, która co dzień wzrastała. co dzień stawiała się burzliwszą i co dzień bardziej wmnawiała w siebie. że jest zupełnie naturalną. Poeta znajdował się jako geniusz. miał prawo Minotaura, karmienia się takimi istotami. przeznaczonemi na pastwę wielkim ludziom. Tysiące przykładów usprawiedliwiała go w jego oczach. Z najspokojniejszym sumieniem obrachowywał. że uboga krewniaczka czy tak. lub owak. paść musi ofiarą jakiego śmielszego uwodziciela. czeladni-

ka. gbura. Myślał więc. iż łaskę by jej uczynił. gdyby sobie z nią poigrał. jak kot z myszą i potem uniesmiertelniał balladą.

Mówią o okrucieństwie dzieci. ale i owi ludzie wielcy. którym się zdaje. iż geniuszem ludzkość prze-rośli. okrutni bywają.

Walek oczekując na nieszczęśliwienie hrabianki, uszczęśliwiał niewinne i nieopatrzone dziewczę. Siadywał tam długo, często nawet wieczorami. Czasem ją wyprowadzał w nliczkę pustą, pod gałęzie lip i cicho szepcząc wiódł miodowymi słówkami... daleko.

Z razu jakoś się to tak stało. że go ojciec nie widywał, potem zobaczył i nic nie powiedział. potem spojrział marszem. Lince nałajał i skutkiem tego mrządziły się spotkania po za oczyma ojca. Geniusz potrzebował dystrakcyi i ta mu się słusznie przecie należała od Opatrzności. która go wyjątkowym stworzyła.

Nie rychło troskliwa o prowadzenie się swojego gościa pani Panze, znown posłała Hankę na zwiady. a przezorne dziewczę zasiadło tak dobrze w furcie ogrodu. iż pana Luzińskiego doskonale widziało, gdy Linkę całował. a Linka się śmiała tylko. Raport zdany właścicielce restauracyi pod Różą. napelnił ją zgrozą. postanowiła albo nawrócić grzesznika. lub go natychmiast wypędzić ze swojego domu. Powołany wieczorem przed straszliwego sędziego, Luziński udał się do pani Panze; Hanka. Jóźka. oberkelner. byli najpewniejsi. że dostanie abszyt, (tak się wyraził p. oberkelner). W istocie bawił Walek dłużej niż kiedykolwiek u pani Pauze. znać tłómacząc obszerniej swe postępowanie. ale tak dobrze miewinnić się potrafił. iż nie tylko w domu pozostał. nie tylko przybrał ton nieprzyjemnie imponujący. ale jeszcze w dodatku Hance nagroził. okazując. iż wie o denuncyacyi. Służba restauracyi miała go za czarnoksiężnika. a był tylko nie do-brego.

Wśród tych miasteczkowych wakacyj. które

czemś przecież geniusz zajmować musiał. nastąpiła śmierć aptekarza i pogrzeb jego.

Luziński z dala na to spoglądał.

Z doktorem Walterem dopiero po ostatniej jego rozmowie z panną Idalią. z daleka się spotkali w rynku. Walter powracał do swego dworku. Walek wychodził za miasto uliczką. w której spodziewał się Linke zobaczyć.

Szydersko spojrzawszy na doktora. miał go. skłoniwszy mu się. jakby na żart pominąć Luziński. gdy ten stanął i poprosił go ruchem ręki. aby się zbliżył.

Walek był. od ostatniego z nim widzenia się. gniewny i niechętny. Walter nie zdawał się o tem pamiętać. ani doń mieć urazy. Owszem uśmiechnął się. podał rękę. jakby chciał go rozbroić. gdy postrzegł. że ma jeszcze żal do niego.

— Dla czegośmy się od tak dawna nie widzieli? zapytał — czy pan wyjeżdżałeś?

— Nie. rzekł Luziński szorstko; kilka razy spróbowałem odwiedzić pana. nie było was nigdy. pocóż miałem rozbijać się o drzwi tak uparcie zamknięte?

— Nie moja wina. stało się to nieumyślnie. odpowiedział doktor. nie miejcie mi za złe.

— O! ruszając ramionami zawołał Walek. ja nie mam za złe nikomu. gdy sobie postępuje jak mu dogodniej i lepiej. Nie mieszam się w sprawy cudze. Chciałem panu tylko. coś mi dawał nauki moralne o różnych niestosownościach związków małżeńskich — powinszować.

Walter się zmarszczył.

— Bądź waćpan pewien odparł. że to co ja robię. jakkolwiek mu się wydaje niewłaściwem. mniej jest niebezpiecznem od tego. coś waćpan zamierzał. a co się zapewne rozchwiało.

Luziński zawsze z urazą do doktora. nie odpowiedział nic. ruszył ramionami.

— Ja to wiem, odezwał się po chwili, że starzy sobie roszczą przywileje nauce młodzieży. choć sami często się mylą. Jest to przyjemem. My słuchamy wprawdzie.

— Tak, ale usłuchać nie chcecie nigdy. mówił doktor, biorąc go z wolna pod rękę i prowadząc z sobą — a potem w lat kilka. często prędzej przychodzi do świadectwa i mówicie sobie: — A! żebym był starego posłuchał!

Walek milczał.

— Nie miej mi pan za złe. że się wdaję w jego w jego sprawy. dowiesz się później, że mi znajomość z ojcem dawała do tego prawo.

— Ale czemu pan lepiej nie powiesz mi co o ojcu, tem byś mi uczynił prawdziwą łaskę?

— Jeszcze zawczasie — rzekł Walter chmurno, właściwie niepowinieniem był nawet mówić panu, iż go znałem. Chciałem powagę nadać słowom moim. ale się to wszystko rozbiło o waszą zwykłą zarozumiałość młodzieńczą.

Lużyński znajdował już Waltera. który sobie opiekuńczy ton nadawał. w najwyższym stopniu nieznośnym. Na jego twarzy igrał uśmiech szyderski, dumny, ujemal pogardliwy. patrzył z góry na starego, nie raczył mu nawet odpowiadać.

— Nie śmiem się odezwać, rzekł powoli, boję się pana obrażać, a powiedziałbym co myślę, żeś pan stracił już wszelkie prawo dawania nauk młodzieży, postąpiwszy sobie sam jak młodzieniaszek.

Walek spuścił głowę, czuł się w istocie winnym, słabym. śmieszonym.

— Tak samo jak pan dałeś się uwieść młodości, inny może się dać obalamucić ambitnym widokom, wszyscyśmy słabi.

— Tak! tak! wszyscyśmy słabi — dodał zdławionym głosem Walter i wszyscy za słabość jesteśmy potem karani i chłostani, bo nie na świecie nie chodzi bezkarnie, bądź pan pewnym.

Oba zamilkli. szli wszakże razem.

— Chcesz ze mną być szczerym jak z przyjacielem ojca? zapytał doktor — możesz mi powiedzieć, czy plany twe i projekta rzucone są, czy trwają?

— Taić się nie mam powodu, bośmy teraz kłódy w grzechu — zawołał Walek — moje projekta dojrzewają, są w zawieszeniu. ale ja ich rzucać nie myślę.

— Kochasz się więc? zapytał doktor — jakkolwiek niedorzeczna byłaby to miłość, mogłaby cię usprawiedliwić.

— Nie kocham się wcale — odparł z fanfaronadą Luziński, zajmuje mnie ta kobieta, ale to nie jest miłość.

— Miłość często zawodzi, rachuba zawsze — przerwał doktor — pamiętaj to sobie.

— Nie mówmy o tem.

Luziński nieco zniecierpliwiony, chciał rękę wysunąć i odejść, gdy Walter go zatrzymał.

— O co ci idzie? — spytał — o bogactwo?

— Może, bo to potęga naszego wieku — rzekł Luziński.

— Spodziewam się, że nie o arystokratyczny związek, bo ten nieprowadzi do niczego.

— To, jak kogo — odmruknął Walek, narzędziem tem jedni się umieją posługiwać, drudzy nie.

— Jesteś człowiek młody, z talentem, nie bez grosza, bo wiem, że doktor Mylius z wami się podzielił.

— Oddał co należało mi się po matce.

Na te słowa bezwstydnie rzucone, Walter oczy wlepił w Luzińskiego zdziwione, smutne i zamilkł na chwilę.

— Z tem wszystkiem co pan masz, można się swobodniej dobić wszystkiego w świecie — mówił doktor — ja nie miałem nic, nie umiałem nic, byłem na świecie sam jak wy, a z jedną pracą żelazną, zrobiłem

majątek — to mniejsza, zdobyłem nieco nauki, wykształcenia i niezależności.

Dla czegożbyście wy, o położeniu daleko szczęśliwszem, nie mogli dojść pracą do najświetniejszego stanowiska?

— Dla tego — odpowiedział Luzziński, że ja pracy nie cierpię, że się nią brzydzę, że uważam ją za przeciwną geniuszowi, za niezdolną i upokarzającą. Praca jest dobrą dla tych, którzy w sobie potęgi nie czują. ja potrzebuję szerokiego pola, wielkich środków, swobodnego ruchu.

Doktór przerwał.

— By zmarnieć!... Słowa te wyrzekł z gniewem, to są niedorzeczne marzenia!!

— A! a! wyrywając się — oburzony krzyknął Luzziński — tak pan sądzisz? bywaj zdrow! dobra noc!!

To mówiąc, żywym krokiem oddalać się począł. Walter pozostał jak przykuty. stał, myślał, chciał z razu dogonić Walka. potem jakby uległ jakiejś przeważnej konieczności, która go wstrzymała, zwrócił się ku domowi. Ale na twarzy jego pozostał długo ślad doznanego bólu.

ROZDZIAŁ VII.

Gdy się to działo w miasteczku, Turów zdawał się na pozór zamarły. szczególnie po ostatnim niedoszłym pojedynku du Vala i don Luisa z Boguniem. który nie oszczędzając ich obu, wysmiewał wypadek cały. w czym mu inni dopomagali.

Przyczyną tak niefortunnego znalezienia się Luisa i pozornego stchórzenia obu. była hrabina. Zrobiła ona scenę gwałtowną du Valowi. wystawiając los swój. jeżeli by sama pozostała wśród nieprzyjaciół — nagliła. płakała. łajała, żądała zgody à tout prix i wymogła nareszcie na synu. że nie wyjdzie. na du Valu. że przeprosi... Bogunio zaspokoił się napisanym listem i otwarty trzymał na stole, objaśniając komentarzami.

Stało się jak despotyczna hrabina kazała, ale potem trzeba się było jeszcze bardziej zaniknąć w pałacu. do którego nikt już nie przyjeżdżał i zerwać wszelkie stosunki z sąsiedztwem, które nigdy przyjaznem nie było. a teraz stało się otwarcie niechętnem.

Du Val chodził jak zabity. gdyż na odwadze mu nie zbywało. zamyślał o wyjeździe do Warszawy.

Strachy o wykradzenie panien jakoś przycichły i zdawały się przesadzonemi lub zmyślonemi. gdyż nigdy hrabianki spokojniej. z większą rezygnacją się nie zachowywały.

Hrabina zdumiona była szczególnie pobożnością Izy i kilkakrotnemi napomknieniami dobrowolnemi o szczęściu zakonnego żywota.

Stary hrabia wegetował jak przedtem. z tą mo-
że różnicą, iż zdrowie jego w miarę ginięcia sił umy-
słowych widocznie stawało się coraz lepsze. a nade-
wszystko apetyt miał niezwyčajny. Hrabina znajdo-
wała. że objadanie się mogło mu być szkodliwem
i karmiła go zawsze kleikami, ale Emma tajemniczo
nosiła mu łakocie, do których trząś się jak dziecko.

Pod tym pozornym wszakże spokojem. przysto-
wywała się niemiła dla hrabiny niespodzianka.

Po długich naradach między siostrami, gdy Em-
ma w żaden sposób ojca opuścić nie chciała, a baron
napróżno dwieście dukatów ofiarował Myliusowi. aby
swą powagą starego hrabiego do miasteczka przepro-
wadził. (za co porządnie oberwał) zgodzono się na to,
ażeby Iza naprzód próbowała szczęścia i salwowała się
ucieczką. Nieskończone wszakże spotykało to trudno-
ści, zwłaszcza z powodu, że Walek Luziński, genial-
ny poeta, był najniepraktyczniejszym z ludzi. Gdy
cokolwiek bądź robić przychodziło, posługiwał się Bo-
guniem. bo sam niepotrafił nic. Bogunio wiadomemi
sobie środkami zawiązał stosunki z Turowem i trzy-
mał wszystkie sprężyny w ręku.

Hrabianka wymagała, ażeby wprost z Turowa
mogła pojechać przed ołtarz i wziąć ślub natychmiast.
Ślub przedstawiał niezmiernie zawiślane zadanie. zna-
leźć księdza coby go chciał dać, nie było łatwo, cho-
ciaż znane wszystkim położenie hrabianek, do polito-
wania i współczucia dla nich usposabiało.

Bogunio jako kuzynek wziął to na siebie, aby się
najprzód upewnić o księdza. Pomyślał tedy o księdzu
wikarym, którego znał dobrze i na którego rachował.

Jednego dnia. nie mówiąc nic nikomu, pojechał
komu do miasteczka. a po południu nieznacznie, tak,
aby go nikt wyszpiewować nie mógł, bocznemi droży-
nami poszedł na probostwo.

Ksiądz wikary wraz z altarystami. stał jakeśny
mówili w bocznem skrzydle. A że wiek świątobliwego
i zacnego księdza Bobka, smuszał go większą część

spraw zdawać na wikarego. on w istocie zarządzał parafią.

Był to nie młody już człowiek. dobrej tuszy. wesół. swobodnego umysłu, nieznużony w pracy. pozornie pobłażliwy dla ludzi, w towarzystwie nprzejmy — ale w spełnieniu obowiązków nieubłagany dla siebie i dla drngich. Bogunio widując go tylko za stołem. w kompanii. na zabawach. mylił się w ocenianiu go i sądził, że będzie mieć do czynienia z lekkim i łatwym człowiekiem.

Wikarego zwano pospolicie księdzem Eustachiuszem, było to jego imię. Rzadko go dla pracy około dusz w domu zastać było można, to też jego mieszkanie urządzone było jak gospoda. Ogromna izba wcale nie elegancka, staremi zastawiona sprzętami, trochę ciemna, wyglądała na skład raczej, niż mieszkanie. Na stole pod oknem tylko brewiarze i kilka książek. kałamarz i pióra poświadczały, że tu mieszkał ktoś i pracował. W kącie przy drzwiach, leżała czasem uprzęż koni księdza wikarego. na kominie podkowy, w kącie stały ogrodnicze narzędzia. a w głębi przy ciemnionej szafy i komody. poustawiane były niezliczone rupiecie.

Ksiądz wikary pisał. gdy wszedł po cichuteńku Bogunio, podniósł rumianą twarz nierozpoznając go zrazu. a potem wstał poważnie i prosił siedzieć. Gość tak go znalazł teraz zmienionym. od wesołego księdza Eustachiusza którego przy kieliszku widywał, iż pomimowolnie uląkł się zadania z którym przyszedł. Miał minę tak seryo, tak oniesmielającą. iż nie wiedzieć od czego było zacząć. Ale pocziwy szalaowała, gdy mu służyć było potrzeba drngim. w sercu szukał natchnienia.

— Cóż tu waćpana dobrodzieja do mnie sprowadza. zapytał wikary, bo że nie prosta grzeczność, to pewna? Może oszczędzę panu czasu i preludyów. gdy go o to spytam.

Bogunio skrzywił się.

— A! księżu wikary dobrodzieju, muszę ci się przy-

znać, żem nie przyszedł z prostą wizytą — i nie we własnym interesie. dla tego jestem wielce zakłopotany. ażeby go nie popsuć niezręcznością.

— Ale prosto z mostu, przerwał ksiądz, rąb o co idzie.

— Dobrze mówić, gdy się nie wie o co chodzi.

— Juściż nie o nic niegodziwego?

— O rzecz godziwą, ale nieprawą, rzekł Bogunio, o rzecz, którą sumienie dopuszcza, ale jej przepisy nie dozwalają.

— To nie ma o czym mówić, przerwał wikary, dla nas duchownych, przepisy kościoła winny być sumieniem, a w tranzakcy z niemi kto się wda, zdając na rozum własny, ten może zajechać zadaleko.

— Ale w pewnych wypadkach, przerwał przybyły.

— Na wszystkie wypadki są prawa.

Bogunio wstał, rad był że się tak od nieokreślonych rzeczy rozpoczęło. mógł się wycofać nie wygadawszy. Wikary nań spojrział i żał mu się go zrobiło. znał, że człowiek był porciwy.

— Do nog upadam księdza wikarego dobrodzieja.

— No, idziesz? Czekaj, czekaj! co to znown? Możesz mi przecie powiedzieć o co idzie? sub sigillo confessionis, gdy zaręczę, że milczeć będę, niepowiem nikomu.

— Ale do czego się to zdało? rzekł Bogunio.

— Na to, abys wiedział stanowczo, że nie masz się już o co starać i gdzieindziej. Siadaj i mów, ale nie— czekaj, powiem zakrystyanowi, ażeby tu nikogo nie wpuszczał.

Wyszedł na chwilkę, powrócił, siadł, rewerendę zakasał, nogę na nogę założył, ręką się podparł i zabierał słuchać.

— Rzecz jest taka — odezwał się Bogunio — mam dwie blizkie krewne, panny hrabianki Turowskie w Turowie. Jegomość dobrodziej wiesz jaki ich los. w jakiej są niewoli i pod czyim despotyzmem. Ojciec zupełnie bezprzytomny, macocha niedobra kobieta, brat przyrodni nienawidzi ich, czyhają na ich mają-

tek, odsuwają od nich ludzi. słowem, chcą by postarzały i zagryzły się.

— Tak to coś jest. bąknął ksiądz wikary, to prawda.

— W końcu nawet obojętnego człowieka litość bierze nad ich losem. Macocha poprzysięgła im zgubę i Bóg wie na jakie niebezpieczeństwa są narażone. wyrwać je z tych szponów. z pewnością nie byłoby grzechem. ale to może uczynić tylko ktoś taki. coby się z nimi ożenił.

— Mów. tylko tacy. coby się z nimi ożenili — poprawił wikary. bo bigamia nie uchodzi.

— No tak. śmieiej ciągnął Bogunio. — Pamięamy sobie znalazły cichaczem konkurentów. ale idzie o to. gdyby się wyrwały z nimi z tego piekielnego domu. czy im kto ślub da?

Wikary strzepnął się aż i porwał za głowę?! — Ale nie! nie! nie! ślub. ślub bez zapowiedzi, bez dyspensy, bez form zwykłych. ślub nieważny. nikt go nie da! to nie może być.

— Zmiłuj się ojczy. ale w tak wyjątkowym wypadku, gdzie cały kraj by świadczył. iż spełnił obowiązek! zawołał Bogunio.

— A poszedłby na rekolekcyę, pod sąd duchowny. miejsce by utracił. pomyślano by, iż to uczynił dla pieniędzy i — ostatecznie — niegodzi się!

— Więc pamięamy poprzepadają! rzekł Bogunio.

— A! no, wszak ci mogą... ale nie... nic nie mogą — przerwał wikary. muszą znosić los swój cierpliwie i czekać.

— No, tak. czekać śmierci ojca. a gdy ta nastąpi, niekazać od macochy i brata.

Zamilkli obadwa. ksiądz się zaczął po pokoju przechadzać milczący, powtarzając -- nie może być — ale wdychał.

— No. to poradzicie. co robić? jak? zapytał Bogunio.

— Modlić się i cierpieć! na to prawdziwie rady chyba nie ma. Ale, ponieważ mówimy jak na spowiedzi. czy jesteś jednym z konkurentów? zapytał wikary.

Bogunio się śmiać zaczął.—Ja! żebym ja się ożenił i to jeszcze ze starą panną, a niechżeby mnie!!

— Daj już pokój. tylko nie klnij — któż to są ci panowie?

— E! ojcie! to do spowiedzi niepotrzebne. dosyć. że nieczciwi ludzie i katolicy. a tymczasem nie chodzi nawet o dwa śluby, ale o jeden tylko.

— A drugi?

— Drugi chyba później, bo jedna z nich litując się staną ojca nieszczęśliwego. odejść go nie chce nawet dla swobody.

— To pocziwa córka! niech jej Bóg błogosławi — zawołał wikary.

Szkoda pamięn, no—ale co robić? co robić. kiedy nie można?

— E! co to ojcie. nie można! osoby znane. okoliczności znane. w sumieniu możecie być spokojni. A lepiej-że będzie gdy nieknuą i bez ślubu żyć zostaną zmuszeni.

— A fa! a fe! grzech śmiertelny! o tem ani mów. nchowaj Boże.

— Jeśliby byli zmuszeni.

— Co ich może zmuszać do występku?

— Kiedy w duszy sobie wiarę poprzysięgają.

— No! no! nie roznmuj! daj pokój! odparł wikary, co się nie godzi, to się w żadnym razie nie godzi.

Bogunio wstał, wikary spojrzał nań.

— Siedziałbyś, rzekł — czego się śpieszysz?

— Kiedy tu nic nie wskóram! szepnął Bogunio.

— Bo żeby przynajmniej byli ubodzy! zawołał wikary — gdyby w takich okolicznościach dał się ślub, nikt by nie posądził o przedajność. a to jeszcze na biedę, panna ogromnie majątna.

— A mój ojcie — począł żywo Bogunio — już kiedy na to schodzi cała rzecz. przyznam się. że skrupułu nieroznmiem, bo jest czystym egoizmem. Mają oni więc pokutować za to, że jegomość lęka się być posądzonym? a któż by to śnił was o chciwość obnówić?

— Nie paplaj! nie paplaj. przerwał wikary — dość już tego — nie można.

I głową potrząsał.

Bogunio wstał i znowu zabierał się do wyjścia.

— Czego się śpieszysz? przerwał ksiądz wikary. Kara Boża z tą młodzieżą, jak im wszystko pilno. urwij. podaj. łap, cap. aby prędzej.

— Ale pocóż będę księdza dobrodzieja nudził nadaremnie?

— Żeby uboga dziewczyna była w takim położeniu. nie wahałbym się, dalipan dałbym ślub. ale tu... ale tu... To będzie skandal. hałas. rozgłos. Turowscy niebo i ziemię poruszają.

— Zmilczą — odezwał się Bogunio.

— A ślub będzie nieważny w dodatku.

— W obliczu kościoła?

— E! cicho byś był! co mnie uczyć będziesz. Cicho byś był.

— A któż narzeczony?

Tu Bogunio się zawahał mocno, spojrzał na księdza.

— Czy koniecznie mam powiedzieć? mój przyjaciel, człowiek młody.

— Co mi po głowie chodzi. a nuż to waćpan w takim razie jeszcze i pokrewieństwo w dodatku.

— Klnę się, że nie ja.

— No któż? sub sigillo.

Gość zbliżył się do ucha wikaremu i poszepnął mu nazwisko. ksiądz aż odskoczył i przeżegnał się.

— Co! on? a to jakim sposobem? on?

— Podobał się.

— Gdzie się poznał?

— Nie wiem.

— Wybór nieszczególny. rzekł wikary — ale spiritus flat ubi vult. a miłość od tego spirytusu jest jeszcze swobodniejsza. To furfant. dodał wikary, ja go nie lubię. ma się za wielkiego człowieka dla tego, że wierszydła klei. a próżny. a nadęty i do niczego.

— Ale talent ma niepospolity, no...

— Talent! ruszył ramionami ksiądz wikary, talent u takich ludzi. mosanie, jest jak ten fortepian co go Moszkowa dla córki kupiła, która na nim grać nie umie. Fortepian wprowadzie stoi. ale nżyć go niepotrafią.

— Mój ojciec. rzekł Bogunio — właśnie może ożenienie zrobi go człowiekiem. Zresztą — *de gustibus non est disputandum*.

Wikary głową kiwał.

— *Mirabilia!* powtarzał, zażywając tabakę.

— Mam więc pana dobrodzieja pożegnać?

— Ale czekaj. co bo pędzisz? nie dasz myśli zebrać.

— Pilno mi jest. dodał trochę podstępnie Bogunio. bo prawdę rzekłszy. cała nasza nadzieja była na dobrem sercu księdza wikarego. a ponieważ ta spełzła. zdecydowani są już tak zamieszkać razem. aż dopóki prawnie i ze wszelkimi formalnościami ślubu wziąć nie będą mogli.

— Pocóż z sobą mieszkać?! ofuknął ksiądz. niech ona jedzie do klasztoru.

— A któż ją tam zawiezie? przerwał adwokat. sama uciec nie może, potrzeba ją przecie wykraść. Gdy ją narzeczony przywiezie potem do klasztoru, no — nie wiem czy ją przyjmą. A wiesz jegomość dobrodziej, młodość, miłość, okoliczności...

Ksiądz wikary sobie nszy pozatykał.

— Dajże mi pokój z temi gorszącemi przypuszczeniami.

Bogunio siadł i patrzył. ksiądz chodził i ciągle to się zamyslał, to wołał głośno:

— Kiedy nie można!

— Tandem, już tym razem to żegnam doprawdy. zawołał Bogunio — a moją tajemnicę polecam.

Schylił się. aby pocałować księdza w ramię, wikary go chwycił za rękę.

— Z jednym warunkiem — rzekł, dam ślub.

— Dasz! ojciec! zbawco! dobrodzieju! z jakim? mów.

— Z jednym. powtórzył ksiądz, że mi ani złamanego szeląga za to nie zapłacą.

Bogunio był tak uradowany, iż mało mu do nóg nie padł, a potem począł go ścisnąć i chwyciwszy w objęcia, chciał walczyć z nim po probostwie tańcować.

— O! o! o! oszalał! zawołał ksiądz wikary, no! patrzcież go! waryat ... osoba duchowuwa...

— Jesteś świętym człowiekiem. w uniesieniu zawołał Bogunio.

— Stój! stój! są jeszcze inne warunki. o których o mało nie zapomniałem, pod grzechem śmiertelnym obowiązuję. by oboje odbyli spowiedź wprzód, powtóre. kiedyż to ma być?

— Dzień jeszcze niewiadomy.

— Ale musi być naznaczony.

— Damy wiedzieć.

— A pora jaka?

— Naturalnie w nocy i przy drzwiach zamkniętych. Zaraz potem oboje wyjadą pocztą do Warszawy.

— Mniej więcej kiedy to będzie?

— W tych dniach.

— Z rana należy mi dać znać — rzekł wikary.

— Z rana tego dnia. aby i nie pisać, i nie jeździć i na ludzkie języki nie zdawać rzeczy. przysługę jego — mosć dobrodziejowi zwierzyń, to będzie znak umówiony.

Wikary głową pokiwał.

— Oj! wy! puste głowy! puste głowy! nigdy pono nie będziecie mieć rozumu i powagi.

— Ojcie, jak posiwiejemy.

— Ale takie jak wasza głowy. pono...

— Ni łysieją. ni siwieją! rozsmiał się Bogunio. Stopy całuję i uciekam, bo roboty mam ogrom.

— A to waćpan marszałkujesz?

Bogunio skłonił się. pocałował go i uciekł.

Biegł z tą wiadomością szczęśliwą do pani Pauze, ale tam nie znalazł Wanka. Zdziwiło go to, począł burczeć i zżymać się. bo miał czekać na niego.

Schodził ze schodów zły, gdy mu się uśmiechnęła Hanka nadarzyła. Był tej natury poczęć wiec, że uśmiechu kobiecego i kieliszka wina, jako żyw nie od-

mówił. Choć więc gniewny. przybliżył się do niej i choć Hanka nie była ani bardzo piękną, ani nader dystyngowaną, poczał ją drażnić.

— Co się ty śmiejesz ze mnie. brzydnicu, z czarnymi oczami, zawołał — ha?

— Bo pan szuka pana Luzińskiego i nie znajdzie. a ja wiem gdzie on jest.

— Wiesz — to mi powiedz!

— Oho! nie! dopiero by było! nie! nie! a taka śliczna, młodziuska.

— Co za śliczna. młodziuska. przerwał Bogunio — gdzie?

— Tylko mnie pan nie zdradź — szepnęła Hanka. ale radabym się pomścić na uim. żebyś go tam pan złapał z nią. To taki bałamut, jakiego świat nie widział.

— No — a ciebie nie zbałamucił?

— O! mnie... jam nie taka! zawołała Hanka. Bogunio aż ramionami ruszył.

— A kogóż bałamuci?

— E! co to gadać, lepiej zamilczeć.

Bogunio podsunął jej rubla i szepnął:

— Przysięgam ci. że nie powiem nikomu, kogo zbałamucił?

Dziewczyua ze strachem się obejrzawszy. szepnęła: — On proszę pana, samej jejmości głowę zawrócił i zwodzi ją. bo się nie ożeni.

— A! spodziewam się! zawołał Bogunio.

— Widzi pan — a prócz tego, bałamuci trumniarkę.

— Co? co? kogo?

— Córkę stolarza co trumny robi. Już jak go tu nie ma, to pewnie tam jest. Niech pan po cichu idzie pod ogród klasztoru. W uliczce, naprzeciw furty. jest sklep trumien; na trumie siedzi cały dzień dziewczyna: jeźli go tam nie ma nawet w tej chwili. to tylko co nie widać. Oj! będzie jej. będzie tej biednej dziewczynie.

Bogunio płochy sam. tak dalece tego podwójnego bałamuctwa w miasteczku za złe nie wziął Walko-

wi. ale bardzo był rad, że go złapie. wydrwi i będzie miał czem prześladować. Dziewczę jak najdokładniej wskazało nietylko drogę, ale w jaki sposób, nie płosząc ich, zejść było można. Bogunio podziękowawszy Hance aż nadto czule, gdyż pod cahnem jego krzyknęła, poleciał w nliczkę.

Przytłulony do domków, przesunął się naprzód tą samą stroną ulicy, przy której sklep był położony — potem wskoczył pod mur i ujrzał naprzeciwko siebie, na dwóch trumnach siedzących Linkę i Walka. Pochyleni byli, trzymali się za ręce, Luziński ją obejmował i uśmiechał się, biedne dziewczę zapłonione, trochę go odpychało, a więcej ciągnęło ku sobie.

Ten dramacik był w najgorętszym rozkwicie, gdy nagle Bogunio stojący naprzeciw, cicho klasnął w dłonie.

W mgnieniu oka, Linka cofnęła się przerażona w tył. Walek zeskoczył z trumny i stanął w progu groźny. Ale nim miał czas przyjść do siebie, Bogusław był już przy nim i śmiał się nielitościwie. Spłonięte dziewczę radeby było uciekło, ale dokąd? jak?

— Panienczko, rzekł grzecznie i słodko, podglądając jej w oczy Bogunio — nie rumień się tak bardzo, nie jesteś winna, to ten kusiciel niegodziwy, nikomu, nawet trumnom nie daje pokoju.

Linka płakała.

— Chodźmy, zawołał rozdrażniony Luziński — chodźmy.

Bogunio poskoczył jeszcze ku dziewczątce i szepnął. — Nie bój się — jam człowiek dobry i jak Bóg w niebie nie zdradzę.

Na te słowa, wdzięczne oczęta niebieskie zapłakane podniosły się ku Boguniowi, który czuł, jak go schwyciły za serce.

Walek go odciągnął.

— A! wiesz, że jesteś doskonały, rzekł mu po chwili przyjaciel — admiruję — serce szerokie jak karczma zajezdna, kochasz jak mówileś moją kuzynkę, no! miłość ta być musi platoniczna i rozznna, bałamucisz

tę nieszczęśliwą panią Pauze. która z przyczyny zburzonych przez cię humorów na fluksyą choruje i na ostatek wynalazłeś sobie piętnastoletnią niewinność w trumnach dla urozmaicenia tego bankietu.

Walek chciał to w żart obrócić.

— Ale to nic nie jest! To dziewczę zabawne bardzo, przypadkiem zaszedłem, no...

— Pierwszy raz?! spytał szydersko Bogunio.

— No, pierwszy nie pierwszy.

— Tak sądzę, odezwał się gość, bo by mi nie wskazano przecie, że tu po całych dniach przesiadujesz.

Walek się przestraszył.—Kto wskazał?

— Jakiś żyd faktor w ryuku. skłamał Bogunio.

Luziński pochnurniał.

— A o pani Pauze i wieczorach z nią spędzanych, gada całe miasteczko.

— 'To nic nie jest.

— Bądź co bądź — przerwał Bogunio. ty wiesz mój kochany, że ja na słodkie grzechy młodości jestem niezumiernie wyrozumiały, ale znowu tak jakoś się kompromitować publicznie w takiej chwili, nie znajduję właściwem.

— W jakiej chwili? odparł Walek.

— A no—w wigilią ożenienia.

— Do tego jeszcze daleko.

— Otóż właśnie, nie — zawołał przybyły. przybywam ci dać znać. abyś do Wólki zjechał, schował się u mnie i był na moje rozkazy. Iza chce to przyspieszyć.

— A ślub? zapytał Walek. ja nie mogę żadnego księdza namówić.

— Ksiądz już jest. krótko rzekł Bogunio. ty się gotuj. ja wszystko urządzę.

Luziński uczał jakby dreszcz przebiegający po ciele, ale zarazem radość wielką i począł gwałtownie ścisnąć przyjaciela. który stał z nią nieco szyderską.

— Pozwól sobie parę słów powiedzieć — dodał bardzo seryo Bogusław. Byłem i jestem lekki, używam życia na wszelki sposób, ale — wolnym się czuję, to

moja rzecz, rozrachunek tylko z sumieniem. Ty rozpoczynasz życie nowe, zaciągasz obowiązki i nie sądzę, żebyś przysięgę lekceważył! Ja cię o jednej rzeczy przestrzedz muszę — to, że biorąc na siebie rolę czynną w tej sprawie kuzynki, biorę moralną, niejako odpowiedzialność za następstwa — i. kochanie moje, gdybyś sobie potem myślał pozwalać. serce złote, najdroższy Walku — będziesz miał do czynienia ze mną. Aż do ślubu. masz zupełną swobodę, napawania się uśmiechami pani Pauze i pocałunkami trumniarki, ale po ślubie, wymagam przyzwoitego prowadzenia się.

— I ty, ty mi będziesz dawał nauki moralne! zawołał z gniewem źle w śmiech spowitym Luziński?!

— Ja!—ja. Moją teorię już ci wytłómaczyłem. do ołtarza nikt cię nie ciągnie, ale gdybyś nie przed Bogiem i ołtarzem, ale nawet w cztery oczy i bez świadków dał tylko słowo honoru kobiecie, że jej zostaniesz wiernym, zdradziwszy, słowo, zostaniesz — łajdakiem.

Luziński spojrzął nań. Bogunio się śmiał.

— No tak, rzekł, w rzeczach słowa i przysięgi mam wyobrażenia oryginalne, jak widzisz. Ale o tem potem, teraz jedno jeszcze, zabieraj się dziś nocą do Bożej Wólki, zajedź, albo lepiej zajdź do oficynu. Tomek ci pokaże schronienie, a na dziedziniec ani nosa nie pokazuj.

— Kiedyż to ma być? spytał Luziński.

— Albo ja wiem, może jutro, to zależy od tego jak Iza da znać, że jest gotową. Luis i du Val mają nie wiem dokąd wyjechać.

— Czy Mamert dał znać?

— Mamert daje tylko znać, że się boi i odradza, porzuciliśmy go i obejdziemy się bez niego może. To już nasza rzecz, a twoja, być dziś na noc w Bożej Wólce.

ROZDZIAŁ VIII.

Słońce jak gdyby na złość powolniej niż kiedykolwiek zachodziło, godziny się wlokły, zegary pospały, dzień się dłużył. jakby osie na których świat się obraca. nienasmarowane były przez zapomnienie.

Napróżno hrabianka Iza chodząca po salonie z pozornie bardzo spokojną twarzą, wyglądała przez okno na niebo. patrzyła na zegar. wieczór nie nadchodził. Rzecz była prawdziwie niepojęta, ale są takie dni w roku.

Na niskiem krzeselczku podparta, w pół leżąc. w pół siedząc, Emma patrzyła oczyma załzawionemi na siostrę i mówiły do siebie długo wejrzeniami, a usta przemówić nie mogły. Nareszcie Iza rzuciła się na dywan u stóp siostry, głowę złożyła na jej kolanach, skryła twarz i pozostała tak chwilę, a gdy powoli podniosła się potem, oczy miała czerwone jakby od płaczu, który się spalił na powiekach.

Niemyim uściskiem dwie siostry przytuliły się do siebie i rozerwać nie mogły, plakały obie po cichu, potem jakby lękając się, aby ich nie zdradził głos, szeptały.

— Więc rozstać się trzeba! Kto wie na jak długo i kiedy się znów zobaczymy?!

— Jak ja tu ciebie samą jedną porzucę? jak ci tu będzie biedna niewolnico?

— A! nie pytaj! ja sama myśleć o tem nie chcę. Myśmy tak nawykły być razem i cierpieć razem, że rozstanie przeraża jak śmierć! I kiedy przypuszczę, że jutro tu obudzę się sama, bez ciebie, jedna wśród nich, bez tej siły, którą czerpałam we wspólności na-

szej doli. głowa mi się zawraca, słabnę. A jednak ująć nie mogę. ani tak ojca im nieszczęśliwego na łup zostawić! Co jutro będzie! co będzie?!

— Ale czyż gorzej być może?

— A! stokroć być musi gorzej! Będę sama, sama wśród pustki. do nikogo przemówić słowa, nikogo co-by mnie zrozumiał! A kto wie jeszcze, co oni uczynią ze mną!

— Nic gorszego przecież zrobić nie mogą.

— A! mogą wszystko!

— Nie! zlekną się, ścigać ich będzie opinia.

— O którą nie stoją wcale, ani jej chcą słuchać.

— Moja droga, zawołała Iza zakrywając sobie oczy, ty skarżysz się na losy, a cóżbym ja powiedzieć powinna? Jak szalona rzucam się prawie nieznanemu człowiekowi na ramiona, nie kochając go. nie wiedząc czy mu zaufać mogę, czy zaufania jest godzien! Jak gracz, co przegrał wszystko, stawię na kartę ostatnią ślubny mój pierścionek! Przyszłość straszna, ciemna, groźna. ale najstraszniejsza. jeszcze mi się wydaje znośniejszą od życia naszego w tej trumnie.

— Tak. przerwała Emma, ja podziwiam odwagę twoją. ja drzę i nad twą przyszłością także. Ten człowiek jest dla ciebie zagadką.

Iza spuściła oczy.

— Niech Bóg czyni. co jego wola. zdaje mi się. że powinnam była dla siebie i dla ciebie zrobić ten krok. on przełamie raz ten stan nieznośny.

— A może tylko zmienić więzy...

Zamilkły. szelest dał się słyszeć w przedpokoju, w progu ostrożnie wchodzący dał się widzieć z lisią swą minką p. Mamert Kładziński.

Dla usprawiedliwienia swojego przyjścia. trzymał papiery jakieś pod pachą, minę miał wylekłą, oczy obłąkane.

Iza wstała i pośpieszyła ku niemu.

— Czy się co stało złego? czy...

— Nic, nic dotąd, odparł bardzo cicho rządcą, ale

truchleję, bom jakieś niezwykle ostrożności. jakieś ruchy nie codzienne w pałacu podpatrzył.

Iza pobladła.

— Więc znown by trzeba było wyrzec się...

— Ale nie, nie, ja tego nie mówię, podchwycił Kładziński, ja nie wiem nic, a wszystkiego się boję. I na miłość Bożą, jeźliby stał się jaki przypadek, nie zdradźcie mnie.

Hrabianka ręką dała znak. Pan Mamert zamilkł, spoglądając na nią bacznie.

— A więc?—spytała.

— Nic, wszystko jak było, tylko ostrożności.

To mówiąc, znikł.

Iza popatrzała za nim pogardliwie i zwracając się do siostry, rzekła:

— Przysięgłabym że zdradzi, czytam to w jego twarzy, ale Bogusław kiernie wszystkim i równie mn. jak ja nie dowierza, jestem spokojną.

Wróciła starsza znowu ku Emmie, która siedziała jak przybita; podano herbatę. Wieczór nareszcie urzędownie się zwiastował. Słońce zachodziło za ciemną chmur opaskę. na dworze zrywał się wiatr chwilami, w powietrzu jak w sercach czuć było jakiś niepokój.

— Noc powinna być ciemna! — szepnęła sobie Iza.

W istocie wkrótce potem zaczęło się szybko zmierzchać, podano światło. W pałacu życie zdawało się iść trybem zwyczajnym, nie można było dostrzedz najmniejszego śladu zmiany.

W tej jednak prawie chwili, gdy Lnis na dole chodził sam jeden po swoim pokoju z cygarem, przemyślając o jakiejs podroży, a hrabina na górze w fotelu zadumana ważyła coś i liczyła, nie zważając wcale na poufale rozłożonego du Vala, weszła służąca oznajmić, iż p. Kładziński życzył sobie w bardzo pilnym interesie pomówić z panią.

Hrabina dość żywego charakteru, nie lubiła tego człowieka powolnego, bez którego obejść się nie mogła. Nikt lepiej fałszu w drugich nie przeczuwa nad

tych. co go praktykują sami, to też pani miała jakby instynktowy, niczem zresztą nieusprawiedliwiony wstręt do p. Mamerta. Ale interesa nakazywały go oszczędzać, bo bez niego obejść się nie było podobna, jego zwykle jako narzędzie skuteczne, a neutralne, używano do wysysania hrabianek na korzyść pałacu. Prawda, że szanowny pośrednik miał dar ssania stron obn i zawsze upiekl małą jaką pieczonkę przy ogniu wzajemnego ich nieporozumienia.

W tym dniu i w tej porze, odwiedziny Klandzyńskiego były zupełną niespodzianką; dosłyszawszy o tem p. du Val, nieco przyzwyczajony usiadł na sofie. hrabina kazała go prosić.

Cicho, na palcach, z grzbietem zgiętym, z nśmiechem dwuznacznym, z którego mógł zrobić w chwili, czegoby okoliczności wymagały, wcisnął się Klandzyński do pokoju, oglądając przed i po za siebie, postać miał tę samą, z jaką wchodził do panien przed chwilą, z dodatkiem pewnego skupienia ducha i większego jeszcze uszanowania.

— Dobry wieczór panie Klandzyński, a co tam?

Rządca obejrzał się, nic nie odpowiadając, postąpił jeszcze krok, obejrzał się znowu i cichutkenko rzekł niemal do ucha hrabiny:

— Niezmiernie ważna rzecz, nie mogę tak mówić.. niezmiernie ważna...

Hrabina zbladła, du Val się zerwał z kanapy i przybliżył.

Mamert ndawał, że drży, usta mu się trzęsły, oglądał się, pocierał czoło, grał rolę przerażonego, przybitego.

— Ale cóż to może być?!—zawołała samym już jego widokiem strwożona w najwyższym stopniu hrabina.

— Nie mogę mówić, słów mi braknie, obawiam się!

— Chodź do gabinetu! — krzyknęła hrabina, rzucając się ku drzwiom, du Val stanął na straży.

Mamert nic jeszcze nie odpowiedział, na nic się

nie odważył. gdy silną ręką hrabiny został porwany, du Val go popchnął. drzwi się zamknęły.

— Mów! prędzej co się stało?

Mamert prosił o szklanke wody.

Hrabina nalała mu ją sama.

Naówczas rozpłakał się.

Rzecz w ten sposób przygotowana, miała pozór bardzo groźny, hrabina blada czekała odezwania się jego. jak wyroku. Stary filut po chwili dopiero oparłszy się o biurko, powoli, przerywanym zaczął mówić głosem:

— Pani, służyłem zawsze domowi waszemu wiernie, z poświęceniem. a ludzie mnie za to nienawidzili, okrywali potwarzami. Westchnął.—Wycierpiałem wiele, ale ten co widzi sumienia, niech mnie osądzi. Oto przychodzi chwila, w której nowy dowód mojego bezinteresownego poświęcenia się dać wam mogę. Wielkie niebezpieczeństwo, wielkie zgorszenie grozi domowi państwa. Wypadek odkrył mi okropną tajemnicę.

Tchu mu nie stało, musiał się wstrzymać. otarł czoło. Hrabina stała jak na żarzewiach gorących.

— Pan Bogusław Turowski jest w spisku. pannę Izę dziś wykraść mają.

Hrabina z krzykiem padła na fotel.

— Ten lajdak! ja go zawsze posądzałam!

Du Val wpadł na krzyk.

— Wystaw sobie, śpiesząc ku niemu, poczęła żywo. ledwie mówić mogąc hrabina. Bogusław Turowski wykrada dziś Izę!

Pan Brunon rzucił się jak opętany, przypadł do rządecy. jak gdyby zabierał się go udusić.

— Mów!—zawołał.

Mamert bladej składał ręce.

— Tyle tylko wiem. począł pospiesznie, iż dzisiajszego wieczora. lub nocy, pannę Izę wykraść mają.

— Kto?

— Pan Bogusław.

— Dla siebie?

— Nie, dla jakiegoś chłystka, z najwyższą wzdargą odezwał się Klandzyński. Wypadkiem narada doszła do uszów moich, wiem, że panna gdy światła zagasną w pałacu, ma się wykraść przez ogród do furtki, że tam konie pana Bogusława na nią czekać będą. Ale wszystkiemu zapobiedz jak najłatwiej, ludzie mogą być ukryci co konie pochwyć, parę strzałów się da na wiatr i panna zostanie złapaną na uczynku.

— Panna to nic, krzyknął du Val podnosząc pięść do góry, ale temu co z nią będzie, dam sto bizunów.

— Na miłość Boga! zarządźcież środki natychmiast, nie tracąc jednej chwili, poczęła gorączkowo hrabina, niech Luis lepiej nic nie wie, du Vala będzie dosyć, ludzi wziąć ze stajni, z folwarku. Pannę można złapać przed furtą.

— Ale nie, przerwał du Val, trzeba ją dopuścić do powozu, trzeba schwycić winowajcę.

— Oni mogą być zbrojni, zawołała hrabina łamiąc ręce.

Du Val się zmarszczył.

— Bądź co bądź! — rzekł, musimy mieć tego paua, chciał się bić! niechże będzie zbitym, ja od tego nie odstępuję.

— Nie, chwytając go za rękę, poczęła wystraszona pani.

Du Val się otrząsał.

— Proszę mi całą tę sprawę zostawić, to moja rzecz, bądź pani spokojną, ja idę i poradzę się z panem Klandzyńskim, a przedsięwezmę co należy.

Du Val był już wziął za rękę rządcę, który stał zawsze trwożny i milczący, gdy hrabina nogą tupnęła z gniewem.

— Ani kroku ztąd! ja jestem tu panią i robi się jak ja każę.

Du Val pomiarkował, iż łagodnym mu być wypada i znacznie złagodniał, ale ramionami zżymając.

— Non d'un petit bonhomme! zawołał, zgrzytając zębami, jeśli pani chcesz to sama robić, rób, ale ja się w takim razie nie mieszam.

Spojrzeni na siebie oczyma zaiskrzonymi; hrabina zwolniła z kolei.

— Ale przecież bezenmie...

— Przecież nie bez pani. odezwał się du Val. sprawa to jednak mężka i po mężku, nie po kobiecemu ją trzeba roztrzygnąć. Pannę złapać n furty niczego nie dowodzi, do niczego nie prowadzi, oprócz skandalu.

— A skandal zapobieży zamażpójsein.

Du Val ruszył ramionami śmiejąc się.

— Ma pieniądze, rzekl. co jej zaszkodzi skandal? Trzeba złapać winowajców i skórę im wygarbować, bez tego nic...

Klandzyński tylko potniał, milczał i patrzył w ziemię.

— Jakes się waćpan o tem dowiedział?

— Podsluchałem wypadkiem.

— Kogo?

— Pokojówkę, która była wysłana dla umowy.

— Kiedy? badał du Val, widząc że się Klandzyński miesza coraz bardziej.

— A! panie, przerwał w końcu rzadca, tu nie czas pytać, trzeba radzić, bo może być za późno.

Francuz się obrócił do hrabiny i ująwszy jej rękę, rzekl głosem prawie rozkazującym, choć złagodnym znówu:

— Niech hrabina będzie zupełnie spokojną, wszystko się odbędzie cicho, ja rękę, idę z Klandzyńskim przedsięwziąć środki.

Wieczór był już dosyć późny, gdy przeprowadzeni do ostatnich drzwi, wysunęli się dwaj panowie z pałacu i szybkim krokiem pobiegli ku zabudowaniom folwarcznym niepostrzeżeni.

Tymczasem Iza spłakana, drżąca, nagle zażądała od siostry, aby ją wiadomemi sobie środkami i drogami zaprowadziła do ojca. Chciała go widzieć raz jeszcze, nie wiedząc czy więcej w życiu zobaczy. O godzinie tej zwykle, oprócz Emmy, nikt u starego biedaka nie bywał, można się było przesunąć niepostrzeżonym, a chłopaka, który czuwał drzemiąc, Emma

dość drogo płaciła. by robić mogła u ojca co chciała. Przyjście jej wieczorne nietylko nie było bezprzykładnem. ale najzwyczajnijszem. Tym razem tylko Iza, rzadko odwiedzająca hrabiego. nagle zaczęła zaklinać siostrę. aby ją zaprowadziła z sobą.

Ująwszy się za rękę. przez oranżeryę pustą. przez galeryę. schody i korytarze. lękając się szelestu własnych kroków, dwie hrabianki jak cienie prześliznęły się niepostrzeżone do drzwi ojca.

W części tej palacu cisza panowała największa, chłopak spał na krzeselku; w pokoju chorego paliła się lampka nocna, ale Emma wiedziała dobrze, iż starzec czeka na nią i nie zaśnie. póki jej nie zobaczy — póki nie dostanie choć garstki cukierków.

Na łóżeczku swem blady. leżał w istocie czuwając jeszcze chory; twarz jego w ciemnościach kolorem mało się różniła od poduszek, ale posłyszawszy ciche kroki, począł się ruszać i dźwięk niewyraźny, bełkotanie raczej z ust się jego wyrwało:

— Emma... Emma...

Córka już biegła ku niemu. ale chory nie patrzył na nią. tylko na ręce i palce chciwie wyciągnął wychudłe. chwytając co mu najprzód podała.

Obie ukłękły przy ojcowskiem łóżku po cichu. Iza pochwyciła rękę wyrywającą się próżno do łakoci i poczęła ją całować ze łzami. Łkanie jej tłumione. dziwnie jakoś obudziło chorego, począł patrzeć na córki uważniej i rzekł:

— Dwie! dwie!

A potem zdawał się niby szukać, co mu ta druga przyniosła.

Iza przyniosła tylko łyżę swoję...

Stary już oczy odwrócił; jadł, ale tak chciwie, tak łapczywie, tak zwierzęco. iż łzie. która go rzadziej widywała. boleśnie się upadek ten w sercu odezwał.

— Emmo! on ciebie zrozumie; pros. niech mnie pobłogosławi!

Obie znowu przysunęły się bliżej. Emma zaczęła

coś szeptać. starzec w nią wlepił oczy szkliste. osłupiałe, ale nie zdawał się nic rozumieć.

Naówczas ukochana córka ujęła jedną rękę i położyła, patrząc nań, na głowie siostry. Stary się obejrzał na Emmę, potem na Izę, ale nie zrozumiał jeszcze: ręka jego drżała tylko, jakby się wyrwać chciała.

Martwe, sinutne milczenie panowało długo, hrabia jadł, szukał po łóżku kruszynek, zbierał je chciwie, a widząc, że już nic nie ma, głowę spuścił na poduszki i oczy powoli przymknął. Próżno Emma ujawniła znów jego rękę, kładła ją na Izę głowie i chciała, aby za nią wyraz „błogosławię“ powtórzył. hrabia bełkotał niezrozumiale tylko jedno córki imię — Emma.

— To Iza... starsza.

— Iza? nie! rzekł hrabia. Iza! nie... potem znów głowa upadła na poduszki i oczy się zamknęły. a po chwili otwarły usta... starzec usnął.

Izy puściły się z oczów biednej Izy. wstała chwiejąc się na nogach, pocałowała raz jeszcze zwieszoną ojca rękę.

— Chodźmy, rzekła, nie byłam warta cudu...

Emma zapłakała także, ale pocieszając jak mogła siostrę i podtrzymując ją, powiodła nazad do oficyny. W drodze nie spotkały nikogo, nikt nie postrzegł ich. Godzina była już późna, siostry rzuciły się sobie w objęcia i rozstać z bólu nie mogły. Jeszcze godzina może — a losy się rozstrzygną.

ROZDZIAŁ IX.

Chociaż w pałacu wszystko się spać zdawało. i żadne światelko. żaden ruch przygotowań nie zdradzał. około ogrodowej furtki. na drodze. przy murze opasującym z tej strony park, w największej ciszy. z ostrożnościami nadzwyczajnymi zasiedli już ludzie z folwarku i stajni. Główną komendę nad nimi miał du Val — Klaudzyński i stanem zdrowia i wiekiem i niezręcznością swoją wytłómaczył się ze wszelkiego współudziału. Nie na wiele by też był może się przydał. bo i tak zasadzka zdała się doskonale obmyślaną i urządzoną.

Po za furtką ogrodową w krzakach siedzieli ludzie z nabitemi prochem strzelbami. Wzdłuż drogi cały rów pełen był różnie uzbrojonych. najzręczniejszych i najżwawszych fernali i parobków. Dowodził nimi pewien pisarz prowentowy, człek młody wojowniczego ducha. protegowany Francuza. rad niezmiernie. że mu się tak miła nadarzała zręczność do awantury. za którą nie było żadnej odpowiedzialności.

Oprócz tego wydane były rozkazy. ażeby powóz przybywający dopuszczono do furty bez przeszkody. by nikt nie drgnął, póki znak dany nie będzie. Sam du Val umieściwszy się z parą pistoletów i szablą w bliskości miejsca. gdzie prawdopodobnie powóz się miał zatrzymać. zostawił sobie wydanie hasła wystrzałem z pistoletu.

Na dobre pół godziny przed północą, wszyscy już pod cieniem chmurnej nocy byli na stanowiskach, przyczajeni, milczący i wyznać trzeba. że po najmniej-

szym szeleście domysleć się nie było można zasadzki. Wiatr dosyć gwałtowny chwilami szamotał gałęzmi, a o trzy kroki nie widać nie było.

Oczekiwanie wszystkim zdawało się niepomier- nie długiem, gdy w ogrodzie ukazała się postać. ży- wym krokiem spiesząca ku furcie, ale tu jeszcze powo- zu nie było. W tej samej chwili zdala na gościńcu za- turkotało... Wszyscy mieli się na baczności, noc nie dojrzyć nie dozwalała. Turkot się zbliżał, coraz śpie- szniej zdawał lecieć powóz, potem kroku zwolnił i ostrożniej toczył się ku furcie ogrodowej.

W ciemności, którą jeszcze zwiększały drzewa, nie można było rozpoznać nic, powóz wszakże ciemne- mi koni zaprzężony, stanął. Furtka się otworzyła nagle, ktoś z niej wybiegł, du Val usłyszał zatrasku- jące się drzwiczki powozu, konie już ruszyły, gdy na- głe rozświeciła się ciemność, strzał huknął, a konie wystraszone mimo powtarzających się za tym pierw- szym wystrzałów, lecieć zaczęły.

Kilka krzyków słychać było, potem trzask jakby łamiącego się powozu, potem zgłęb ludzi pasujących się w ciemności, wykrzyki na różne głosy, jęk... i ciszę.

Mimo przedsięwziętych środków ostrożności, ko- nie rozłukane daleko dalej uniosły uciekających, niż się spodziewano. Zatrzymano je ledwie o dobre pół wiorsty od furtki, gdy strzaskane drągiem koło kocza, pękło, a powóz się wywrócił.

Gdy du Val przyskoczył do drzwiczek, z wiel- kiem zdziwieniem swem postrzegł w środku jedną tyl- ko kobietę przeleżącą, płaczącą, przytuloną do podu- szek. Mężczyzny nie było żadnego, nadbiegli ludzie trzymali konie, furman nawet, korzystając z nocy, nieukł i skrył się. Du Val nim njął kobietę, począł ła- jać swoich, miotać się gniewny i grozić — ale wszys- tko to było za późno; nie pochwyciono nikogo, oprócz nieszczęśliwej, która w powozie pozostała i z prze- strachu zdawała omdlałą prawie.

Francuz zawiedziony krztał się jeszcze czas ja- kiś około swoich ludzi, kłócił z pisarzem, badał, jakim

sposobem mógł się wymknąć winowajca; ale naostatek wyczerpało się wszystko, gniew po troszę, łajanie, tłumaczenia — i wysadzono płaczącą kobietę z powozu, która na nogach się ledwie ze strachu i wzruszenia utrzymać mogła, aby ją na pół na rękach niosąc, do pałacu odprowadzić. Du Val, na którego hrabina oczekiwała z niecierpliwością łatwą do wytłumaczenia, pośpieszył przodem, wydawszy rozkazy. Zaperzony, zmęczony, gniewny jeszcze, wpadł do hrabiny pokoju; czekała go już w progu.

— A co?

— Z głupimi ludźmi nic rozumnego zrobić nie można.

— Cóż? niekli? załamując ręce przerwała pani.

— Ona nie, ona jest, prowadzą ją tutaj, ale towarzysze jej, tchórze, łajdaki, porzuciwszy ją w powozie, drapnęli; ani jednego, nawet furmana... nikogo!!

Du Val ręce załamał z rozpaczą i po pokoju przechadzać się zaczął, pani milczała. Gotowała się już na spotkanie i rozmowę z hrabianką.

Na schodach słychać było chód ludzi i jakby cięche szlochanie; w przedpokoju ukazała się postać zakwefiona, którą wepchnięto prawie do pokoju hrabiny, a ta natychmiast padła na najbliższy fotel.

— Proszę wody! zawołała.

Na głos ten hrabina piorunem pobiegła do fotelu; usłyszała bowiem dźwięk wcale niespodziany, po wzroście i po nim domyśliła się już rzeczywistości. Porwana kobieta nie była hrabianką Izą.

— To nie ona! krzyknęła, ręce łamiąc.

Du Val podbiegł. — Jak? co? któżby to mógł być!

Francuzka impetyczna, domysławiając się, że ją oszukano, że się coś stało, czego zrozumieć nie mogła, dopadła do fotelu i gwałtem broniącej się kobiecie zerwała z twarzy zasłonę.

Z za rąk, któremi oczy sobie zasłoniła kobieta, Du Val i hrabina razem poznali w pochwycanej, nie-

młodą już pokojówkę hrabianek, pannę Franciszkę Żulską.

Na chwilę osłupieli, nie mogąc zrozumieć. co się stało.

— Co to jest? co wacpanna tam robiłaś? poczęła hrabina gwałtownie; ale wystraszona panna Franciszka odpowiadać czy nie chciała, czy nie mogła — ani słowa.

— To rzecz widoczna. przerwał du Val, zwiedziono nas! ale co się stało z hrabianką?

Jakby błyskawica nagle oświeciła hrabinę, rzuciwszy okiem na służącą. porwała mantylkę leżącą na krześle i zbiegła wprost do mieszkania hrabianek.

Tu drzwi wszystkie były pozamykane. ciemność zupełna i cisza. Służący, który przeprowadzał panią. począł stukać. ale bardzo nierychło głosy obudzonych sług dały się słyszeć wewnątrz: kto tam? co tam?

— Otwierać! pani!

Po długiem znowu oczekiwaniu drzwi odryglowano. zaspana i wylekła twarz dziewczyny z garderybny ukazała się pierwsza.

Hrabina, jak tylko drzwi jej otwarto. wprost, świecę wzięwszy z rąk lokaja. pobiegła do salonu. z którego było wnijsięcie do gabinetu i dwóch sypialnych pokojów Izy i Emmy. Skierowała się najprzód ku pierwszemu; te były na klucz zamknięte. stuknięcie jedno i drugie nie wywołało żadnej odpowiedzi. Wyczekawszy chwilę. pobiegła do drugich. Za pierwszym zapukaniem głos Emmy dał się słyszeć.

— Co to jest? czy się pali?

— Proszę otworzyć!

— Co się stało?

— Proszę otworzyć...

Zaledwie narzuciwszy na siebie szlafroczek rany, Emma drzwi odryglowała i stanęła w progu.

— Gdzie Iza? zapytała gwałtownie hrabina, gdzie Iza?

— Iza? musi spać w swoim pokoju.

Obie milczące zmierzyły się oczyma. Macocha niecierpliwiła się, nie wiedząc jak mówić i co począć. Nie chciała zrażać ostatecznie pozostałej. a gniew nią miotał.

— Waćpanna musisz wiedzieć. co się z Izą stało?

— Ale cóż się z nią stać mogło? spokojnie odparła siostra; przed parą godzinami rozeszłyśmy się. poszła do swojego pokoju. Zkąd-że ten niepokój o nią.

Nie odpowiadając na pytanie. hrabina zwróciła się do drugich drzwi; stuknęła w nie jeszcze i dopiero nderzywszy postrzegła. że klucz był w zamku. Razem z Emmą otworzywszy. wbiegły do sypialni. Łóżko było nietknięte. a w niej — nikogo.

Hrabina padła na fotel płacząc. Emma stała chłodna i nieporuszona wcale.

— Slicznie ułożono wszystko! niema co mówić!! i udało się bardzo szczęśliwie...

— Ja nic nie wiem. zimno odezwała się Emma.

— O! tego mi waćpanna nie mów...

— A gdybym wiedziała. przerwała Emma obojętnie. czy myślisz pani, że byłoby moim obowiązkiem zdradzić siostrę dla pani? Siostrę, która razem ze mną długą wycierpiała niewolę i rzuciła się jak w przepaść z tego życia. któreście nam tu przeznaczyli, chyba na to, aby nas umorzyć niem.

Hrabina tem wystąpieniem zdumiona. cofnęła się krok. namarszczyła brwi; nigdy jeszcze żadna z panien nie ośmieliła się jej w oczy tak otwarcie wystąpić z wymówkami. Było to jakby wyzwanie do boju.

— O tem. moja panno, rozmówiemy się innym razem: teraz trzeba gonić zbiegłą waryatkę.

— Zdaję mi się. że to będzie i zapóźno i na próżno. odparła dumnie Emma. ruszając ramionami.

Macocha gotowała się do wyjścia, nie chcąc otwartej dopuścić kłótni. gdy Luis. którego dn Val przebudził. aby mu opowiedzieć co się stało. ubrany w szlafrok naprędce. wpadł rozgniewany do pokoju. obejrzał się. zobaczył jedną tylko Emmę i spytał matki:

— Cóż się stało? jest? niema? uciekła?

— Uciekła! nie smakowało jej ucziwe i spokojne życie. poszła szukać innego.

— Więc czas może gonić jeszcze? przerwał Luis, spoglądając z nienawiścią na Emmę. Pani zapewne zostałaś?...

— Hrabio, proszę mi dać spokój i nie jątrzyć mnie. gniewnie. stanowczo zawołała Emma, mówić mu nie dając. Na Boga nie wywołujcie wyrazów z ust i serca, abyście od nich nie skandienili. Wszystko. co się tu stało, dzieje. waszą jest winą; wszystko spadnie na barki wasze.

Luis rozśmiał się szydersko.

— Panny wzięły na kiel, jak widzę! zawołał.

Ale Emma oburzona, nie słuchając więcej, dumnie cofnęła się do swego pokoju i drzwi zatrzasnęła za sobą.

Syn podał rękę matce... wyszli.

Przechodząc przez podwórze, dojrzeliby tylko, jak du Val, któremu niepomysłna wyprawa krew zburzyła porwawszy najlepsze konie ze stajni. w kilku ludzi w pogon za zbiegami się puszczał. Było to o wiele za późno; ale Francuz niechciał mieć sobie do wyrzucenia, że środka jakiegokolwiek bądź zaniedbał. Luisowi więcej pono żal było koni, o których szacowne zdrowie się lękał, niż siostry już w jego przekonaniu bezpowrotnie straconej. Popatrzał na du Vala, wybąknął imię ukochanej kłaczy, którą mu Francuz pochwycił i poszedł za matką.

— Ciekawam narzeczonego! rzekła hrabina, śmiejąc się gorzko.

— O... domyśleć go się łatwo! odparł syn; będzie to nieochybnie ów słodki baron. który tu u nas gościł. wypatrując, nim okradł...

ROZDZIAŁ X.

Jakeśmy widzieli. ucieczka. dzięki przezorności pana Bogusława i obudzonej nieufności hrabianki Izy. zupełnie się była powiodła. Bogunio to osnuł ten plan, ażeby powozem wyprawić służącą. a drugą furtką wykraść hrabiankę. Tu oczekiwał na nią, sam za woźnicę służąc, z lekką bryczką. do której najlepszych swoich cztery konie dał zaprządz.

W chwili. gdy za ogrodem oczekiwano na powóz. Bogunio. Walek i hrabianka pędzili już piaszczystą drogą ku miasteczku. Mamert Klaudzyński ani się domyślał. że zdradę jego instynktem odgadnięto.

Pocziwa sługa hrabianki zgodziła się w jej miejscu odegrać rolę. którą chorobą z przestachu opłacić miała. nie spodziewała się ona wcale tak burzliwej katastrofy. a w pierwszej chwili strzały. które usłyszała w około. o mało ją z trwogi o śmierć nie przyprawiły.

Tymczasem bryczka lekka i konie szalone. w mgnieniu oka. cwałem przewiozły hrabiankę i siedzącego obok niej narzeczonego do miasteczka. Luziński całował jej ręce. Iza milczała wzruszona, zamyślona. czując. że życie jej rozstrzygało się w tej chwili. Bogunio był doskonałym woźnicą i mimo nocy ciemnej. znając doskonale drogę. przewiózł narzeczonych bez wypadku wprost pod kościół. Oznajmiono kilku godzinami wprzód księdzu wikaremu. który oczekiwał w zakrystyi. Gdy bryczka zatrzymała się u bramy kościelnej. Iza tak była złamana wzruszeniem. że ją prawie na rękach z bryczki znieść musiano. Bogunio

oddał konie chłopakowi, którego miał z sobą i wszyscy razem udali się do kościoła drzwiami bocznymi. Iza idąc odzyskała przytomność i siły, Luzziński zdawał się je tracić. Ksiądz, który zgodził się na danie ślubu, chciał wszakże poprzedzić go zwykłemi formalnościami i egzaminem. ale Bogunio uczynił mu tę uwagę, że lada chwila pogoń przybyć może i że lepiejby było odłożyć to na później.

W ciemnym kościele, cichym a pustym, który więcej pogrzebową niż weselną miał w tej chwili fizyognomię, kilka świec zapalono przy wielkim ołtarzu. Dwa stare grobowce Turowskich, rycerz leżący na hełmie oparty, niewiasta zakwefiona z różańcem, zdawali się jak świadkowie towarzyszyć obrzędowi. Bogusław, zakrystyan i dziadek kościelny, stanowili orszak cały. Ksiądz Wikary wyszedł przed ołtarz tak prawie drżący jak nowożeńcy, tak zawstydzony jak oni. Z pośpiechem począł odmawiać modlitwy, potem zadał pytania, na które oboje państwo odpowiadali głosem bardzo dobitnym, zamienił obrączki i ręce związał.

Bogunio patrzył na to i odetchnął dopiero wolniej, gdy Iza po skończonym obrzędzie padła na kolana i modlić się gorąco poczęła.

Stojący przy niej świeżo kreowany małżonek, któremu dla przyzwoitości przynajmniej wypadło ją naśladować i westchnąć w tej chwili do tajemniczej Istoty, władającej losami ludzkiemi, wstydził się jakoś kłęknać, wstydził nżnać ukorzonem; pozostał wyprostowany i — trzeba wyznać — wydał się wcale niekorzystnie z twarzą wyciągniętą, bladą, zmęczoną i osłupiałą.

Nie rychło hrabianka wstała, wspierając się na jego rękę. Zbliżyła się podziękować wikaremu, który milcząc krzyż nad jej głową zakreslił... Wszystko było skończone.

Państwo młodzi, wedle niezgrabnego dosyć planu pana Luzzińskiego, mieli się udać do restauracyi pod Różą, gdzie on, korzystając z dobrego usposobienia

pani Pauze. oprócz pokoju który zajmował. zamówił przyległą salkę dla żony i pokój jeden dla służki. mającej przybyć później. Pani Pauze nie domyślała się wcale na co te apartamenta służyć miały i gdy się zjawił Bogunio, a za nim Iza zakwestiona i Luziński. zrozumieć nie mogła. co tu robiła kobieta. Zgorszyło ją to i oburzyło. Państwo młodzi poszli na górę; gospodyni domn. w bardzo przyjaznych z dawną stosunkach z Boguniem, niespokojna odciągnęła go na chwilę do swojego pokoju. Na twarzy jej malowało się straszliwe oburzenie.

— A już też tego nadto! zawołała zamykając drzwi, panie Bogusławie, co panowie myślicie i za co macie mój dom. żeby sobie tu balować z jakimiś kobietami?! Ja wiem, że to jest pańska sprawka. ale ja tego nie zniosę.

Bogunio padł na krzesło ze śmiechu.

— Cicho! zawołał. co jejności w głowie! czego się czepiasz do mnie; ta pani przybyła z Luzińskim... i

— Z Luzińskim... kłamstwo! to nie może być! zakrzyczała gospodyni.

— Dla czego? spytał ciekawie Bogunio, którego ta gwałtowność pani Pauze zastanowiła, dla czego?

— Dla czego! co ja się będę przed panem tłómaczyć! przerwała nieszczęśliwa: dla tego że ja go znam i że on z takimi kobietami się nie wdaje.

Bogunio pękał od śmiechu.

— Cicho! niewiasto, zawołał, z jakimi kobietami? co? to jego... żona.

Na ten wyraz pani Pauze, która stała, obejrzała się jakoś błędnie do koła, krzyknęła przeraźliwie i wołając:

— Zdrajca! padła zemdlona na ziemię.

— Bogusław szczęściem pośpieszył na ratunek w porę, by ją podchwycić. Z wesołej. twarz jego przybrała minę posepną; omdlenie było wielkiego znaczenia.

— Na miłość Boga! zawołał trzeźwiąc nieszczęśliwą, nie rób pani historyi dla samej siebie. Co panią Luziński obchodzi?

— Zdrajca! powtórzyła ocuając się gospodyni, on mnie — uwiódł.

Bogusław nie wiedział czy śmiać się, czy płakać, oburzyło go tylko, że Luzziński śmiał żonę tak zuchwale wprowadzić do tego domu.

— Cicho! zawołał, nie wydawajże się pani ze swą słabością po niewczasie, bo się to na nic nie zdało. Luzziński jest żonaty. byłem świadkiem przy jego ślubie. Jest niepocziwy i niepoprawny. ale...

Biedna pani Pauze już tylko płakała. Bogusław zwykle wesół, zasmucił się; w dzień ślubu podobna historia była wielce znaczącą. Ale należało radzić i pokrywać ją milczeniem.

— Ja mu zrobię historię, wołała wśród lez gospodyni, niech ta kobieta wie, jakiego mieć będzie męża. co to za ptaszek!! ten łotr, którego wypędzonego przyjełam... który... I znowu płakać zaczęła.

Chwilami porywała ją ochota biedz, rzucała się do drzwi, szczęściem na straży będący Bogusław hamował.

— Do czego to panią poprowadzi. zawołał reflektując, wszyscy się z pani śmiać będą, rozgłoszą.

— Niech zginę, ale się pomszczę.

— Cóż za zemsta? przerwał Bogunio. zemścisz się nad sobą samą; ślubu to nie zerwie. Wszak pani słowa nie dawał.

Bogusława wywoływano dwa razy na wieczerzę, a ośmielić się nie mógł opuścić rozplakanej pani Pauze, obawiając się jej gniewu. Naostatek udało mu się wymódl na niej, nie wiem jakim sposobem słowo, że będzie spokojną i wybiegl, chcąc namówić państwa młodych, aby natychmiast jechali do Warszawy. Był to jedyny sposób uniknięcia sceny, którą im lada rozdrażnienie gospodyni zgotować mogło.

Wszedłszy do salki. w której nakryto do stołu, Bogunio na pierwszy rzut oka postrzegł, iż młodzi małżonkowie jeszcze wrażenia uroczystego obrzędu i przygód tego wieczora nie pozbyli się. Iza siedziała

na kanapie płacząc i nie mogąc się utulić, Walek chodził zachmurzony i jakby przybity.

Na stole paliły się w najparadniejszych świecznikach ogromne świece, świetna zastawa obiecywała co się zowie wspaniałą wieczerzę, ale na te przybory nikt nie patrzył.

Bogunio przez ostrożność zręcznie drzwi na klucz spuścił, a widząc, że Iza płacze ciągle, ujął pod rękę Walka i wyprowadził go do drugiego pokoju.

— Niechże cię pioruny trzasną, rzekł mu, co ty najlepszego robisz? Wprowadziłeś żonę do domu, z którego gospodynią byłeś w najczulszych, jak się okazuje, stosunkach. Mało ci było trumniarki! To przechodzi wszelką miarę, takie bałamuctwo w wigilią ślubu. Ta kobieta krzyczy, przeklina, odgraża się i gotowa zrobić historię.

— No! gdzież miałem się udać! zapytał Walek zmieszany, nie tłómacząc się z zarzutu nawet.

— Ale w pierwszym lepszym domu bezpieczniej było niż tutaj. Wy musicie wziąć pocztę i natychmiast wyruszyć do Warszawy, inaczej, ostrzegam, będzie źle. Nie byłem nigdy, chwała Bogu, żonatym, ale to wiem, że w progu nowego życia taka historia może je zatruć całe.

Walek gryzł paznogie.

— Niech ją лихо porwie tę sekutnicę!

Bogusław ze wzgardą prawie spojrział na niego i westchnął, potem namysliwszy się krótko, wyszedł do Izy.

— Kochana kuzynko, rzekł, zdaje mi się, że ze wszech względów bezpieczniej będzie, gdy się dziś jeszcze udacie do Warszawy. Ja idę konie zamówić na pocztę; nie płacz, proszę cię. Izy przedtem były wytłómaczone, teraz są po niewczasie; mężnie stanąć trzeba przeciw życiu... i śmiać się. Powracam, służę wam do krótkiej wieczerzy i nie odejdę, aż was do powozu wsadzę, pobłogosławię i wyprawię.

Iza wstrzymała go za rękę.

— A! jeszcze póki ty jesteś, nie tak się lękam rzekła, zdaje mi się, że mam kogoś co się mną zaopiekuje.

— Mąż przecie! zaśmiał się Bogunio, to opiekun nadany przez Sakrament, od wszystkich innych lepszy, a własny twój charakter będzie drugim. Na nim oparłszy się silnie, lękać się nie masz czego.

Iza z westchnieniem spojrzała nań i uściśnęła jego rękę.

— Aby się uspokoić, rzekła, potrzebuję sobie przypomnieć, powtórzyć to czarodziejskie słowo — jestem wolna! jestem wolna...

Wzrok Luzińskiego, który Iza spotkała w tej chwili, był tak dziwny, że jej słowa na ustach zamarły.

Nowi małżonkowie, jak dwaj zapaśnicy, wzajemnie zdawali się przypatrywać sobie, mierzyć siły, chcieć zgłębić i poznać charaktery swe, które dla ich obojga były zagadką. Dzieje się to często nawet w zwyczajnych małżeństwach, że dopiero od ołtarza odchodząc, ludzie poznawać się zaczynają, tu byli oboje sobie zupełnie nieznanymi; a — prawdę rzekłszy, więcej się siebie obawiali, niż kochali w sobie. Uczucie to, jeżeli przyjsię mogło, narodzić się dopiero miało.

Iza kupiła sobie swobodę drogo, bo poświęceniem nieodgadnionej przyszłości. Luziński wiedział tylko, iż się ożenił z hrabianką i bogatą.

Bogusław, który ze zwykłą swą lekkomyślnością, trochę na złość Turowi, podał rękę do tej sprawy, teraz równie jak młode małżeństwo wątpił o przyszłości i rozmyślał nad nią. Dobila go ostatnia przygoda pani Panze. On jeden za trojga miał najwięcej przytomności i zmusił ich niejako do pogodzenia się z rzeczywistością, a przejścia z tych rekolekcyj ducha w prozę życia. Nalał sobie szklankę wina, pocałował w rękę kuzynkę, ścisnął dłoń Walka i duszkiem wychylił ją za ich zdrowie.

— Niech choć ja sam wypiję, — wiwat państwo młodzi! zawołał.

Domawiał tych wyrazów, gdy do drzwi zastuka-

no silnie, odtrącając rękę Walka. bo się lękał pani Pauze, Bogunio pobiegł do drzwi i otworzył je, w progu stał du Val. Skłonili się sobie.

— Czem panu służyć mogę? zapytał Bogusław.

— Hrabianka Iza...

— Nie ma tu hrabianki Izy, odparł Turowski, przed godziną kuzynka moja wzięła ślub i zmieniła nazwisko. a wizyt nie przyjmuje.

Du Val stał wryty.

— Pan służył za družbę? rzekł szydersko.

— Tak jest — do nshg...

— Ślub — któż dawał ślub?

— Ksiądz — krótko odpowiedział Bogusław. w kościele.

Milcząco stali przeciwko sobie. jakby się wzajem rzucić mieli na siebie.

— Wszakże mógłbym przynajmniej zobaczyć hrabiankę i jej męża, pana barona?

— Nie — odpowiedział Bogusław. mówiłem panu. że nie przyjmuje.

— Ale ja muszę z nią mówić! zawołał du Val, wpierając się we drzwi.

— Panie du Val. wstrzymując go silną ręką, rzekł Turowski. nie róbmymy skandalu którego i tak z waszej łaski jest dosyć. Do czego się to przydało. Byłem z innemi świadkiem ślubu, przybyliście za późno. il faut faire bonne mine à mauvais jeu.

Mówiąc to Bogusław. choć rozgniewany. starał się głosowi swemu nadać jak największą łagodność. — To co byś pan mógł powiedzieć hrabiance i od niej usłyszeć, nie byłoby mu wcale przyjemnem. a do czego to pomoże?

— Tak. to prawda. odezwał się Francuz. ale by mi lżej na sercu było. gdybym...

— Gdybyś wyklócił się z kobietą? spytał Bogusław. Francuza!...

Du Val się zarumienił.

— Dajesz mi pan słowo honoru. że po ślubie?

— Słowo honoru, rzekł Turowski.

Przybyły machnął ręką. — À la guerre comme à la guerre, co mnie to obchodzi? Daję z mej strony słowo. że nie będą się kłócić.

— Ala sam wasz widok. przerwał Turowski.

— Juściż. gdym dla niej mało karku nie skręcił. niech choć jej zdrowie wypiję, zaśmiał się du Val.

Przyznam się wam. że choć spojrzeć bym chciał na męża.

Bogumio ustąpił z progu. du Val powoli wszedł. Iza spostrzegłszy go zrazu cofnęła się, potem pomiar-kowawszy. wystąpiła naprzód i biorąc za rękę Luzińskiego, podeszła ku Francuzowi z powagą.

— Panie du Val. odezwała się z lekkim głowy skinieniem, mam honor przedstawić panu mego męża. pana Walentego Luzińskiego.

Du Val osłupiał. był bowiem najpewniejszy, że znajdzie tu barona Helmolda.

— Powiedz pan hrabinie. żeś nas widział na odjeździe do Warszawy i pozdrów wszystkich ode mnie.

Ciekawemi oczyma przyglądał się Luzińskiemu przybyły. widywał on go zdaleka nieraz, ale mu nawet na myśl przyjść nie mogło. aby on. ten biedny. niepozorny młody chłopak, mógł zostać mężem hrabianki. W duchu rzekł może sobie:

— Gdybym był wiedział. wszakżebym i ja ją tak samo wyzwolić potrafił...

— Co się stało odstać się nie może. kończyła pani Luzińska, wzięłam ślub. jestem wolną. Spodziewam się. że gniew i prześladowanie nie dotkną siostry mojej. zmusiłoby mnie to bowiem do kroków. które dla Turowa nieprzyjemnymi by być mogły. Daleko lepiej będzie dla nas wszystkich, macochy, Luisa. siostry i dla mnie, gdy nasze familijne nieporozumienia ukończymy zgodnie, cicho i spokojnie. oszczędzając światu śmiechu. a sobie zmartwienia. Powiedz pan to hrabinie.

— Powiem. stłumionym głosem odezwał się du Val złamany jakby i upokorzony. Zresztą — ja — ja tu

jestem człowiekiem obcym prawie, zrobiłem co mnie polecono, reszta nie należy do mnie.

Bogusław podał mu uśmiechając się szklankę wina. której Francuz bardzo potrzebował po zużyciu tego wieczora. ale zawahał się nim ją przyjął.

— Wypij pan, choćby nie za nasze zdrowie. przerwała hrabianka z uśmiechem. wiem, że hrabina by wam tego nie darowała, a ja wytłómaczę pana.

Francuz spojrział. skłonił się i coś niezrozumiale wybąknął. wina nie odmówił.

Tak. bardzo nadspodzianie. u tego stołu ścigani i ścigający przyszli jeżeli nie do zgody. to do czasowego rozejmu.

Du Val nie mógł wyjść z podziwienia, przypatrując się niepoczesnemu Luzzińskiemu. Iza postanowiła korzystać z jego bytności. aby się o pocziwej słudze dowiedzieć.

Przypomnienie zasadzki bezskutecznej u furtki ogrodowej, o mało du Vala nie rozgniewało znowu. potrafił się jednak pohamować i krótko tylko odpowiedział, że schwytano uciekającą. że się jej nic nie stało. ale się bardzo wylękla i pewnie wypadek ten odchoruje.

— A prawda. że Mamert Klaudzyński zdradził? spytała Iza.

— Nie zdradził — odparł du Val, boć nie był obowiązany do tego pomagać. Dowiedział się wypadkiem i z obowiązku doniósł.

— Dowiedział się, a raczej wyszpiegował wypadkiem. to pewna. szybko zawołała Iza, ale nie tak jak państwo myślicie. wiedział od dawna, pomagał na dwie strony. powiedźcie to pani hrabinie.

Du Val tylko pięść zacisnął.

Bogusław przez wszystkie tym czasem okna wyglądał, oczekując nadejścia powozu i chcąc co najprędzej wyprawić państwa młodych. bo się ciągle obawiał jakiego wybuchu zemsty rozżalonej pani Pauze. a nie bardzo był rad dłuższej rozmowie.

Zaturkotało nareszcie i wesółą trąbka pocztar-

ska rozległa się pod oknami. W mgnieniu oka gotowem było wszystko. poczciwy chłopiec rzucił sam do powozu resztę kolacyi. aby państwo młodzi z głodu nie pomarli w drodze. opatrzył schody unikając jakiego spotkania. podał rękę Izie i drżącą. rozplakaną. znowu co najprędzej usadowił do powozu. a Walkowi gdy siedział, szepnął do ucha:

— Słuchaj — co było to było, ale na przyszłość pamiętaj. że ze mną nieć będziesz do czynienia. jeżeli się Iza poskarży. Znasz mnie pamięta... Nie nie odpowiesz! Luziński.

Na kozioł wsadził Bogunio swojego chłopaka. pocztillionowi dał rubla. zalecając pośpiech i uwagę. skłonił się jeszcze młodej parze i zawołał głośno: — W imię Boże! ruszaj! z kopyta.

Powóz potoczył się po bruku wśród opustoszałego miasteczka i turkot jego powoli ginał w oddaleniu. a Bogusław stał i dumal.

Nagle odwrócił się do du Vala.

— Bądź co bądź, smutek smutkiem, kłótnia kłótnią. a jeść trzeba i pić nie zawadzi. co u licha! jutro możemy się bić. ale dziś trzeba się posilić.

Francuz nie był od tego, poszli więc oba razem na górę.

Trzeba znać małe miasteczka, którym nowina każda jest zawsze tak upragnioną. by pojąć jak zaraz. elektrycznym prądem. mimo spóźnionej godziny. nowina w restauracyi pani Pauze wybuchła, rozbiegła się po wszystkich ulicach. Noszono ją od domu do domu umyślnemi posłańcami. pilniejsi plotkarze budzili sąsiadów. żydki stukając pantoflami po bruku latali z nią po najoddalniejszych zakątkach. przysyłano sprawdzać pod Różę. W cukierni Gorconiego wszyscy przytomni. pomnożeni gośćmi nigdy nie bywałemi tutaj. wypili kilkanaście szklanek ponczu. nim relacją wypadku stanowczo zredagowali z rozmaitych materyałów dostrzeżonych częściowo przez chłopców. przez wyścigów. przez zachodzących przypadkowo. Nigdy od dawna. tak późno nie położyli się spać poczciwi mie-

szkańcy. bo każdy czuł się wzruszonym. potrzebował wygadać i nikomu kłaść się nie chciało. Opowiadanie zbudowane na rzeczywistym fakcie. przybrało wszakże fantastyczne kształty.

Każdy przyozdabiał je na swój sposób. Z końca w koniec małej miejsciny. oprócz głuchych i niemowląt, dowiedzieli się wszyscy bez wyjątku. iż sierota. wychowaniec doktora. wykradł hrabiankę i z nią się ożenił.

Subiekt aptekarski. który wypadkiem znajdował się u Gorconiego traktując z nim o nabycie cytryn. schwycił relacją jeden z najpierwszych i nie stargowawszy nawet owocu. pobiegł nazad do apteki. Dawne stosunki łączyły go z panną Naramską. garderbiana panny Idalii, jej więc należały się pierwociny zdumiewającego wypadku. Panna Naramska pochwyciwszy ledwie treść. poleciała do swojej pani.

Narieczona doktora Waltera wedle zwyczaju leżała na szesłagu i paliła cygaretę. gdy z rękami załamanymi wpadła jak piorun Warszawianka.

— Wie pani co się stało? niepojęta rzecz! jak Boga kocham. że nie do uwierzenia. słowo honoru. jak mi Pan Bóg miły, ale prawda. na swoje oczy widział pan Teodor jak wyjeżdżali.

— Któż? co? zwaryowałaś? gniewnie przerwała pani.

— Jaktó? kiedy już w całym miasteczku wszyscy wiedzą. mówię pani.

— Ale ja uie wiem. o co chodzi.

— Jaktó? kiedy mówię...

— Aleś mi nie powiedziała.

— Walek Lubiński wykradł starszą hrabiankę z Turowa, ożenił się i uciekli do Warszawy. Trzy razy do nich ognia dali i nie trafili, gonili. pędzili. ale ksiądz wikary kościół zamknął i nie otworzył aż po ślubie.

Idalia porwała się z szesłaga.

— Kto? ten podrzutek!

— A no! on!

Jakkolwiek poważna i szanująca się panna Idalia, doznała przecież tego samego uczucia co wszyscy najprościejsi śmiertelnicy, zaledwie usłyszawszy nowinę, potrzebowała ją już nieść innym, piekła ją, pędziła, nie dawała pokoju. Pędem poleciała z nią do brata, który paląc cygaro, myślał pewnie o swych dobrach, narzeczonej i gotowej córce, którą miał wziąć po niej razem z posagiem.

— Wiesz Roger, otóż to wstyd dla ciebie i kto... kto!

— Co takiego?

— Luziński wykradł hrabiankę Izę, ożenił się z nią i uciekł.

Roger ruszył ramionami z pogardą.

— Allons donc!

— Jest najprawdziwsza prawda! całe miasto się trzęsie.

— Ten błazen Luziński?

— Tak! bo był śmiały, a ty?

— A ja? spytał z uśmiechem tryumfującym i iro-
nicznym razem Roger. no — a ja? co?

— Ty ze swą delikatnością, ostrożnością, waha-
niem, zostaniesz starym kawalerem i ożenisz się po-
tem z jaką ochmistrzynią.

Roger się rozśmiał.

— Czy jesteś tego pewna? zapytał.

— O! zareczam.

— Zaczekajże trochę, a potem, powiesz na mnie co
zechcesz.

Idalia nadto знаła brata, by pod tą minką tajem-
niczą nie wyczytać jakiejś ukrytej zagadki.

— Bądź spokojną o mnie — zawołał Roger, nie tak
źle prowadzę moje interesa.

Nie przyznał się wszakże do niczego.

Doktór Walter dowiedział się o całej niezrozu-
miałej dla siebie historii Luzińskiego od kucharki Ka-
zimiry, która nie wahała się przerwać mu pisania tą
plotką brukową. Była najpewniejsza, że ją za to spot-
ka bura, ale nieboraczka nie mogła się wstrzymać.
Nad wszelkie spodziewanie, wiadomość ta, która po-

winna była całkiem być obojętną dla Waltera, porzuciła go więcej, niż się panna Kazimira spodziewała i przewidywała. porwał się z siedzenia. porzucił pisanie. namyślił. począł dopytywać. nie mogąc nic dobyć z kucharki. prócz. że o tem w mieście mówiono i mimo spóźnionej pory wybiegł z domu. Powiedziałby kto. że i ten tak spokojny. obcy człowiek został gorącą plotką rażony jak inni i potrzebował ją już roznieść. To pewna. że na twarzy jego znać było niezmierne pomieszanie, trwogę i że wprost się z tem udał do Mylinsa.

Doktora znalazł w szlafroku. wielkimi krokami przebiegającego salonik przed oranżeryą.

— Słyszałeś? spytał Walter wpadając.

— A wiem.

— Czyż to prawda?

— Niezawodna!!

Dwaj doktorowie stanęli oniemieli naprzeciw sobie.

— Nic nie pomogło! zawołał nareszcie Walter. rady. przestrogi. groźby... tak chciało przeznaczenie. które jest nad nas wszystkich mocniejszym. Uwiązał sobie kamień u szyi i przepadł.

To mówiąc ręce załamał i zamilkł; dwie lzy ubogie. biedne. puściły mu się po twarzy.

— A ty? spytał go Mylius, ty co lepszego zrobiłeś?

— Tak. tak. masz słuszość: ja zrobiłem gorzej. ale jeżeli ja stary ponton pogruchotany. zjedzony od robaków. zatone. to co? Tej łodzi młodej dłużej i szczęśliwiej trzeba było żeglować; wymawiasz mi. masz słuszość. tyś silniejszy.

Uśmiechnął się szydersko Walter. spoglądając na Myliusza. który się zamyślił.

— No. prawdą a Bogiem. odparł pomrukując Mylius. kocioł garnkowi przygania. mea culpa, kobiecy rozum mnie ocalił. a waćpana niewieszcza chyłtrość zgubiła.

— Mnie! cóż ja? ale ten chłopiec! ten chłopiec!
O mój Boże!

— Ale cóż cię u licha tak bardzo znów ten łotr obchodzi? zawołał Mylius, on dla mnie był jakby własnym dziećciem, a przecież poznawszy go lepiej, nie żałuję. Waćpanu on niczem nie jest.

To mówiąc spojrział na Waltera. Walter stał blady, drżący, łzy mu ciągle ciekły po twarzy wychudłej i szepnął cicho:

— Niczem! niczem!.. ten chłopiec jest synem moim.

— Twoim synem! krzyknął, cofając się Mylius, ty jesteś...

— Ja jestem Marek Luzziński, wyłkał doktor i padł na kanapę.

ROZDZIAŁ XI.

Na nabożeństwie w Farnym kościele, zgromadzenie, jak zwykle, było bardzo świetne, a świątynia przepelniona. Sam ksiądz prałat Bobek, jak gołąbek siwy, celebrował, ołtarz jego staraniem przybrany, rozkwitły był cały, ozieleniony, woniejący. Z dymu kadzideł gdzieś niegdzie widać było śmiejące się róże i wianki aster jesiennych, a spojrzawszy od wielkiego ołtarza na kościół, wianek z twarzy ludzkich ukazywał się ze wszystkimi odcieniami wiosny i jesieni życia.

W pierwszych ławkach zasiadali honoratiores, wielki i piękny świat, który obraniał się jak

mógł, nawet w domu Bożym. od zetknięcia z niewielkim światem. Trzeba było widzieć, jak pani aptekarzowa szeroko się rozsiadała. aby nie dopuścić do jednej z sobą ławy pani Pauze. Właścicielka restauracyi robiła słowo w słowo toż samo, bojąc się sąsiedztwa szewcowej. a szewcowa bała się, by przy niej prosta nie siadła mieszcanka z przedmieścia. Wszystko to cicho się urządzało i niepostrzeżenie. baczniejsze tylko oko mogło zręcznych strategicznych dojrzeć manewrów i odgadrywało. dla czego jeden nos ucierał. drugi udawał zamodlonego, gdy mu się na sąsiada wpraszano.

Summa się była rozpoczęła. Ksiądz Bobek śpiewał ją słabym. ale czystym głosem. dwóch młodych księży asystowało mu. Ksiądz wikary w komeżce i stule, z ewangelią w ręku. z biretem na głowie, czekał tylko chwili wyjścia na kazalnicę. przechadzając się po zakrystyi. W książeczce, którą trzymał. łatwo było dostrzedz białego papierka. na którym mógł się każdy domysleć wypisanych zapowiedzi. Nareszcie prałat powoli przeszedł na przygotowane dla siebie siedzenie. ksiądz wikary wyszedł. ukląkł przed wielkim ołtarzem, pomodlił się i wszedł na ambonę.

Jak zwykle przed ciszą nroczystą. słuchacze przysposabiali się do wytrwania głośnem chrzankiem, kaszlaniem i ocieraniem nieszczęśliwych nosów, gdy ksiądz wikary się modlił. Po tym wstępie szmery ustały. kaznodzieja rozpoczął czytać ewangelią, a po niej wykład skromny prawd w niej zawartych.

Pomimo massy słuchaczy. Bóg jeden tylko wie. ilu z nich istotnie słuchało, a ilu rzeczywiście rozumiało go? W ciemniejszych kątkach pobożni spali. budzili się. otwierali oczy wzdychając i drzemali znowu. Na widniejszych miejscach ci, których sen brak. straszliwie otwierali powieki. które potem zapadały jak klapy na chwilę i otwierały się znowu konwulsyjnie.

Po niektórych twarzach biegały myśli widocznie wcale nie pobożne. Ale tu i owdzie słówko wleciało

do ucha, może nawet do serca, ziarenko padło na rolę żyzną, a choć w niej długo nie wschodząc leżeć miało, przecież kiedyś się w życiu zazieleśniło, choć późno.

Kazanie złożone z dwóch części, podzielonych powtórnyim kaszlem i ucieraniem nosów, skończyło się naostatek zwyczajnem:—Co daj Boże. Amen. Następily akty skrnchy i t. p. i po tem wszystkiem dopiero ksiądz wikary do białej kartki z zapowiedziami przystąpił. Nie spodziewano się wcale usłyszeć żadnego znanego imienia, któreby sensacją wywołać mogło, niewiele więc zwracano uwagi na te ogłoszenia:

— Zabierają się do świętego stanu małżeńskiego: sławetny Floryan Momczyński, majster rzemiosła szewckiego, ze sławetną Katarzyną Ruchaczewską, mieszczanką tutejszą, panną; — zapowiedź pierwsza. Potem nastąpiła zapowiedź pana Drabicza z panną Sapurowską; potem jeszcze czyjaś; ksiądz Bobek już powoli kroczył ku ołtarzowi, gdy nagle głosem czystym i dobitnym ksiądz wikary począł:

— Doktor medycyny pan Marek Walter, wdowiec, z imci panną Idalią Skalską, obywatelką, panną, zapowiedź pierwsza.

Gdyby był piorun w kościół uderzył, nie wiem, czy wrażenie mogłoby być większe. Paplano coś o tem wprawdzie, ale większa część nie wierzyła w to małżeństwo, a wielu o niem wcale nie wiedziało. To oznajnienie nagle o mało nie zrobiło zamieszania. Zakryta wprawdzie woalem, w pierwszej ławce siedziała panna Idalia w całym majestacie snkni czarnej i kwefów obfitych; oczy wszystkich zwróciły się na nią, rozległy szept, mrużenia i gdyby nie organ, który pod palcami mistrza nagle huknął wszystkiemi rejestrami swemi, nawet temi, które były fałszywe skutkiem gospodarstwa i nadużyć szcurów kościelnych, już niewiadomo, do czego by przyszło.

Doktora Waltera nie widać było, domyślano się go na chórze. Panna mimo okazów zdumienia publiczności, wcale się nie zmieszała, owszem, zdawała się napawać swoim tryumfem.

Gdy po Te Deum. po suplikacjach i po ostatniej benedykcyi rozchodzić się zaczęło. za drzwiami kościelnymi szeregiem stanął cały orszak ciekawych. ażeby widzieć młodą narzeczoną starego doktora.

Aptekarzowa przeczuwała to i trącając córkę. szepnęła jej:

— Wyjdźmy przez zakrystyę.

— A to dla czego? spytała Idalia ruszając ramionami.

— No. widzisz. będą nas palcami pokazywali.

— A! niech pokazują! odpowiedziała piękna panna. czego ja się mam wstydzić? Proszę mamy. chodźmy.

Roger, który stał przy ławce podzielał zdanie siostry, znajdował niewłaściwem ustępować przed ulicą. jak on nazywał.

Wyszli zatem Skalscy i zastali tłum ciekawy. szemrzący, śmiejący się. którego widok w istocie nie był przyjemnym. Potrzeba było zimnej krwi młodych Skalskich, aby przejść przez te różgi nie drgnąwszy.

Niektóre uwagi na pół głośno wymówione. dochodziły nawet uszów panny. która udawała. że ich nie słyszała.

— Ależ pani Maciejowo, to nie może być. to stary grzyb, ja go znam. Kazimira służy u niego. a to młodziuchna.

— Rodzice zmusili, czy co?

— A staremu toby warto dać! dać! mówił szewc. żeby mu szaleństwo wybić z głowy. A to gotowe zgorszenie.

— Patrzaj Joasiu, patrzaj. szeptały dziewczęta. jaka to jej szkoda; dalibóg nie wiem. czy ma dwadzieścia lat, a jemu, powiadają, sześćdziesiąt z okładem, siwy, żółty.

— Zachciało się grzybowi kwiatka!

I śmiano się i zlorzeczono, ale Skalscy zbyt wysoko stali po nad ulicą, aby ich to boleć miało. Nie

dopuszczało też zbytniego wrażenia zjawienie się niespodziane barona Helmolda, o którego przybyciu Roger nie wiedział nawet. Ten zbliżył się do Skalskich, powitał matkę, uśmiechnął się Rogerowi i bardzo grzecznie podał rękę pannie Idalii.

— Jestem może pierwszy z powinszowaniem i życzeniami, rzekł z przymuszonym nieco uśmiechem, przyjm-że je pani.

Idalia przybrała minę bardzo poważną. Rogera zjawisko to zaniepokoiło trochę, czuł się w sumieniu nieczystym, obawiał zapytań i badań, (bo już naówczas między nim a panną Florą stała była umowa). Pierwszy to raz po ucieczce hrabianki Izzy spotykały się z sobą. Roger sądził, że baron nie proszony, zapewne ich przeprowadzać nie będzie i wkrótce porzuci, ale się stało inaczej. Helmold okazał się niezmiernie grzecznym, prawie czułym dla Idalii, poszedł przy niej tuż ulicą i zdawał się nawet mieć ochotę wstąpienia do apteki.

Należało więc być nawzajem grzecznym, a nie okazać mu niechęci i chłodu nagłego. gdy się go wprzód tak serdecznie zapraszało.

Roger uznał tę konieczność, nabrał odwagi, ujął go pod rękę i rzekł:

— Kochany baron wstąpi do nas na chwilkę.

Miał jeszcze słabiuchną nadzieję, że mu odmówi. Ale wszędzie gdzie kto zawadza, znajdzie się pewnie; Helmold uśmiechnął się grzecznie.

— Jeżeli państwo pozwolą...

Tym razem i panna Idalia byłaby wołała, żeby nie przyszedł, nie mogła się wstrzymać od zalotności, a nie chciała nią przed ślubem zrażać narzeczonego, którego się spodziewała.

Baron Helmold był niby wesół, jak każdy przyzwoity człowiek zawsze w towarzystwie być powinien, ale po za tą pożyczaną sukienką można było rozeznąć znudzenie jakieś, zmęczenie i smutek.

— No, cóż państwo mówicie na historią panny Izy z tym panem, dont je ne me rapelle pas même le nom?

— Luziński!

— A tak. Ludzyński! Cóż państwo na to?

Roger ruszył ramionami.

— Rozpacz tylko coś podobnego mogła zrobić.

— Byle z tej rozpaczey druga się potem nie rozwinęła, rzekł baron.

— O panu mówiono, szepnął Roger, iż panna Emma...

— O! w takim towarzystwie bardzo dziękuję, odparł baron, nigdy nawet myśli tej nie miałem. Dosyć, dodał weselej po namysle, że w powietrzu są osobliwsze małżeństwa. Spojrzał na Rogera, który starał się po sobie nie dać poznać najmniejszego wrażenia. Przepraszam, dodał, miałem na [myśli jeszcze jedno... ale to...

Idalia spojrzała nań groźnie, baron dopiero pomiarkował, że prawie stał się niegrzecznym i nagle zmienił przedmiot rozmowy.

— Nie mają państwo co do Warszawy? ja wyjeżdżam.

— A! wyjeżdża pan, przerwał Roger.

— Tak... dziś lub jutro.

To mówiąc weszli właśnie do domu, ale wszyscy kwaśni i podrażnieni, baronowi chciał się także wycofać po niezręczności, jaką popełnił, ale nie wypadało. Idalia z dumą niezmierną spoglądała nań gniewna i zalotność zmieniła nagle na chęć zemsty niepohamowaną. W duszy jej grało to słówko barona: osobliwsze małżeństwa...

Zaledwie weszli do salonu, gdy pod pozorem rozbierania się i wypoczynku, pani Skalska i Idalia znikły. Roger i Helmold zostali sami.

— No. — zmierzwszy oczyma Skalskiego, odezwał się po chwili baron. jakże panu idzie w Paprotynie?

z granicami? z babunią Florą? z gospodarstwem i tym podobnie?

— Dosyć dobrze. rzekł Roger.

— Cóż mówisz na moją oryginalną knzynkę? he? zapytał, wlepiając w niego wzrok Helmold.

— Ja dosyć lubię osoby oryginalne.

— No, to musisz być z niej zadowolony; jest bowiem bardzo dostatecznie osobliwą w swoim rodzaju. Mówiono mi, żeś też i pan jej się dosyć podobał.

Zaczął się śmiać szydersko.

— O tem nie wiem. odparł zmieszany Skalski, ale bardzo bym się z tego cieszył.

— Nie życzyłbym wszakże rachować na to wiele, odezwał się baron. Panna Flora znaną jest z dosyć zmiennych gustów. Posnwała przyjaźń swą dla młodych ludzi czasem nawet dosyć daleko. a wszakże kończyła zawsze tem, że im dała odprawę.

Roger nie wiedział co odpowiedzieć.

— Ja też nie pochlebiam sobie, wybąknął w końcu. abym łaski szczególne miał zaskarbić.

— O! dla czegożby nie! ironicznie rzekł baron. na pańskim miejscu próbowałbym szczęścia; baba ma dużo grosza i kto wie, czy nie choruje dotąd na matrymonialną manię?

To mówiąc spojrział ironicznie na Skalskiego. który zniósł ten wystrzał spokojnie. Roger miał mimo wad swych. tyle szlachetności w charakterze, iż wprost kłamać nie chciał. i wołał wysłiznąć się z przykrego położenia. któreby go do fałszu zmuszało.

Zmilkzał więc. Baron wszakże wcale imnie widać miał zamiary i pragnął go wybadać, tak, że rozmowa dalsza między nimi stawiała się rodzajem wyścigów dosyć zajmujących. Helmold stanowczo nie wiedział nic. domyślał się wiele, niepowodzenie własne czyniło go zgryźliwym i kwaśnym.

— Co do mnie, zawołał baron. gdyby nie zbyt blizkie pokrewieństwo i gdybym miał szczęście podobać

się pannie Florze, którego nie dostąpiłem. korzystałbym pewnie.

Skalski milczał jeszcze, ale milczenie stawało się coraz bardziej znaczącem.

— Przyznaj się, panie Rogerze. dodał baron. ożeniłbyś się z babunią Florą?

Postrzelony tak w pierś Skalski. zebrał się na odpowiedź; zrobił minę zimną, pogardliwą. nieco obrażoną i rzekł:

— Jesteśmy wszyscy, panie baranie, dziećmi naszego wieku. żenimy się nie dla serca. nie dla szczęścia, nie dla „chatki i jej miłości” ale dla ambicyi i pieniędzy! nieprawdaż? Ja też nie sądzę się lepszym od drugich; małżeństwo mam za kontrakt i muszę się starać zawrzeć jak najkorzystniejszy. a więc... gdyby babunia Flora miała szczęśliwą fantazyę oddania mi swej ręki. za kogo byś mnie miał, żebym jej odmówił?

— Masz słuszość. rzekł baron, *sous benefice d'inventaire*.

— Nie rozumiem.

— A no! dowiedziałbyś się w swoim czasie; ale kochany panie Rogerze. gdyby przypadkiem coś podobnego stać się mogło, czy sądzicie. że familia babuni, do której ja, najuiższy pański sługa. się liczę, zniosłaby stratę tej fortuny bez oporu?

Skalski ruszył ramionami.

— Ciekawym. jaki opór prawny stawić byście mogli? Czy babunia jest małoletnia?

— O! procesu byśmy nie robili, to pewna. lecz gdyby sześciu wnuków (pięciu, nie licząc mnie) oświadczyło się z wyzwaniem na rękę?

Skalski rozśmiałwszy się, rzekł:

— Wyszedłbym jednemu tylko, reszcie by się bić odechciało. Strzelam jaskółki, a rąbię się wcale nie źle.

Baron widząc go niezmięszanym, począł się śmiać i podał mu rękę.

— No daj mi słowo, że to są próżne bajki.

— Co? nie rozumiem, zawołał Skalski.

— W całej okolicy mówią o... o... jakby to powiedzieć?... nie obrażając was, o projektach waszych do babuni; dajcie mi słowo, że to są bajki?

— Przepraszam cię baronie, odparł Skalski z dumą, jestem we własnym domu. muszę więc być umiarkowanym w wyrazach; powiem ci tylko, że nikomu nie przyznaję prawa wchodzenia w moje czymości i pozывania mnie do tłumaczenia się z nich. Czynię co mi się podoba i odpowiadam przed sumieniem, przed opinią, ale do badania pociągać się nie dam.

— Ja nie nastaję wcale, przerwał baron. muszę tylko uczynić wam uwagę, że odmawiając mi tego słowa, potwierdzacie domysły.

— A co to mnie obchodzi?

Baron przeszedł się po pokoju, wziął za kapelusz, skłonił się grzecznie z daleka Skalskiemu i nie mówiąc słowa, wyszedł.

Rozstanie to, jak cała rozmowa, dała wielce do myślenia Skalskiemu, ufał wszakże energii panny Flo-ry i własnej, że gdyby nawet przeszkody im stawiano, to prędzej przyspieszą związek. użeli mu zapobiegną.

Baron zadumany, ręce włożywszy w kieszenie, wyszedł z apteki z postacią młodego człowieka nawykłego żyć w stolicy, który raczy na chwilę deptać bruk małej miejsciny. Nie miał już nic do stracenia. podróż jego tak była bezskuteczna, nieszczęśliwa, tak zakończona fatalnie, iż mu nie pozostawało nic, tylko się wycofać z honorami wojskowemi, udając, że w niej oprócz rozrywki nie miał innego celu.

Chodziło mu tylko jeszcze o widzenie się z Mamer-tem Klaudzyńskim i wycofanie z jego rąk nieszczęśliwego dokumentu, danego na wypadek ożenienia z hrabianką Emwą. Wedle umowy złożył był paru duiami przedtem list do rządcy, zaadresowany do panny Pauliny, i wezwał go na ten właśnie dzień, aby się stawił u Mordka Szpetnego.

Nie czyniąc wcale już tajemnicy ze swych obrotów. baron poszedł wprost od rynku do sklepu. Znalazł w nim samą panią Ryfkę Szpetną, siedzącą z pożyczochą, w całym majestacie kupcowej, która nikomu nic nie będąc winną w miasteczku, ma tylko dłużników.

— Jest pan Mordko?

— A na co panu jego? spytała kupcowa.

— Potrzebuję się z nim wiedzieć.

— Nie mogę wiedzieć, czy on jest.

Zawołała Surki i poszwargotała.

— Jak się jegomość nazywa?

— Baron Hel mold.

Żydówka wygrzeczniała i podniosła się.

— Proszę pana barona zająć do pokoju. bardzo proszę.

Przeprowadzony przez żydóweczkę baron nie odkrywając głowy, dostał się do trzeciego pokoju. Tu pan Mordko w szlafroku, pisał. Na widok barona porwał się zniższany, zdejmując krymkę i przystawiając stołek.

— Czy była odpowiedź na mój list? spytał baron.

Żyd się zniższał i rękami ruch uczynił, wyrażający ubolewanie.

— Pan pisał do panny Pauliny?

— Tak jest.

— A! pan nie wie, co za nieszczęście spotkało pana Mamerta! A waj! to był bardzo poczciwy człowiek. on umiał z ludźmi żyć, ja u niego co rok skórki kupowałem i do dworu u mnie wszystko brali, a teraz!

— No cóż mu się stać mogło?

Mordko westchnął.

— Jemu się stało wielkie nieszczęście... jemu oskarżyli, że on u dwóch stołków siedział, że zdradził hrabiów; no, co pan chce! Jemu napadli, zabrali wszystkich papierów, rachunków, pieniędzy i zapozwali przed sąd. On dwa dni mało nie umarł ze strachu i musiał się straszuje opłacić i uciec. aby go kryminalnie nie sądzono.

— A papiery? zawołał baron.

— On mówił, że wszystkie papiery mu zabrano... i listy... do ostatniego szpargała.

Helmold usta zaciął; nie pozostawało mu nic więcej, tylko co najrychlej się ztąd wynosić, ale potrzebował myśli zebrać i rzucił się na kanapę milczący.

— Dokąd-że uciekł? zapytał.

— Kto to może wiedzieć? ruszył ramionami Mordko. a ja w Turowie drugiego takiego człowieka mieć nie będę!!

Kupiec myślał tylko o sobie.

E P I O G.

Jest-to prawie koniec naszej powieści. Pożeni-
liśmy bez mała wszystkich, co się mogli ożenić... po-
stawiliśmy resztę bohaterów naszych na progu samym
świątyni, do której nic im już wejść nie wzbrania.
Jednakże większa część czytelników naszych uczuje
to i zrozumie, że koniec tego opowiadania, jest wła-
ściwie tylko prologiem! U stóp ołtarza dopiero wła-
ściwy życia dramat się poczyna, szczególnie dla tych
dzieci wieku, co z najświętszego związku uczynili fry-
mark i spekulację. Na tych serce własne i sprawie-
dliwość odemścić musi popełnione świętokradztwo.

Ale życie jest bezbrzeżne, nie ma ono końca,
wiąże się w łańcuch następstw nieprzerwany, a po-
wieść jest ograniczoną muóstwem warunków. Musimy
więc wstrzymać się tu i rozrachować tylko z czyteln-
kami w sposób jak najtreściwszy, zostawiając dokoń-
czenie właściwe opowiadania do szczęśliwszej przy-
szłości.

Wszyscy się już zresztą domysleć mogą rozwią-
zania tymczasowego. Waleuty Luziński z żoną, Ma-
dame Iza de Luzińska, née Comtesse Tu-
rowska, zajęchawszy szczęśliwie do stolicy, rozpo-
czął tam życie w świecie zupełnie dla siebie nowym,
od procesu z macochą, upoważnioną przez hrabiego
i całą rodzinę.

Jak się to życie ukształtowało i co z niego wykwitło, na ten raz nie możemy powiedzieć. zostawiając wnioski domyślności czytelnika.

Wkrótce po opisanej bytności barona Helmolda u Mordka Szpetnego, zawiedziony w nadziejach, z wypróżnioną kassą podróżną, baron musiał pomyśleć o odwrocie i skierował się ku stolicy, wyczekując tymczasowo nadziei pozyskania ręki hrabianki Emmy.

Jakkolwiek los tej nieszczęśliwej nie pogorszył się po ucieczce siostry, gdyż z papierów zabranych u Mamerta, hrabina mogła się przekonać, że Emma dobrowolnie przez miłość dla ojca pozostała w Turowie, co ją uspokoiło, niepodobna było teraz myśleć ani o staraniu się formalnem, ani o wykradzeniu. Czuwano nad hrabianką, nie dając jej poznać tego, z troskliwością największą i podwojono grzeczności, lecz zarazem ostrożności. Była na pozór swobodniejszą, w istocie otoczoną szpieganami, aż do garderoby.

Hrabina próbowała serce jej sobie pozyskać, ale na próżno. Nie wiem, czyśmy wspomnieli o tem, że po scenie z Luisem, Manetkę wyprawiono do Francji. Turów stał się smutniejszym niż kiedykolwiek, a stan zdrowia starego hrabiego obiecywał, że się to położenie długo jeszcze może przeciągnąć.

Po panu Mamercie Klandzyńskim, który, jak mówił Mordko, okupić się musiał, wzięła hrabina sumę dosyć znaczną, a ta chwilowo poprawiła interesa Turowskie. Część wszakże jej wyprosił Luis na podróż do Warszawy, pod pozorem pilnowania procesu z Lubińskimi. Mówiono, (co bajką być może), iż się tak jakoś obrachować potrafił, że pannę Manetkę wyprawioną w towarzystwie bony Szwajcarki, a słabością powstrzymaną w Warszawie, jeszcze tam znalazł i boną Szwajcarką, której było niezmiernie pilno do domu, sama jedna w dalszą się podróż udała. Ale może to tylko były potwarze i wymysły.

Po wyjeździe barona Helmolda, który dostawszy się do Warszawy, tu z powodów finansowych na czas

jakiś w hotelu angielskim zamieszkał. rodzina cała jego. nieprzyjemnego doznała wrażenia. dowiedziawszy się, że panna Flora, nic nie mówiąc nikomu, pojechała do miasteczka. najęła tam mieszkanie i zyskawszy indult, jednego wieczora w kaplicy bocznej kościoła Farnego, przez samego prałata, księdza Bobka. połączoną została świętym węzłem małżeńskim z panem baronem Rogerem de Skalskim. Ponieważ poufali tylko świadkowie przypuszczeni byli do kaplicy w czasie obrzędu. nie umiał nikt stanowczo powiedzieć ciekawym. czy panna Teresa. między małżeństwem stałą związanem. stała jako przyjęta do rodziny. czy formę tę zaniedbano. To pewna, że od tego dnia była ciągle przy pani Skalskiej i że ludzie nierozsądni często bardzo piękną panienkę brali za żonę Rogera. gdy prawnie ona była jego... córką.

Rodzina panny Flory tak się niespodziewała tego wypadku. który ją szczęśliwie po kilkakroć ominął. iż z razu wierzyć ślubowi nie chciała. Dopiero list pani Skalskiej wywiódł z wątpliwości. a pogrążył ją w najgłębszym smutku.

Stało się. jak zamyslała przed ożenieniem jeszcze dziedziczka Wilczego - Brodu, wyjechali po kilku dniach do Warszawy. a z tamtąd na Wiedeń. Tryest, Padwę, Medyolan. do Florencyi.

Towarzyszyła im panna Teresa. która miała artystyczne swe wychowanie w stolicy sztuki dopełnić.

Wprzód jeszcze nim pan Roger z małżonką opuścił miasteczko. miał tę pociechę, iż się upewnił o losie siostry. która zagnęła wahającego się doktora Waltera do przyspieszenia ślubu. Ponieważ brała go w załobie, obeszło się bez świetnego występu. Pani Walterowa życzyła sobie, zostawiając matkę przy domu. ruszyć także na zwiedzenie Europy, ale mąż mający pilne do załatwienia sprawy w Warszawie. oparł się temu i zmusił do odroczenia projektu. Z niezmiernem swem zdumieniem, piękna Idalia spodziewająca

się po ślubie znaleźć w nim posłusznego i potulnego człowieka, muno płaczu. scen. pieśszcot, nie z niego zrobić nie potrafiła. Był uparty i zimny jak kamień. Rozgniewaną żonę porzucił w miasteczku z matką. a sam dla tajemniczych jakichś interesów. wyruszył wkrótce do stolicy.

W miasteczku mało zmian zaszło, ale i tu ząb czasu, kosa, palce jego i wszystkie narzędzia, któremi się on zwykł posługiwać do zmiany dekoracyi — uczuć się dały.

Niesłusznie posądzano doktora Mylius, iż staraniem jego inżynier Szurma otrzymał nader korzystną posadę w drugim końcu kraju; zdaje się bowiem. iż to jakoś przyszło samo z siebie i skutkiem podanej przezeń prośby o przemieszczenie. Szurma z wesołą twarzą oznajmił o tem pannie Apolonii. która przez parę dni potem była chora i pożegnać się podobno z nim nawet nie mogła.

Doktor odwiedzał ją i troskliwie czuwał około zdrowia, — słabość wszakże choć na pozór nic nie znacząca. zostawiła po sobie ślady na długo. Panna Apollonia zmieniła się. zbladła. posmutniała. zaczęła kasłać. odmówiła kuracyi przepisanej i nie przyszła już do pierwszej wesołości i świeżości.

Szurma wyjechał tak pośpiesznie i tak niegrzecznie, iż mało z kim w miasteczku się pożegnał. Na jego twarzy widać było. jak go ta podróż i nadzieje przyszłości świetniejszej. odżywiły. Jednym z najnięszczęśliwszych w skutek zaszłych zmian. był poczciwy doktor Mylius. Od wypędzenia Walka Luzińskiego. życie jego było już zwichnięte, humor sposepniał. ale z czasem smutek, wątpienie, jeszcze się zwiększyły. Brakło mu wszystkich dawnych znajomych. na których nawykł był gderać. dawać im nauki i poświęcać się dla nich. Miasteczko było prawie puste. Walter, który się doń zbliżył. wyjechał. w aptece narzekania tylko zostały i płacze. Pani Idalii nie sposób było ani pocieszyć, ani ją upamiętać. Po wyjeździe Waltera kłę-

ła go i łajęła, odgrażając się na przyszłość przeciwko niewdzięcznikowi.

Nie mając przed kim wynurzać się zżalami. młoda pani bardzo często wyzywała Myliusą do pogadanki, ale rozmowa kończyła się tem zawsze. iż doktor jej powtarzał:

— Samaś pani tego chciała! samaś chciała! masz!

— Ale ja mu pokażę, iż przecie się tak zgnieść nie dam i wolę swoją mieć muszę.

— To zobaczmy! — mówił doktor.

— Nie wierzysz?

— Nie wiem.

— Przekonasz się.

Doktor odchodził milczący. a pani młoda warcząc. nazajutrz się to powtarzało.

Mimowolnie może Walek Luzziński niegodnem swem postępowaniem. przyczynił się do niespodzianego rozstrzygnięcia losu pani Pauze. która w pierwszej chwili po doznanej zdradzie, ciężko zachorowała. Doktor Mylius, oprócz pigułek, kąpieli, nacierań, leków rozmaitych. poradził jej. aby w przytykającym do restauracyi pod Różą ogrodzie. rano odbywała hygieniczne przechadzki. Ogród ten długim pasem płotu przezroczystego, oddzielony był tylko od warzywnego sadu, należącego do cukierni pana J. B. Gorconiego. Zeszło się najdziwniej w świecie, iż właśnie w chwilach tych przechadzek wdowy, pan J. B. Gorconi znajdować się był zwykł z drugiej strony płotu. dla wyboru owoców i warzywa. Ale że między restauracją a cukiernią była wojna Capulettich i Montecchich, z razu wdowa uciekała i Gorconi się marszczył. Przypadek jakiś skłonił do zamiany kilku słów, do zawieszenia broni. do powitań potem obojętnych, do rozmowy potocznej. Pan J. B. Gorconi oparty na płocie, nauczył się wesoło potem zabawiać panią Pauze. która przechadzki ranne dla zdrowia, zaczęła ponawiać wieczorem. aby prędzej siły odzyskać. Zli ludzie utrzy-

niywali, że Gorconi w zapale opowiadania tak się raz uniósł, że płot przesadził, a później znalazł się na kawie w pokoju pani Panze. Plotkom chcąc, położyć koniec. wezwano naostatek księdza wikarego i Julietta zaślubiła Romea, a restauracya pod Różą, została połączona i wcielona w cukiernię, tak, iż te dwie instytucye dobroczynne, na przyszłość miały stanowić jedną.

Oberkelner restauracyi, który znać innego się końca spodziewał, podał się do dymissy i pojechał do Warszawy, gdzie z pomocą przyjaciół założył na małą skalę instytucyę, w rodzaju tej, jaką obsługiwał.

Napróżnobyście pytali nas o losy ubogiej chaty u grobli, starej kobiety. dziada i ich wnuczki? Któż wie co się z biednemi dzieje. kiedy oni na świat przychodzą i znikają z niego? Mówiono nam, że w chacie wkrótce potem okna były powyjmowane, drzwi zabite kołem i żywej duszy koło niej. Śmierć, czy uęda ją opustoszyła, nie wiemy.

W ciasnej uliczce, gdzie na trumnie siedzące śpiewało wesołe dziewczę, niedługo potem widziano kulawego chłopaka, strużącego deski i zastępującego jej miejsce.

Sąsiedzi. którzy twarzyczkę i głos Linki lubili, dopytywali się o nią chłopaka, ale kulas był gbur nieznośny, burczał. łajał, odpędzał i nikomu nie powiedzieć nie chciał.

Po kilku miesiącach. Linka się zjawiała znown. ale obwiązana, blada, smutna, z oczkami zgasłemi. z ustami sinemi, kwiatkiem uwiedłym i nie umiała już śpiewać. A oczy miała czerwone i robiąc pończoszkę, ocierała je palniskami często. zamyślona, posepna. Siostrzyczka próżno z niej słowa chciała dopytać, bo była jak nieprzytomna i zdało się. że jej myśl i dusza daleko gdzieś odleciały.

Z wiosną zakwitły na probostwie grędy ulubieńców księdza prałata, tak troskliwie przez niego

hodowane, ale on już ich nie widział. Poszedł starszek patrzeć na nieśmiertelne wieńce z gwiazd. które wiją Anieli na głowy sprawiedliwych... a kto go znał, był pewien, że i jemu jedna z tych koron się należała...

K O N I E C.

Ms. A. 9. 2. 7. 7. 4. (17)



WYBORU POWIEŚCI J. I. KRASZEWSKIEGO

Wychodzi rocznie 20 tomów.

PRZEDSIĘWZIĘCIE

Kwartalnie (każdy 5 tomów)	Rocznie (każde 20 tomów)
z przesyłką	z przesyłką
Półrocznie (każde 10 tomów)	z przesyłką
z przesyłką	z przesyłką
Rocznie (każde 20 tomów)	z przesyłką
z przesyłką	



W CENIE ZŁUDY 7 ZŁOTYCH

1. Boża Opieka.
2. } W mętnej Wodzie
3. }
4. }
5. } Dzieci Wieku.
6. }
7. Piękna Pani, powieść

Biblioteka Raczyńskich

JK 540



JK0540